



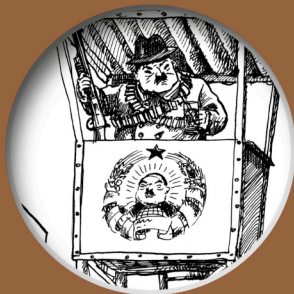
Europa Wschodnia

Nowe rozdanie



Redakcja

Małgorzata Nocuń
Tomasz Stępniewski



Europa Wschodnia

Nowe rozdanie

W serii Europa Środkowa ukazały się:

Europa Środkowa. Rozmowy o (nie)pamięci

red. Tomasz Stępniewski, Lublin 2020

Wyszehrad porwany. Rozmowy o Europie Środka

red. Zbigniew Rokita, Tomasz Stępniewski, Lublin 2021

Oblicza Europy Środkowej

red. Zbigniew Rokita, Tomasz Stępniewski, Lublin 2021

Sojuz ruszymy. Związek Sowiecki 30 lat po upadku

red. Zbigniew Rokita, Tomasz Stępniewski, Lublin 2021

Europa Wschodnia. Nowe rozdanie

red. Małgorzata Nocuń, Tomasz Stępniewski, Lublin 2022

Europa Wschodnia

Nowe rozdanie

Redakcja

Małgorzata Nocuń
Tomasz Stępniewski

Instytut
Europy Środkowej 
Lublin 2022

Spis treści

- I Małgorzata Nocuń, Tomasz Stępniewski
6 **Europa Wschodnia.
Nowe rozdanie – wstęp**

Ukraina. Narodziny nowego państwa

- 12 **Szansa na nową przeszłość**
I Z historyczką dr hab. Natalią Starczenko rozmawia Urszula Pieczek
- 22 **Dlaczego nie boje się na tyle,
żeby uciekać?**
I Z Oleną Szeremet rozmawia Tomasz Kobylański
- 30 **Kolejna odsłona tej samej wojny**
I Z Heorhijem Kasjanowem rozmawia Hanna Bazhenova
- 38 **„Niedoeuropa”**
I Z Ladą Nakonechną, ukraińską artystką współczesną,
rozmawia Anna Łazara

Rosja. O krok od totalitaryzmu

- 50 **Kultura w sidłach reżimu**
I Z Katarzyną Pełczyńską-Nałęcz rozmawia Aneta Strzemżalska
- 58 **Łagier zwycięzył**
I Z Siergiejem Lebiediewem rozmawia Piotr Oleksy

68 **Historia w służbie polityki**
| Z Mariuszem Wołosem rozmawia Sonia Knapczyk

82 **Strzelba w końcu wystrzeli**
| Z Siergiejem Jerofiejewem, jednym z pionierów
| poradzieckiej edukacji globalnej i socjologii kultury,
| rozmawia Magdalena Lejman

Białoruś, Mołdawia, Łotwa, Kaukaz Południowy. Kiedy budzi się demon wojny

96 **Lekcja odpowiedzialności**
| Z Rusłanem Szoszynem,
| ekspertem w dziedzinie polityki białoruskiej,
| rozmawia Małgorzata Nocuń

106 **Wojna bez czołgów, samolotów i ludzi**
| Z Kamilem Całusem rozmawia Miłosz Szymański

120 **„A nie mówiliśmy?”**
| Z Daunisem Auersem rozmawia Dominik Wilczewski

130 **Europa – tak. Ale z naszym dziedzictwem**
| Ze Stasią Budzisz, autorką książki
| „Pokazucha. Na gruzińskich zasadach”,
| rozmawia Wojciech Wojtasiewicz



Małgorzata Nocuń, Tomasz Stępniewski

Europa Wschodnia

Nowe rozdanie –
wstęp

Oddajemy do rąk Czytelników zbiór wywiadów dotyczących państw Europy Wschodniej. Z perspektywy 2022 roku to właśnie Ukraina staje się jednym z najważniejszych elementów składających się na bezpieczeństwo i stabilność Europy. Wojna Rosji przeciwko temu państwu powoduje, że zmienia się nie tylko układ sił w Europie Środkowej i Wschodniej, ale też cała logika stosunków Zachodu z Rosją. Przez wiele lat położenie geopolityczne oraz skomplikowana historia umożliwiały Ukrainie balansowanie na granicy dwóch systemów politycznych. Z jednej strony świat zachęt – „marchewka” w postaci członkostwa Ukrainy w Unii Europejskiej, z drugiej strony świat przymusu – „kij”, będący synonimem prób reintegracji obszaru poradzieckiego przez Federację Rosyjską z kluczową rolą Ukrainy. Wojna niszcząca Ukrainę powoduje, że wybór jej dalszej drogi rozwoju (integracji europejskiej) wydaje się przesądzony na najbliższe lata. Ale czy wojna przeciwko bratniemu narodowi nie zmienia także samej Rosji?

Wywiady zostały przeprowadzone przez polskich i ukraińskich dziennikarzy i analityków. Pierwszą część książki dotyczącą Ukrainy stanowi rozmowa z historyczką Natalią Starczenko, wykładowczynią w Instytucie Ukraińskiej Archeografii i Źródłoznawstwa Ukraińskiej Akademii Nauk w Kijowie, przeprowadzona przez Urszulę Pieczek. Następne rozmowy to wywiady: z Oleną Szeremet, tłumaczką literatury (znaną między innymi z przekładu reportaży Wojciecha Jagielskiego) – rozmawia To-

masz Kobyłański, z Heorhijem Kasjanowem, znanym i cenionym na świecie ukraińskim historykiem – rozmawia Hanna Bazhenova, z Ladą Nakonechną, ukraińską artystką współczesną – rozmawia Anna Łazar. Druga część publikacji dotyczy Rosji. Z Katarzyną Pełczyńską-Nałęcz, była wicedyrektor Ośrodka Studiów Wschodnich w Warszawie oraz była ambasador RP w Federacji Rosyjskiej (2014-2016), rozmawia Aneta Strzemżalska. Z kolei z Siergiejem Lebediewem, dziennikarzem, poetą, prozaikiem, rozmawia Piotr Oleksy. Z Mariuszem Wołosem, historykiem, w latach 2007-2011 dyrektorem Stacji Naukowej PAN w Moskwie oraz stałym przedstawicielem PAN przy Rosyjskiej Akademii Nauk, rozmawia Sonia Knapczyk. Blok tych wywiadów kończy rozmowa Magdaleny Lejman z Siergiejem Jerofiejewem, jednym z pionierów poradzieckiej edukacji globalnej i socjologii kultury. Trzecia część książki dotyczy Białorusi, Mołdawii, Łotwy i Kaukazu Południowego. Ten blok wywiadów rozpoczyna rozmowa Małgorzaty Nocuń z Rusłanem Szoszynem, ekspertem w dziedzinie polityki białoruskiej. Następnie z Kamilem Całusem, autorem książki „Mołdawia. Państwo niekonieczne”, rozmawia Miłosz Szymański. Z kolei z Daunisem Auersem, profesorem polityki porównawczej na Uniwersytecie Łotewskim w Rydze i profesorem „Jean Monnet” (2013-2016) w zakresie integracji europejskiej, rozmawia Dominik Wilczewski. Ten cykl wywiadów zamyka rozmowa Wojciecha Wojtasiewicza ze Stasią Budzisz, autorką książki „Pokazucha. Na gruzińskich zasadach”.

Publikacja przygotowana przez Instytut Europy Środkowej w Lublinie podejmuje próbę uchwycenia zamian zachodzących w Europie Wschodniej w dobie toczącego się konfliktu zbrojnego Rosji z Ukrainą. Wojna zmienia warunki gry, sytuację państw i społeczeństw, a jej skutki będą odczuwalne przez najbliższe lata. Co gorsza – wojna ciągle trwa i przynosi kolejne ofiary po obu stronach. Rozmowy dotyczą spraw ważnych, problemów i procesów zachodzących na obszarze Europy Wschodniej. W niezbyt obszernej publikacji staraliśmy się zmieścić wiele ciekawych wniosków i spostrzeżeń, które – jak mamy nadzieję – będą zachętą do refleksji i dalszych poszukiwań oraz badań.

Niniejsza książka nie powstałaby, gdyby nie zaangażowanie polskich i ukraińskich dziennikarzy oraz analityków w przeprowadzenie tych interesujących rozmów z bohaterami prezentowanej publikacji, czyli rozmówcami pochodzącymi z Europy Wschodniej, dotykanej toczącej-

mi się konfliktami, imperialną polityką Rosji wymierzoną w Ukraińców, wcześniej Gruzinów i inne narody powstałe na gruzach dawnego Związku Sowieckiego. Składamy serdeczne podziękowania wszystkim, którzy przyczynili się do powstania tej książki.

Małgorzata Nocuń, Tomasz Stępniewski
Lublin–Kraków, sierpień 2022

UKRAINA

Narodziny
nowego
państwa



Szansa na nowa przeszłość

Z historyczką dr hab. Natalią Starczenko
rozmawia Urszula Pieczek

Natalia Starczenko – doktor habilitowana, historyczka, wykładowczyni w Instytucie Ukraińskiej Archeografii i Źródłoznawstwa Ukraińskiej Akademii Nauk w Kijowie. Zajmuje się tożsamością ukraińską i XVII-wieczną szlachtą. Laureatka nagrody „Przeglądu Polskiego” za najlepszą książkę zagraniczną oraz CIUS Uniwersytetu Alberta za najlepszą publikację naukową z zakresu ukraińskich nauk humanistycznych i społecznych w 2014 roku.

Urszula Pieczek – redaktorka, autorka, tłumaczka z języka ukraińskiego, producentka i wydawczyni podcastów. Píše doktorat o nowoczesnej tożsamości ukraińskiej.

Rosjanie traktują Ukraińców jak swoich młodszych braci. Bardzo często z ust władz rosyjskich można usłyszeć, że Rosjanie i Ukraińcy to jeden naród. Naród podzielony, dlatego wymaga zjednoczenia (żeby tylko wspomnieć słowa Władimira Putina o tym, że „upadek Związku Radzieckiego to największa katastrofa XX wieku”). To imperialna narracja, z której chętnie korzysta Putin i jego poplecznicy. Pani w swoich badaniach zwraca uwagę na pokrewieństwo i braterstwo Polski i Ukrainy.

Nie chcę używać określenia „braterstwo”, ma ono negatywne konotacje. Historiografia radziecka (a dziś rosyjska) bardzo aktywnie wykorzystuje to słowo. Uważam, że mówienie o braterstwie maskuje dyskurs imperialny, uprawomocnia kreowanie pojęcia „wspólnej historii” dla dwóch diametralnie różnych doświadczeń – doświadczenia imperium i kolonii. Powiem może bardziej dosadnie – gwałciiciel i ofiara, owszem, mają „wspólną” kartę przeszłości, jednak ich doświadczenie różni się fundamentalnie. Kiedy mówię o Rzeczypospolitej jako o części ukraińskiej historii i ekstrapoluję ją na współczesność, mam na myśli nie braterstwo, a wspólne dziedzictwo – ukraińskie, polskie i litewskie. To rozmowa z pozycji podmiotowości spadkobierców, którzy mogą dziedzictwo, spadek przyjąć lub nie, mogą przemyśleć swój wkład, wykorzystać go w sposób, który uważają za stosowny. To w żadnym wypadku nie jest rosyjska retoryka i apel do mitycznej „wspólnoty krwi”.

| Co zmienia ta perspektywa?

Włączenie w ukraińską historię Rzeczypospolitej Obojga Narodów, w której kształtowała się wczesna podmiotowość Ukraińców, pozwala wyjaśnić wiele współczesnych realiów. Jednocześnie jeśli uda nam się zadać właściwe pytania w oparciu o tę przededefiniowaną perspektywę, mamy szansę na zupełnie inną przeszłość niż ta, którą zaprogramowało nam imperium.

Zatrzymajmy się na moment w miejscu zmiany definicji. Jest Pani autorką książki „Ukraińskie światy Rzeczypospolitej”. Proszę wyjaśnić, co rozumie Pani przez ten tytuł?

Centralnym i najważniejszym wydarzeniem ukraińskiej metanarracji (*grand narrative*), któremu została podporządkowana przeszłość i z którego wyłoniła się przyszłość, było powstanie Kozaków Zaporoskich pod przywództwem hetmana Bohdana Chmielnickiego. Wymyślony w połowie lat dziewięćdziesiątych XX wieku termin „walka narodowo-wyzwoleńcza” nie tylko wzmocnił rangę tych wydarzeń, ale też dodał świętości ukraińskiej historii. Rzeczpospolita Obojga Narodów i szlachta jako reprezentacja polityczna ucieleśniały zło, które toczyło ukraiński naród w jego drodze do suwerenności. Badania nad ukraińską szlachtą, które zainicjowała Natalia Jakowenko, przez trzydzieści lat oczywiście rozszerzyły pole widzenia historii Ukrainy, ale w żaden sposób nie podważyły osi metanarracji „Kozacy-Ukraińcy versus szlachta-Polacy i spolonizowana szlachta”.

W mojej książce analizuję, jak kształtowała się ruska/ukraińska tożsamość szlachty, z jakich cegieł została zbudowana i na jakich fundamentach

się opierała. W skrócie: chodzi o część spadku Ukraińców po Rzeczypospolitej Obojga Narodów. Chciałam także przybliżyć ukraińskiemu czytelnikowi różne aspekty (tytułowe światy) życia ukraińskiej szlachty: jej rycerską kulturę (humor, walkę, zapowiedzi zemsty), relacje z innymi (chłopami, mieszczanami, Żydami), życie rodzinne, sposoby, na jakie szlachcianie szukali sprawiedliwości w sądzie i poza nim, tradycje samorządowe. Ostatni rozdział poświęciłam sposobom wy-

Kozacy nie byli jednolitą masą nie tylko w czasie powstania Chmielnickiego, ale i długo po nim. W tej wspólnotce różne grupy miały odmienne cele, orientacje i wartości, co spowodowało trzydziestoletnią ruinę.

boru królów w Rzeczypospolitej, czyli kulturze politycznej szlachty. Staram się pokazać, jak do tych wydarzeń włączyła się szlachta sześciu rosyjskich

województw, której przedstawiciele byli aktywnymi współtwórcami ówczesnego pejzażu politycznego.

No dobrze, ale może narracja o braterstwie też ma swoje podstawy. Ukraińcy i Rosjanie to przecież dwa prawosławne narody, wyrastają z podobnej tradycji, nie mówiąc o języku...

Właśnie nieświadomie odtworzyła Pani pseudohistoryczną narrację Putina.

Oj! Zabolało. To pewien schemat, chcę, byśmy go zdekonstruowały.

Zacznijmy od najprostszego: ruski czy staroukraiński to zupełnie inny język niż język nowożytej moskiewszczyzny – tak jak zupełnie inne są współczesny język ukraiński i rosyjski. Nikt nie stwierdzi, że polski i ukraiński to to samo, a jednak – jak pokazują badania lingwistyczne – nasze języki (mój i Pani) mają więcej wspólnego niż ukraiński i rosyjski. Wydaje się, że profesor Andrzej Sulima Kamiński miał rację, pisząc o niewłaściwym używaniu słowa „Rusin” we współczesnej narracji historiograficznej. Słuszniejszym wydaje się nazywanie dawnych Rusinów Ukraińcami (Francuzi czy Włosi o swojej historii starożytnej mówią jak o wspólnym łacińskim doświadczeniu).

Teraz o prawosławiu. Według niektórych rosyjskich akademików było ono wspólną przestrzenią sakralną wierzących z Moskwy i Rusinów z Rzeczypospolitej Obojga Narodów. Nie zwracają oni uwagi na odmiennosć struktury i kultury politycznej tych dwóch krajów. Podam jeden wymowny przykład. W cerkwi moskiewskiej, która kultywowała swoją wyjątkowość, tylko poddanych cara moskiewskiego można było nazywać prawdziwymi chrześcijanami. Chrztu potrzebowali nie tylko katolicy i protestanci, ale i prawosławni z sąsiedniego państwa, co zostało usankcjonowane decyzją soboru w 1620 roku. Zabroniono importu literatury prawosławnej do Moskwy, niektóre książki teologiczne były palone, na przykład katechizm Wawrzyńca Zyzaniego-Tustanowskiego. Kościół moskiewski wyobrażał sobie, że jest oblężoną twierdzą. Dlatego dziś zwyczajowo mówi się o prawosławiu kijowskim jako o „trzeciej drodze” między katolicyzmem a prawosławiem (w domyśle

Udział dziedzictwa kozackiego w tworzeniu suwerennej Ukrainy jest ogromny, bo ostatecznie jego pierwowzór ucieleśniała idea Wielkiego Księstwa Ruskiego (unia hadziacka), a następnie hetmanatu.

moskiewskim) – aktywnym zapożyczaniu i transformacji z drugiej połowy XVI wieku przez intelektualistów metropolii kijowskiej.

Z polskiego punktu widzenia historia Rzeczypospolitej Obojga Narodów też nie jest jednak różnorodna. To historia szlacheckiej Polski, w najlepszym przypadku Litwy. Brakuje komponentu ukraińskiego, ale także białoruskiego.

W momencie pojawienia się nowoczesnej historiografii polskiej Rzeczpospolita Obojga Narodów przybierała kształt polskiego państwa narodowego, a jej „odrodzenie” zakładało już dominującą tożsamość polską. Wspomniany Andrzej Sulima Kamiński w swojej książce „Historia Rzeczypospolitej wielu narodów” nazwał utożsamienie Rzeczypospolitej Obojga Narodów z dzisiejszą Polską „polskim imperializmem historiograficznym”, przejawem „narodowego” egoizmu. Z kolei historiografia ukraińska, która wyłania się w ramach Imperium Rosyjskiego i odzwierciedla jego oficjalną wersję, opiera się na kozackiej wersji ukraińskiej historii, zaprzeczając spuściznie Rzeczypospolitej. Od lat dziewięćdziesiątych XX wieku zrozumienie wieloetniczności tego państwa powoli zakorzeniało się wśród nowoczesnych polskich historyków, ale nadal może brakować zrozumienia, że to nie było państwo narodowe. Brakuje gotowości do zmiany narracji z „Rzeczpospolita Obojga Narodów była nie tylko polska, a inni grali rolę wyłącznie statystów” na „Rzeczpospolita Obojga Narodów to kraj wielu spadkobierców”. A dla Ukraińców powrót Rzeczypospolitej do ukraińskiej historii i jej normalizacja oznacza złożony proces dekolonizacji, ponieważ dopiero teraz, w czasie wojny, dostrzegliśmy kulturową przepaść między Ukrainą a Rosją i zadaliśmy sobie pytanie: „Dlaczego tak się różnimy? Co wpłynęło na powstanie tej różnicy?”. Nic rozumowania doprowadzi nas do stwierdzenia, że stoi za tym „inna historia”.

Interesuje mnie jeszcze, kiedy Ukraińcy po raz pierwszy powiedzieli: „jesteśmy odrębnym, niezależnym narodem”?

Tworzenie tożsamości to złożony i długotrwały proces, który ciężko jednoznacznie uchwycić w źródłach. Przecież ludzie z przeszłości nie mówią, kim są (jeśli nie chodzi o, na przykład, przynależność religijną). Tożsamość jest wielokrotna, różnie zhierarchizowana w zależności od okoliczności: odpowiedź na pytanie „kim jestem” będzie inna w kościele, na sejmiku czy w sejmie, na peryferiach czy poza granicami kraju. Stwierdzenie „my, naród” jest efektem pewnych wcześniejszych refleksji nad oddzieleniem

„my” od „oni”. Tak się złożyło, że to kolektywne stwierdzenie „jesteśmy narodem zacnym, nie ustąpimy nikomu” zostało ogłoszone podczas obrad sejmu lubelskiego pod koniec maja 1569 roku. To poważny wkład w podmiotowość, przede wszystkim Wołynian, którzy pod koniec marca, otrzymawszy dekret królewski o wstąpieniu Wołynia do Korony, deklarowali, że są narodem wolnym, więc nie można ich zjednoczyć z czyjejś woli. W rzeczywistości anonowali rzecz podstawową – „nic o nas bez nas”. Deklarowali istnienie własnego prawa, Kościoła, a najmocniej chyba książąt jako potencjalnych władców, a co za tym idzie – poważnej legitymizacji podmiotowości w kategoriach myśli politycznej tamtych czasów. I wtedy uzyskali prawo do napisania przywileju, który gwarantował za-

chowanie wszystkich warunków ich odrębności: nienaruszalności granic i prawa, którego ani król, ani sejm nie mogli zmienić, ruskiego jako języka wymiaru sprawiedliwości i administracji, równości katolików i prawosławnych. Nie podano do wiadomości publicznej, kto należał do tego „zacnego” ludu, ale częściowo ujawniono to na początku czerwca – Wołyń wciągnął do Korony Kijowan i Braclawian, zapewniając im podobny przywilej. Przez długi czas uważano, że nowo przybyli Rusini z Wielkiego Księstwa Litewskiego i starsi obywatele Korony z początku „nie rozpoznali się”. Trzy lata później, pod koniec 1572 roku, starszy bełski i przyszły kanclerz Jan Zamoyski zapewniał jednak o czymś odwrotnym. Napisał do swojego wuja Jakuba Herburt, że w czasie bezkrólewia wszystkie województwa ruskie muszą trzymać się razem, by „w takim czasie i w takich okolicznościach wszystkie te województwa nie konsultowały się osobno, ale wspólnie myślały o sobie i swoich wolnościach”. Zamoyski miał na myśli województwa: wołyńskie, braclawskie, kijowskie, ruskie, bełskie i podolskie.

Ukraińcy powinni pogodzić się z tym, że ich wczesna narodowość sięga czasów Rzeczypospolitej. Na początku to nie Kozacy, a ukraińska (ruska) polityczna część szlachty wiodła prym. Z jednej strony, wraz z innymi „braćmi” tworzy swoją „ojczyznę” Rzeczpospolitą i jej unikalną kulturę dla ówczesnej europejskiej polityki, a z drugiej strony, w różnych momentach historii prezentuje swoją własną agendę i umiejętnie ją realizuje.

I Co ma Pani na myśli, mówiąc o „ruskim narodzie politycznym”?

Ukraińcy powinni pogodzić się z tym, że ich wczesna narodowość sięga czasów Rzeczypospolitej. Na początku to nie Kozacy, a ukraińska (ruska)

polityczna część szlachty wiodła prym. Z jednej strony, wraz z innymi „braćmi” tworzy swoją „ojczyznę” Rzeczpospolitą i jej unikalną kulturę dla ówczesnej europejskiej polityki, a z drugiej strony, w różnych momen-

Znaczenie kozackiej wersji dziejów dla Ukraińców jest ogromne. Stanowią oni ważną część historii i kultury z kozackim barokiem, kronikami kozackimi, drukiem książkowym.

tach historii prezentuje swoją własną agendę i umiejętnie ją realizuje. Proszę zauważyć, że w artykułach henrykowskich w trzech punktach na dwadzieścia jeden znajdują się ślady pracy szlachty ukraińskiej. Zwłaszcza w tym, powiedzielibyśmy, protokonstytucyjnym akcie – obok narodów polskiego i litewskiego (utożsamianego z Koroną i Wielkim Księ-

stwem Litewskim) – „naród ruski” występuje jako siła polityczna, która nie została uwzględniona w dokumentach sejmu lubelskiego.

Może przypomnę, jak w 1632 roku szlachta wołyńska napisała w instrukcji do swoich posłów na sejm elektorski, aby przede wszystkim załatwili się o rozwiązanie nurtującego wszystkie ruskie województwa koronne problemu – uspokojenia „wiary ruskiej”, która dotyczy nie tylko prawosławnych, ale i „całego naszego narodu ruskiego”. Intelktualiści ruscy pierwszej połowy XVII wieku aktywnie wypowiadali się o „ruskim narodzie”, który wraz z narodem polskim i litewskim „zasiada w Senacie, naradza się dla dobra Rzeczypospolitej, przelewa krew za wspólną Ojczyznę”. A to świadczy o stworzeniu przez nich koncepcji Rusi jako trzeciego członka Rzeczypospolitej. Adam z Brusilowa Świętołdycz-Swiętołd Kisiel wyraził to w swoim przemówieniu na sejmie w 1641 roku: „Połączyliśmy naszą wspólną Ojczyznę nie do państwa, ale z państwem, nie do religii, ale z religią, nie do tytułów i zaszczytów, ale z tytułami i zaszczytami”.

Spojrzenie na szlachtę ukraińską jako współtwórcę Rzeczypospolitej z własną „ruską” tożsamością (a nie „skatolizowaną i spolonizowaną”) i podmiotowością pozwala Ukraińcom na zrozumienie całego szeregu wydarzeń i zjawisk.

Mówi Pani o Adamie Kisielu, który w historii zapisał się także jako prawosławny Rusin wierzący w pojednanie z Bohdanem Chmielnickim. Skoro rozmawiamy o XVII wieku, to nie mogę nie zapytać o Kozaków. Czy można powiedzieć, że tradycja kozacka jest przestrzenią, w której narodziła się suwerenność narodu ukraińskiego?

Kozacy nie byli jednolitą masą nie tylko w czasie powstania Chmielnickiego, ale i długo po nim. Wśród Kozaków różne grupy miały odmienne cele, orientacje i wartości, co spowodowało trzydziestoletnią ruinę. Znaczący segment kozacki, zwłaszcza wśród starszyny, zajmowała szlachta. Państwo kozackie zaczęły budować „dzieci” Rzeczypospolitej, mające jej matrycę polityczną (bo prostu nie znali innych przykładów). Będą nazywać wspólnotę kozacką szlachtą, będą sądzić przez Statut, dojdą do wprowadzenia szlacheckiego sądownictwa w latach sześćdziesiątych XVIII wieku, będą kultywować wartości leżące u podstaw kultury politycznej Rzeczypospolitej. Nie bez powodu znana w kręgach ukraińskich „Historia Rusinów”, traktat polityczny z początku XIX wieku, dotyczył kontraktowych stosunków władzy, wolności osobistej, ideałów prawnych, tolerancji religijnej. Imperialnej kulturze zniewolenia i przemocy przeciwstawiły się wartości szlachty Rzeczypospolitej. Moim zdaniem, to właśnie ta przeobrażona przez wiele pokoleń kultura służyła jako mechanizm ochronny przed terrorem i ludobójstwem, którym imperium próbowało podporządkować Ukraińców.

Udział dziedzictwa kozackiego w tworzeniu suwerennej Ukrainy jest ogromny, bo ostatecznie jego pierwowzór ucieleśniała idea Wielkiego Księstwa Ruskiego (unia hadziacka), a następnie hetmanatu. Jednak wydarzenia połowy XVII wieku, które zmieniły elity polityczne w kozackiej części dawnej Rzeczypospolitej, nie zapoczątkowały zupełnie innego typu ustroju państwowego ani nie stworzyły nowej kultury. Nic dziwnego, że po upadku imperiów Ukraińcy w ich granicach szybko przededefiniowali „swoich”. Ukraina była ostatnim z księstw.

Dziś wojna pokazuje nie tylko uderzającą różnicę kulturową między Rosjanami a Ukraińcami, ale także podstawową jedność Ukraińców z Polakami i Litwinami. Pomoc Ukrainie była nie tylko decyzją polityczną Polski i Litwy – to przede wszystkim ruch obywateli, którzy bez głośnych słów dobrowolnie podjęli się służenia wartościom wyznaczonym niegdyś we wspólnej Rzeczypospolitej.

Kiedy myślimy o Kozakach, to wyłącznie o powstaniach kozackich. Co jeszcze pozostawili po sobie Kozacy? Jakie znaczenie mają współcześnie w formułowaniu tożsamości ukraińskiej?

Znaczenie kozackiej wersji dziejów dla Ukraińców jest ogromne. Stanowią oni ważną część historii i kultury z kozackim barokiem, kronikami

kozackimi, drukiem książkowym. Ale to, co nie znajduje porównania, to fakt, że Kozacy są podstawą wyobrażeń o ukraińskiej wspólnotowości, ukraińskiej randze heroicznej i charakterze narodowym. Wreszcie w naszym hymnie państwowym padają słowa: „my, bracia kozackiego rodu”. Historia Ukraińców jest zaprzeczeniem imperium, więc patos kozackiego pragnienia wolności i gotowość do poświęcenia życia służyły jako wzór dla wielu pokoleń Ukraińców. Na niepodległej Ukrainie domagano się innego doświadczenia – doświadczenia budowania państw, do czego Rzeczpospolita była doskonale przygotowana. Ten czas był jednak bardzo krótki.

Dziś wojna pokazuje nie tylko uderzającą różnicę kulturową między Rosjanami a Ukraińcami, ale także podstawową jedność Ukraińców z Polakami i Litwinami. Pomoc Ukrainie była nie tylko decyzją polityczną Polski i Litwy – to przede wszystkim ruch obywateli, którzy bez głośnych słów dobrowolnie podjęli się służenia wartościom wyznaczonym niegdyś we wspólnej Rzeczypospolitej.

Nasza wspólna przeszłość, nasze wspólne wartości okazują się skuteczną bronią przed imperium zniewolenia.



Dlaczego nie boje się na tyle, żeby uciekać?

Z Oleną Szeremet
rozmawia Tomasz Kobylański

Ołena Szeremet – tłumaczka literatury. Przełożyła między innymi reportaże Wojciecha Góreckiego, Wojciecha Jagielskiego, Anety Prymaki-Oniszk, Mirosława Wleklego, Pawła Smoleńskiego. Mieszka w Kijowie.

Tomasz Kobyłański – absolwent ukrainoznawstwa i europeistyki na Uniwersytecie Jagiellońskim. Na tematy związane z Ukrainą pisał dla licznych polskich i ukraińskich wydań, tygodników oraz portali. Po wybuchu wojny w Ukrainie zaangażowany w działania na rzecz wsparcia edukacyjnego ukraińskich uchodźców w Polsce.

| Tomasz Kobyłański: Obudziłaś się dwudziestego czwartego lutego i...

Obudził mnie telefon od mamy. Dochodziła siódma nad ranem. Powiedziała, że Rosja jednak zaatakowała na dobre, że wojska okupacyjne przekroczyły granicę w obwodzie charkowskim i sumskim, że słyszeli z tatą jakieś wybuchy – mieszkają w części miasta, skąd jest bliżej do lotniska w Boryspolu. Mama chciała, żebym zgarnęła dziecko i przyjechała do nich, a ja patrzyłam przez okno. Na ulicy jakiś mężczyzna nosił paczki z samochodu do biura, które znajduje się akurat pod moim mieszkaniem. Spokojnie i bez pośpiechu, jak gdyby nigdy nic. W centrum Kijowa było cicho, zresztą jak w ciągu kolejnych dni pełnowymiarowej wojny. Nie wiem, czy na pewno docierał do mnie prawdziwy sens tego, co słyszałam, chociaż czekaliśmy na atak od miesięcy. Dopiero kiedy zawyły syreny, które są tak blisko mojego mieszkania i zdawało mi się, że ich brzmienie wypełnia mnie od środka, uświadomiłam sobie, że wojna faktycznie dotarła też do nas.

| Rozmawiamy pierwszego lipca, a wojna w Ukrainie trwa już ponad cztery miesiące. Jaki był do tej pory najtrudniejszy dla Ciebie moment?

Najtrudniejsze zdecydowanie były pierwsze dni, tygodnie. Właściwie nie wiem, jak długo to trwało, bo czas po dwudziestym czwartym lutego toczy się innym rytmem. Dni przechodziły w noce, ale prawie nie spałismy, więc po prostu trwalismy w tej nowej rzeczywistości. Emocjonalnie rozsądzało mnie wtedy obserwowanie reakcji niektórych krajów zachodnich, prognozy o szybkim upadku Kijowa, czasem odnosiłam wrażenie,

że mówi się o nas tak, jakby czekano, że po prostu się poddamy i można będzie wrócić do zwykłych spraw. W tym sensie jestem bardzo wdzięczna wszystkim polskim przyjaciołom, którzy od pierwszego dnia wojny bardzo mnie wspierali, proponowali pomoc i nikt nigdy nie wspomniał, że niepotrzebnie się bronimy.

I Najtrudniej było jednak podjąć decyzję o wyjeździe z Kijowa?

Tak, zresztą decyzji tej nie podjęłam. Nieustannie kiedy słyszałam w oddali wybuchy i czytałam o kolejnych rakietach spadających na Kijów – i, co jeszcze gorsze, o próbie przebicia się do miasta przez rosyjskie wojska – zadawałam sobie pytanie: „Dlaczego nie boję się na tyle, żeby uciekać?

Nawet jeśli Rosjanie nie odbierają nam życia, pozbawiają nas najbardziej podstawowej rzeczy: poczucia bezpieczeństwa.

Może po prostu nie cenię własnego życia na tyle, żeby najważniejsze stało się przeżyć? Dlaczego w takim razie nie cenię życia własnego dziecka?”. Czułam wyrzuty sumienia, bałam się, że fatalnie się mylę, poddając dziecko takiemu ryzyku, ale za każdym razem odkładałam wyjazd. Paradoksalnie tu

czułam się spokojniej. Coś podobnego słyszałam od osób będących na kijowskim Majdanie w 2014 roku, kiedy ja zostawałam w domu z kilkumiesięcznym synem. Obserwowanie w mediach tych wydarzeń budziło we mnie przerażenie, natomiast moi znajomi zapewniali, że tam, wśród ludzi, czuje się spokój i stanowczość. Teraz już słyszałam podobne opinie od żołnierzy na froncie. Zresztą mój kuzyn też w tej chwili walczy w jednej z brygad na wschodzie Ukrainy i wiem, że aktywne działanie, pewność, że robi się to, co powinno, daje poczucie spokoju. Natomiast jeśli chodzi o mnie, ja się bałam oderwania od tej rzeczywistości, w której ludzie żyją tutaj i totalnej niemożliwości odnalezienia się tam, gdzie wojny nie ma. Poza tym obawiałam się, że jeśli wyjadę, nigdy nie będę wiedziała, kiedy wrócę, kiedy ten powrót w ogóle będzie możliwy. Dlatego zostawałam tu aż do chwili, kiedy te potworne wątpliwości przestały mnie zżerać od środka. W połowie kwietnia, kiedy wojska rosyjskie zostały wypędzone z obwodu kijowskiego, pojechaliśmy z synem do Lwowa, bo już byłam absolutnie pewna, że wkrótce wrócimy, no i tak się stało, znowu jesteśmy w domu.

I Szczególnym rekwizytem czasów wojny stały się w Twoim przypadku klucze.

Moją uwagę na klucze zwróciła ukraińska reportażystka Wira Kuryko, kiedy napisała, że staliśmy się narodem z kluczem w kieszeni. Wira pisała o swoim doświadczeniu po tym, jak w jej mieszkaniu w Czernihowie w pierwsze dni wojny trafiła rosyjska rakietą. Całe szczęście, że nikogo w tym momencie nie było w domu. Ale takie doświadczenie dzieli teraz wielu Ukraińców: są pozbawieni domów; nawet jeśli nie są one zniszczone, to nie można do nich powrócić, bo znajdują się pod okupacją. Później zobaczyłam zdjęcie opublikowane na Facebooku przez aktywistkę z Mariupola i ukazujące dwa zestawy kluczy – pierwszy jeszcze od jej poprzedniego mieszkania w Doniecku, a drugi już od tego mariupolskiego, gdzie znalazła schronienie po 2014 roku. Musiała je ponownie opuścić, żeby ratować życie. Zabolało mnie to. Nawet jeśli Rosjanie nie odbierają nam życia, pozbawiają nas najbardziej podstawowej rzeczy: poczucia bezpieczeństwa. Od tej chwili za każdym razem, kiedy otwieram drzwi swojego mieszkania, przeżywam to jak dar, bo nie wiem, czy to nie jest ostatni raz.

Kiedy w Ukrainie prowadzimy dyskusje na temat ukraińkości, najczęściej wspominana jest kwestia językowa, która w dużej mierze pokazuje, na ile nasza tożsamość jest jeszcze bardziej skomplikowaną i wielowymiarową konstrukcją niż w przypadku innych narodów.

Jesteś przedstawicielką ukraińskiej inteligencji. Co w ogóle dla ciebie znaczy tożsamość ukraińska?

Na moje postrzeganie ukraińkości ogromny wpływ wywarły wspomniane już wydarzenia na Majdanie. Ta kreatywność, niczym niepowstrzymana energia, solidarność i wspieranie się nawzajem, znana już całemu światu godność, która przejawia się w bardzo prostych gestach zwyczajnych ludzi, którzy może nigdy w życiu nie rozmyślali o rzeczach abstrakcyjnych, ale nie życzą sobie poniżania i odbierania prawa do decydowania o własnym losie. Ale najbardziej chyba mnie urzekło to, jak dużo ludzi wyszło na Majdan w momencie, kiedy doszło do przemocy wobec grupki bezbronnych studentów. Właśnie ta odwaga i desperacka gotowość walki o swoje jest dla mnie w tym momencie najbardziej podstawowym wyróżnikiem naszej tożsamości. Jeszcze raz upewniłam się w tym, kiedy moja koleżanka opowiedziała mi, jak w pierwsze dni wojny jej mama na wia-

domość o tym, że czołgi rosyjskie są już na rogatkach Kijowa, chciała iść powstrzymywać je gołymi rękami (zresztą takie historie znamy z obwo-
du chersońskiego czy mojej małej ojczyzny – Czernihowszczyzny). Moja
koleżanka musiała błagać swoją siedemdziesięciokilkuletnią mamę, żeby
została w domu, bo to już nie jest Majdan i że mamy wojsko, które też
tworzymy wspólnie, całym narodem.

Czy po wybuchu wojny zauważasz, także wśród swoich znajomych, znaczące zmiany w postrzeganiu bycia Ukrainką lub Ukraińcem? A może znasz przykłady osób, które nagle zmieniły postrzeganie ukraińskości i tożsamości narodowej?

Kiedy w Ukrainie prowadzimy dyskusje na temat ukraińskości, najczęściej wspomniana jest kwestia językowa, która w dużej mierze pokazuje, na ile

Na moje postrzeganie ukraińskości ogromny wpływ wywarł Majdan. Ta kreatywność, naszym niepowstrzymana energia, solidarność i wspieranie się nawzajem, znana już całemu światu godność, która przejawia się w bardzo prostych gestach zwyczajnych ludzi, którzy może nigdy w życiu nie rozmyślali o rzeczach abstrakcyjnych, ale nie życzą sobie poniżania i odbierania prawa do decydowania o własnym losie.

nasza tożsamość jest jeszcze bardziej skomplikowaną i wielowymiarową konstrukcją niż w przypadku innych narodów. W dużym uproszczeniu: absolutna większość z nas jest dwujęzyczna, z dominacją rosyjskiego w dużych miastach na wschodzie. Niektórzy z nas nigdy nie musieli dokonywać wyboru, którym językiem chcą się posługiwać na co dzień, bo było to naturalną, a dla innych dojrzałą i świadomą decyzją. Ja właśnie należę do tej drugiej grupy i przez prawie całe życie obserwuję, jak język ukraiński wybija się na pierwszą pozycję na wszystkich poziomach, od kultury do biznesu. Znajoma opowiadała mi o swoich przygodach z językiem: w domu mówiło się w jednym języku, a poza domem – w szkole, z kolegami, później w pracy –

w innym. Byłam przekonana, że tym językiem domowym był ukraiński, bo tak było w moim przypadku i w przypadku wielu moich znajomych. Rosyjski był dla nas językiem, którym komunikowało się „na zewnątrz”, żeby dzieci w szkole nie szczydziły, żeby nie wyróżniać się, nie odpowiadać na głupie pytania, skąd tu przyjechałaś. Natomiast okazało się, że moja znajoma jest z rosyjskojęzycznej rodziny, ale to ukraiński stał się dla niej językiem, w którym dobrze się czuje w komunikacji z otoczeniem. Takie zmiany odbywały się długo przed 2022 rokiem. Na przykład moi bliscy

przyjaciele, charkowsko-krymska rodzina. Przez długi czas myślałam, że ich dzieci nawet nie mówią po rosyjsku, bo oni pragną oderwać się od kultury rosyjskiej w najszerszym jej znaczeniu, uświadamiając wszystkim jej toksyczność. Te zmiany przyspieszyły się z początkiem pełnowymiarowej wojny w Ukrainie.

Z Anastazją Krywenko, lwowską etnologką i badaczką ukraińskich tradycji, rozmawiałem dokładnie cztery miesiące temu. Powiedziała wówczas: „Ukraińska kultura jest żywa, zmienia się i hartuje wraz z ukraińską duszą. Nawet w najtrudniejszych warunkach wojny i walki z okupantem o własną wolność”. Tak jest chyba również z ukraińską tożsamością czasów wojny?

Tożsamość z założenia nigdy nie jest czymś dokonanym, to zawsze nieustanny proces, płynna i nie zawsze łatwo uchwytana konstrukcja. W ogóle mam wrażenie, że żyjemy w czasach, kiedy wszystko dzieje się bardzo intensywnie, a wojna jeszcze bardziej to przyspieszyła. Teraz wytężamy wysiłki, bo chcemy nie tylko przeżyć, ale też zachować to, co jest dla nas najważniejsze (bo ile warte będzie życie bez naszych wartości?). Siłą rzeczy współcześnie bardzo zmieniło się postrzeganie wojska, które od dawna jest naszą wspólną sprawą. Podziwiamy bohaterstwo każdego obrońcy, wśród których jest dużo przedstawicieli całkiem cywilnych zawodów, nie walczą przecież tylko zawodowi żołnierze. Dzieci utożsamiają się z nimi i są dumne, że tak dzielnie walczymy. Jasne, że nasze problemy nie znikną, nie stanie się żaden cud, który nas wyzwoli z korupcji czy wpływu rosyjskiej propagandy, ale wierzę, że rozumienie tego, jak wysoką cenę płacimy teraz, pomoże nam też skuteczniej rozwijać nasz kraj w przyszłości.

Przetłumaczyłaś niedawno z polskiego na ukraiński książkę Mirosława Wlekłego „Gareth Jones. Człowiek, który widział za dużo”. Niemal dokładnie dziewięćdziesiąt lat temu młody dziennikarz Gareth Jones wyjeżdża do Związku Radzieckiego, aby przeprowadzić wywiad z Józefem Stalinem. Jako jeden z nielicznych

Zawsze byłam dumna, że jestem Ukrainką. Nie dlatego, że jakoś specjalnie różnimy się od reszty świata, po prostu lubię swój kraj, czuję się spełniona w tym, co tu robię. Teraz raczej myślę o tym, że bycie Ukrainką to ogromny zaszczyt i odpowiedzialność. Po tym, jak zobaczyliśmy odwagę wojskowych, ale też cywilów rzucających się na rosyjskie czołgi, pytam siebie, czy ja też mam w sobie odrobinę tej odwagi, skoro należę do tego narodu?

zachodnich korespondentów dostaje się na ogarniętą terrorem Ukrainę, gdzie widzi spustoszenie Wielkiego Głodu...

Na jednym ze spotkań promujących książkę Mirosława Wleklego zapytano mnie, dlaczego to zawsze ktoś inny tłumaczy nam naszą historię. Tym razem polski reportażysta, wcześniej amerykański historyk James Mace czy brytyjski historyk i dyplomata Robert Conquest. Tu chodzi głównie o Wielki

Czasem ktoś okrutnie zapyta, gdzie są nasi nobliści, całkiem ignorując fakt, że prawie całą inteligencję rozstrzelano w Sandarmochu jeszcze podczas represji radzieckich, a resztę złamano i zmuszono do współpracy z władzami.

Głód, ale tę tendencję można rozszerzyć też na inne rozdziały naszych dziejów. To jest bolesne pytanie, dotyczące naszej podmiotowości i wagi ukraińskiego głosu poza granicami kraju. Podmiotowość ta była skutecznie wypieniana przez długie stulecia. Natomiast Ukraińcy, którzy mogliby opowiedzieć o Holodomorze, w znacznej części zginęli. Mam na myśli całe pokolenie ukraińskiej inteligencji, której przedstawiciele zabito, ale też wysłano do łagrów albo zastraszone na tyle, że

nie było możliwe, by prawdę o naszej tragedii przekazywał ktoś z Ukraińców. Wiadomo, zawsze jest szansa, że ktoś o tym wiedział, przecież Wasyl Barka napisał o tym powieść, ale tego było za mało. Czasem ktoś okrutnie zapyta, gdzie są nasi nobliści, całkiem ignorując fakt, że prawie całą inteligencję rozstrzelano w Sandarmochu jeszcze podczas represji radzieckich, a resztę złamano i zmuszono do współpracy z władzami. Poza tym cała ogromna machina rosyjskiej propagandy działała po to, żeby przekłamać i przemilczeć tę i inne tragedie, co zresztą dobrze widać na przykładzie dzielnego Waliencyka Jonesa.

Przypomnę też, że Wasyl Stus, poeta światowej skali, zginął w łagrze radzieckim w 1985 roku, dwa lata przed moim urodzeniem. To zawsze mnie szokowało, bo z reguły myślimy, że żyjemy już w czasach, kiedy coś takiego jest nie do pomyślenia.

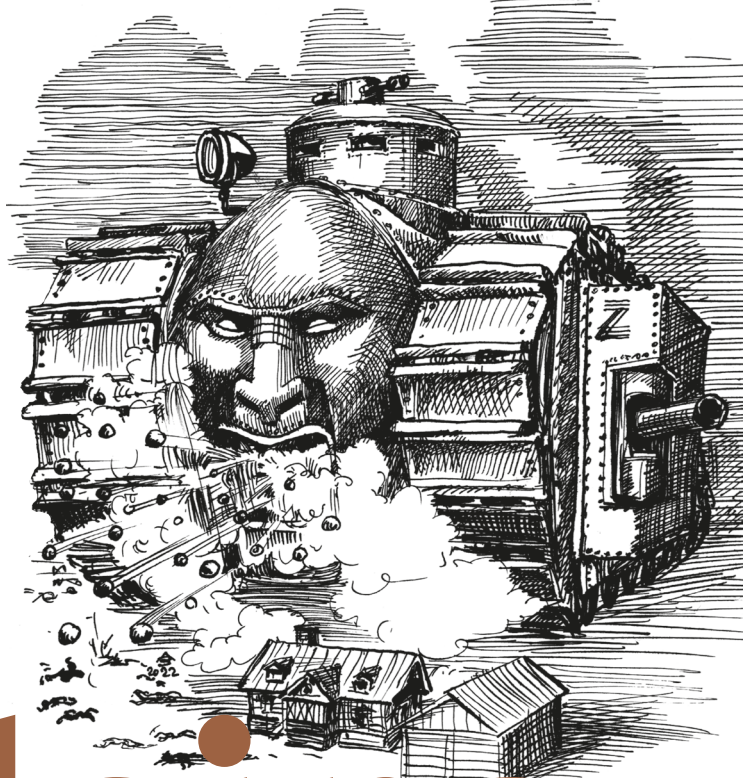
Dziś natomiast dzieła wybitnych twórców są niszczone, płoną w zbombardowanych ukraińskich szkołach i uniwersytetach.

Tak, a nasi naukowcy, filmowcy i poeci – zamiast tworzyć – walczą z bronią w ręku. Oddają wszystkie siły, aby pomóc armii, czy dbają o przetrwanie własnych dzieci. I zdarza się, że znowu giną, niestety. Ale też ze smutkiem trzeba przyznać, że często ukraińskie dokonania są ignorowane, jak na

przykład w przypadku, na który zwróciła uwagę historyczka Olena Stażkina: wojnę, którą przeżywamy, tłumaczy się na świecie przez faszyzm i historię drugiej wojny światowej, chociaż Rosjanie zawsze zachowywali się w taki sposób, zawsze kultywowali własny imperializm i wielkość, nie oszczędzając kosztów, o czym najlepiej wiedzą kolonizowane przez nich narody. Najgorzej, że nawet dzisiaj nie ma na świecie powszechnej zgody na to, żeby ufać intuicji i doświadczeniu Ukraińców. Widzimy natomiast, jak zachodnie media oddają głos byłej pracownicy najbardziej propagandowego programu rosyjskiej telewizji, która w roli korespondentki ma opowiadać na Zachodzie o Ukrainie. Albo dziennikarzowi, który przez lata doszukiwał się w Ukrainie neonazistów, robiąc to całkiem w duchu rosyjskiej propagandy. Ukraińscy dziennikarze są zaś przede wszystkim obywatelami kraju ogarniętego wojną, są ograniczeni w pracy zasadami bezpieczeństwa, nie mogą publikować informacji niepotwierdzonych przez Siły Zbrojne, ale też cały czas ryzykują życiem, żeby zbierać świadectwa zbrodni Rosjan w Ukrainie.

Jesteś kijowianką i Ukrainką. Brzmi to teraz dla ciebie jeszcze bardziej dumnie niż wcześniej?

Zawsze byłam dumna, że jestem Ukrainką. Nie dlatego, że jakoś specjalnie różnimy się od reszty świata, po prostu lubię swój kraj, czuję się spełniona w tym, co tu robię. Teraz raczej myślę o tym, że bycie Ukrainką to ogromny zaszczyt i odpowiedzialność. Po tym, jak zobaczyliśmy odwagę wojskowych, ale też cywilów rzucających się na rosyjskie czołgi, pytam siebie, czy ja też mam w sobie odrobinę tej odwagi, skoro należę do tego narodu? Chciałabym w to wierzyć, bo wiem, że mamy przed sobą jeszcze dużo tragicznych strat i musimy mozolnie pracować, żeby przybliżyć się do naszego zwycięstwa.



Kolejna odslona tej samej wojny

Z Heorhijem Kasjanowem
rozmawia Hanna Bazhenova

Heorhij Kasjanow – profesor Uniwersytetu Marii Curie-Skłodowskiej w Lublinie. Autor i współautor ponad dwudziestu książek na temat historii Ukrainy w XIX-XXI wieku oraz dotyczących historii idei i historii społecznej. Obecnie specjalizuje się w badaniach nad pamięcią historyczną w Europie i krajach byłego ZSRR. Jego najnowsze publikacje: „Memory Crash: Politics of History In and Around Ukraine, 1980s-2010s” (Central European University Press, 2022), „From ‘the Ukraine’ to Ukraine: Recent History of the Nation-Building” (co-authored and co-edited with M. Rojanski, M. Minakov, Ibidem Verlag – Columbia University Press, 2021).

Hanna Bazhenova – starszy analityk w Instytucie Europy Środkowej oraz adiunkt Uniwersytetu Marii Curie-Skłodowskiej w Lublinie. Autorka trzech monografii oraz licznych publikacji związanych z tematyką środkowoeuropejską. Zainteresowania badawcze: dzieje Polski, Ukrainy i Rosji; polityka historyczna i polityka pamięci w Rosji i na Ukrainie; podstawy władzy państwowej i administracji publicznej; system polityczny oraz polityka wewnętrzna i zagraniczna Ukrainy.

Hanna Bazhenova: Czy po zmianach w polityce historycznej Rosji i Ukrainy, odnotowywanych przez badaczy po 2014 roku, można było przewidzieć wojnę w 2022 roku, czy przyszła ona nagle? Czy i Pan się jej nie spodziewał?

Heorhij Kasjanow: Zaskoczeniem były dla mnie skala i okrucieństwo inwazji. Niepokój i przeczucie nadchodzących nieszczęść pojawiły się po przemówieniu prezydenta Władimira Putina w przededniu uznania Donieckiej Republiki Ludowej i Ługańskiej Republiki Ludowej. Ale nawet wtedy myślałem, że maksimum tego, na co się odważy, to eskalacja na Donbasie. Warto jednak wspomnieć, że wojna na Donbasie trwała już osiem lat, a od 2014 roku był okupowany Krym. Dlatego też wszyscy byli już w jakiś sposób przyzwyczajeni do komunikatów nadchodzących z frontu wschodniego, gdzie odbywały się działania wojskowe w formie walk pozycyjnych i niewielkich operacji taktycznych. Społeczeństwo przywykło także do powolnego procesu mińskiego, perspektywy zamrożenia konfliktu i omawiania wariantów reintegracji Donbasu. Powstała Platforma Krymska, na której dyskutowano o perspektywach powrotu półwyspu w granice Ukrainy. Była nadzieja, że kiedyś sytuacja się unormuje i konflikt zostanie rozwiązany drogą dyplomatyczną. Jednocześnie w polityce

historycznej i w sferze humanistyki dało się zauważyć dwie przeciwstawne tendencje. Z jednej strony obserwowano próby podtrzymywania jakiegoś dialogu z tymi przedstawicielami rosyjskiej humanistyki, którzy uzna-

Na Ukrainie jedna część społeczeństwa postrzegała Rosję wyłącznie jako źródło egzystencjalnego zagrożenia, druga traktowała ją lojalnie.

wali Ukrainę za suwerenne państwo i nie popierali rosyjskiej agresji. Z drugiej strony w Rosji narastała tendencja do przedstawiania Ukrainy i Ukraińców jako swoistej chaotycznej wspólnoty oderwanej od Rosji przez zdradziecki Zachód; wspólnoty, która może istnieć tylko w składzie wielkiej Rosji i nie

może pretendować do posiadania podmiotowości politycznej. Co więcej, mit o Ukrainie zachwyconej podobnymi do zwierząt nacjonalistami był tak intensywnie promowany w Rosji, że zaczęli w niego wierzyć sami jego twórcy.

Jak postrzegało Rosję społeczeństwo ukraińskie w przededniu agresji dwudziestego czwartego lutego 2022 roku?

Na Ukrainie jedna część społeczeństwa postrzegała Rosję wyłącznie jako źródło egzystencjalnego zagrożenia, druga traktowała ją lojalnie. Można też wspomnieć o tych, którzy liczyli na normalizację społeczeństwa rosyjskiego. Wszystko to odbijało się w różny sposób na polityce historycznej, która z roku na rok stawiała się coraz bardziej antagonistyczna – zarówno między Rosją a Ukrainą (i innymi sąsiadami), jak i wewnątrz obu tych krajów. Ogólnie rzecz biorąc, tendencje były takie, że można było przewidzieć zaostrzenie sytuacji. Ale większość uważała, że to zaostrzenie będzie dotyczyć tylko Donbasu. Niepokojące były również wypowiedzi Putina o „historycznych rosyjskich ziemiach”, przypomnę też o „Projekcie Noworosja”, który został zamrożony w 2015 roku, a teraz obserwujemy jego realizację na drodze militarnej. Rozpatrywałem go jako ideologiczną osłonę dla zamiarów stworzenia lądowego korytarza między okupowaną częścią Donbasu a Krymem, ale skoro projekt został zawieszony, sądziłem, że go porzucono (zwłaszcza że wybudowano most krymski). Nie mogę wypowiadać się za innych historyków. Mówiąc jednak o sobie, mogę przyznać, że z jednej strony starałem się sygnalizować o niebezpieczeństwie transferu jawnie fałszywych interpretacji wydarzeń historycznych w sferę praktycznej polityki, z drugiej zaś nie doceniałem rzeczywistego przeniesienia ich w sferę działań wojennych. Co więcej, myliłem się co

do możliwości wpływania na świadomość rosyjskiego establishmentu za pomocą wiedzy naukowej. Wspomniany przeze mnie dialog z historykami rosyjskimi, który starałem się podtrzymywać po 2014 roku, okazał się bezużyteczny. Kiedy mówią armaty, muzy milczą. Niektórzy z moich rosyjskich kolegów, z którymi współpracowałem lub utrzymywałem osobiste kontakty, opuścili Rosję po dwudziestym czwartym lutego, niektórzy są w stanie zawieszenia.

Jak Pan ocenia ogłoszone przez Putina „denazyfikację” i „dekomunizację” Ukrainy jako powód

i cel wojny? Nie są one sobie przeciwstawne? Co to jest – szaleństwo, cynizm czy próba użycia pojęć znanych zarówno w Europie, jak i w Rosji?

„Denazyfikacja” to oczywiście eufemizm, stanowi ideologiczną osłonę dla zamiarów zniszczenia lub maksymalnego osłabienia Ukrainy jako suwerennego państwa. Należy zauważyć, że w trakcie wojny żaden z rosyjskich polityków nie mógł konkretyzować tego sloganu, z wyjątkiem ludożerczego artykułu Timofieja Siergiejcewa (publicysty, apologety Kremla), który w swoim duchu i intencjach w pełni odpowiada podstawowym fundamentom nazizmu. Hasło „denazyfikacji” opiera się na dwóch podstawach: przedstawieniu Ukrainy jako państwa zagarniętego przez nazistów i połączeniu tego przedstawienia z mitem o Rosji jako państwie, które zwyciężyło niemiecki nazizm w Europie. Ponieważ na Ukrainie po 2014 roku występowało (właśnie jako reakcja na rosyjską agresję) kultywowanie wydestylowanego heroicznego mitu OUN, która przez jakiś czas współpracowała z nazistami, oraz UPA, która walczyła z władzą radziecką (a Putin nazwał ZSRR historyczną Rosją) – posłużyło to do stworzenia mitu o odrodzonym na Ukrainie nazizmie i kontynuacji walki z nim. Jeśli chodzi o „dekomunizację”, proces ten, nader powierzchowny i w dużej mierze imitacyjny, został wykorzystany po pierwsze do ukształtowania wizerunku niewdzięcznej Ukrainy, która według Putina powstała dzięki władzy komunistycznej, a po drugie do rewizji spuścizny czasów radzieckich, czyli rewizji granic politycznych. W tym przypadku Putin i jego otoczenie występują jako najbardziej

Tendencje były takie, że można było przewidzieć zaostrzenie sytuacji. Ale większość uważała, że to zaostrzenie będzie dotyczyć tylko Donbasu.

W tym przypadku Putin i jego otoczenie występują jako najbardziej radykalni „dekomunizatorzy” – próbują zniszczyć Ukrainę, której współczesne granice powstały pod rządami radzieckimi.

radykałni „dekomunizatorzy” – próbują zniszczyć Ukrainę, której współczesne granice powstały pod rządami radzieckimi. Jest to cyniczna manipulacja, typowa dla każdej propagandy mającej usprawiedliwiać agresję.

Czy Pana zdaniem celem wojny jest odbudowa Imperium Rosyjskiego, ZSRR, a przynajmniej „rosyjskiego świata”?

Cel tej wojny nie ma elementu konstruktywnego, czyli odtworzenia czegoś. Zresztą on się wciąż zmienia. Na początkowym etapie chodziło o obalenie

ZSRR zapewnił Ukrainie pewną formę quasi-państwowości. Dzisiejsza Rosja nie uznaje prawa Ukraińców do bycia sobą – w jakiegokolwiek formie.

obecnej władzy, powołanie marionetkowego rządu w Kijowie i „rozwiązanie problemu Donbasu”. Ponieważ Ukraińcy nie zechcieli podporządkować się Rosji i nie biegli z kwiatami do „wyzwolicieci spod nazizmu”, należało stworzyć nowe usprawiedliwienie dla inwazji. Teraz więc chodzi albo o zniszczenie

Ukrainy jako państwa, albo – jeśli to się nie uda – o maksymalne zniszczenie jej potencjału ekonomicznego, demograficznego, kulturalnego, pozbawienie jej znacznej części terytorium (dwadzieścia procent kraju już znajduje się pod okupacją) i przekształcenie pozostałego obszaru w pustynię.

Oczywiście nie można mówić o żadnym odtworzeniu imperium czy ZSRR, ponieważ nie da się integrować obecnej Ukrainy z jakąkolwiek przestrzenią, w której będzie Rosja. Rzeczywiście stała się ona egzystencjalnym zagrożeniem dla Ukraińców – przy tym nie tylko na poziomie koncepcji geopolitycznych, ale też na poziomie najbardziej konkretnym. Imperium czy ZSRR w takiej czy innej formie pozostawiały Ukraińcom możliwość istnienia i zachowania tożsamości. ZSRR zapewnił Ukrainie nawet pewną formę quasi-państwowości. Dzisiejsza Rosja nie uznaje prawa Ukraińców do bycia sobą – w jakiegokolwiek formie. Chce ich wchłonąć lub zanihilować.

Czy próby desowietyzacji ukraińskiego krajobrazu symbolicznego, w tym usunięcie pomników Lenina, uchwalenie ustaw dekomunizacyjnych i tak dalej po 2014 roku zakończyły się sukcesem czy nie?

Słowo „symboliczny” jest tutaj kluczowe. Desowietyzacja (błędnie nazywana dekomunizacją) miała charakter symboliczny, a pod wieloma względami imitacyjny. Do 2014 roku Ukraina w sposób naturalny uległa całkowitej de-

sowietyzacji. Na przykład większość pozostałych pomników działaczy radzieckich, nazw ulic i innych obiektów toponimiki straciła już swoje pierwotne znaczenie ideologiczne. Dla ogromnej większości ludzi wszystkie te imiona i nazwy utraciły swoje ideologiczne i sakralne znaczenie. Dla jednej części inicjatorów i promotorów desowietyzacja była zadaniem ideologicznym, dla innych środkiem politycznego PR i sposobem na zarobienie krótkoterminowych dywidend politycznych, dla kogoś była to winda społeczna, a nawet sposób na zarabianie pieniędzy. Socjologia pokazuje, że „dekomunizacja” nie była popularna wśród ludności, a ponadto generowała nadmierne napięcia i konflikty w kraju. W dużej mierze „dekomunizacja” jest polityczną mistyfikacją pewnej grupy polityków i manipulatorów, która naprawdę miała znaczenie czysto symboliczne. To, że tak boleśnie odebrano ją w Rosji, wynika z jej komponentu derusyfikacyjnego.

W dużej mierze „dekomunizacja” jest polityczną mistyfikacją pewnej grupy polityków i manipulatorów, która naprawdę miała znaczenie czysto symboliczne. To, że tak boleśnie odebrano ją w Rosji, wynika z jej komponentu derusyfikacyjnego.

Jak Pan ocenia ukraińską narrację narodową oraz mitologizację po 2014 roku i od początku wojny – czy zmieniły się i czy pomagają jednoczyć naród w obliczu egzystencjalnego zagrożenia?

Ukraińska narracja narodowa występuje w dwóch formach: historii Ukrainy jako historii etnicznych Ukraińców i historii Ukrainy jako historii wszystkich żyjących tu narodów (grup etnicznych). Oba warianty współistnieją i przeplatają się, współdziałają ze sobą już od dawna, na długo przed 2014 rokiem. Agresja Rosji stała się przyczyną radykalizacji pierwszego, ekskluzywnego wariantu (w którym niektóre grupy etniczne, na przykład „ukraińscy Rosjanie”, znalazły się w niekorzystnej sytuacji). Jednocześnie bardziej akceptowalna stała się druga wersja: aneksja Krymu paradoksalnie przyczyniła się do włączenia Tatarów krymskich w narrację narodową, ale już nie jako obcych. Coś podobnego stało się z żydowską historią i Ho-

Na froncie nie ma czasu, by wyjaśniać, kto był kim w przeszłości. Uchodźcy i wolontariusze nie mają możliwości zajmować się pomnikami i nazwami ulic. Nie jest też dla nich ważne, kto daje pieniądze na opatrunki czy lekarstwa. Jeśli chodzi o przetrwanie narodu, tylko ci, którzy nie mają sumienia, znajdują siłę i czas, aby toczyć spór o jego przeszłość.

Istnienie Ukraińców i Ukrainy jako suwerennego podmiotu historii jest wyzwaniem dla rosyjskiej ponadnarodowej tożsamości imperialnej, a ponadto jest powodem egzystencjalnego niepokoju. Oddzielenie Ukraińców od historycznego ciała Rosji jest wyzwaniem dla istnienia tego państwa.

toczyć spór o jego przeszłość.

lokaustem – je też zaczęto akceptować jako swoje w narodowej narracji. W obecnych warunkach zdecydowana większość obywateli Ukrainy nie jest skłonna do wnikliwej analizy przeszłych wydarzeń z powodu działań wojennych. Na froncie nie ma czasu, by wyjaśniać, kto był kim w przeszłości. Uchodźcy i wolontariusze nie mają możliwości zajmować się pomnikami i nazwami ulic. Nie jest też dla nich ważne, kto daje pieniądze na opatrunki czy lekarstwa. Jeśli chodzi o przetrwanie narodu, tylko ci, którzy nie mają sumienia, znajdują siłę i czas, aby

| Co Pan sądzi o koncepcji Ołeksija Arestowycza „Rus-Ukraina”?

Nie widzę tu koncepcji. Dostrzegam zwykłą manipulację, którą teraz nazywa się hypem. Koncepcję o podobnej nazwie miał Mychajło Hruszewski, ale żeby ją omówić, trzeba napisać osobną książkę.

| Dlaczego Rosja już od trzydziestu lat nie potrafi pogodzić się z niepodległością Ukrainy? Problem tkwi w imperium (Rosja bez Ukrainy nie jest imperium) czy w obawie przed demokratyzacją Federacji Rosyjskiej?

Jeśli mówimy o klasie rządzącej i większości elit kulturalnych i politycznych, które obsługują tę klasę, to nie dyskutujemy o trzydziestu latach, ale o dłuższym okresie. W epoce nacjonalizmu, kiedy zaczęła kształtować się współczesna ukraińska tożsamość kulturowa i polityczna, tożsamość rosyjska uformowała się już jako imperialna i ponadnarodowa. Nie było w niej miejsca na uświadomienie sobie tożsamości ukraińskiej jako odrębnej i niezależnej. Ukraińcy byli postrzegani jako część dużego narodu rosyjskiego. W związku z tym tożsamość ukraińską, ukształtowaną jako narodową, postrzegano jako antagonistę rosyjskiej, jako coś nienaturalnego. W połowie XIX wieku rosyjskie elity tłumaczyły to intrygami Polaków, potem Austriaków, następnie Niemców. Teraz tłumaczą to intrygami zbiorowego Zachodu. Oczywiście jest, że w tym światopoglądzie takie intrygi miały jeden cel – osłabienie Rosji. Dlatego istnienie Ukraińców i Ukrainy jako suwerennego podmiotu historii jest wyzwaniem dla rosyjskiej

ponadnarodowej tożsamości imperialnej, a ponadto jest powodem egzystencjalnego niepokoju. Oddzielenie Ukraińców od historycznego ciała Rosji jest wyzwaniem dla istnienia tego państwa. Z kolei elity ukraińskie również postrzegają to podejście jako zagrożenie egzystencjalne. Nieuznanie Ukraińców za samodzielny podmiot historii wywołuje adekwatną reakcję: Rosja staje się nie tylko kulturowym i cywilizacyjnym „Innym”, lecz przekształca się w „Obcego”.

Całkiem możliwe, że wojna Federacji Rosyjskiej z Ukrainą jest początkiem procesu śmierci Rosji w jej obecnym kształcie.

I Co jest rezultatem tej sytuacji i gdzie należałoby szukać jej rozwiązania?

Rezultatem jest egzystencjalny antagonizm i odwieczny konflikt, który można rozstrzygnąć albo poprzez zmianę tożsamości i światopoglądu, albo przez wyeliminowanie jednej ze stron konfliktu. W Rosji od półtora wieku nie nastąpiła zmiana światopoglądowa, przynajmniej wśród klasy rządzącej. Dlatego wybrała drogę zniszczenia Ukraińców lub ich maksymalnego osłabienia. Z kolei Ukraińcy raczej nie zgodzą się z takim wariantem rozwiązania problemu. Całkiem możliwe, że wojna Federacji Rosyjskiej z Ukrainą jest początkiem procesu śmierci Rosji w jej obecnym kształcie.



„Nie do europa”

Z Ładą Nakonechną, ukraińską artystką współczesną,
rozmawia Anna Łazar

Lada Nakonecha – artystka współczesna. Jej prace powstają często w formie instalacji z wykorzystaniem rysunku, tekstu, fotografii. Koncentrują się wokół kryteriów poznawczych, pokazują utrwalone i manipulacyjne aspekty struktur wizualnych i tekstowych. Redaktorka pisma o sztuce, literaturze i polityce prostory.net.ua. Od roku 2008 członkini kuratorskiej i aktywistycznej grupy Chudrada, a od 2005 roku artystycznej grupy Rewolucyjna Przestrzeń Eksperymentalna. Współzałożycielka Metod Fond oraz programu edukacyjnego „Kurs sztuki”, w ramach którego badane są różne sposoby badania i praktykowania sztuki. Jej prace pokazywano na wielu wystawach w Ukrainie i na świecie.

Anna Łazar – kuratorka w Muzeum Sztuki w Łodzi, publicystka. Współpracuje z „Czasem Literatury”. Członkini redakcji „Nowej Europy Wschodniej”, tłumaczka (między innymi „Dlaczego w sztuce ukraińskiej są wielkie artystki” Kateryny Jakowenko czy „Planeta Piołun” Oksany Zabuzko). Pracowała w dziedzinie dyplomacji publicznej w MSZ jako wicedyrektorka i pełniąc obowiązki dyrektora w Instytutach Polskich w Kijowie (2008-2014) i w Sankt-Petersburgu (2015-2018).

Anna Łazar: Jak w czasie wojny, intensyfikacji rosyjskiej agresji, ludobójstwa widzisz sytuację sztuki ukraińskiej?

Lada Nakonecha: Współczesna sztuka ukraińska bez przerwy znajduje się w sytuacji nadzwyczajnej wobec nieustannego naporu rzeczywistości i kontekstu wymagającego reakcji. Odzew ze strony sztuki jest dość zróżnicowany, co mnie cieszy. Ale wspólne w artystycznych reakcjach jest to, że pozostają związane z politycznym, kulturowym i społecznym życiem Ukrainy. Różne metody i strategie artystyczne działają ze współczesnością na różnych poziomach. Nie chcę mówić jedynie o kole artystów, pod którego wrażeniem pozostają i z którym pracuję; spróbuję odnieść się do szerszej sytuacji. Sztuka powstająca dzisiaj rzadko ignoruje współczesność. Dla mnie jednak najciekawsza jest „praca sztuki ze współczesnością” w ro-

**Wszyscy razem powinniśmy
krzyczeć o tym, co dzieje się
w Ukrainie, ale wówczas tracimy
ten czas, którego i tak nie mamy.
Tracimy go, rezygnując z pracy,
która jest nam niezbędna.**

zumieniu Agambena. Otóż chodzi o niewielkie oddalenia od współczesności, traktowane jako pewien anachronizm, dzięki któremu można współczesność osiągnąć jako cień albo ciemność światła czy ciemność, która jeszcze nie dosięgła światła. Chodzi o terażniejszość, która w jakiś sposób ją przekracza i formuje. Nawet artyści wychowani przez

radziecki typ myślenia, którzy uważają, że sztuka ma być apolityczna, a temat ten zasługuje na odrębną rozmowę, reagują na dzień dzisiejszy.

Sztuka za czasów radzieckich była zinstrumentalizowana do ilustracji tez politycznych. To, co rozumiemy dzisiaj jako sztukę współczesną, współgra z terażniejszością, ale buduje też autonomiczną opowieść, a nie wizualizację ideologicznego zamówienia.

Co ciekawe, praktyki artystyczne, które wyszły z rozumienia sztuki formowanej przez Związek Radziecki, cały czas są w użyciu. Pozostały jako rodzaj instrumentarium. Nie obsługują jakiejś konkretnej polityki partii czy też państwa, ale politykę wspólnot. Jeśli jest to wspólnota konserwatywna, obsługują interesy tej właśnie wspólnoty. Przygotowują wypowiedzi o charakterze ilustracyjnym, chociaż dotyczące gorących tematów. I jest to sfera sztuki, która mniej mnie interesuje. Ta, która mnie zajmuje, wypracowała kilka strategii. Jedna z nich to gorąca, natychmiastowa odpowiedź na wymagającą tego sytuację. Ta sztuka zbliża się do aktywizmu, ale utrzymuje rodzaj wewnętrznej komplikacji. Staje się też pewnym dokumentem, w którym mieści się terażniejszość, opowiada o niej dla przyszłości. Z jednej strony jest to forma aktywistycznego apelu, ale ze względu na swoją kompleksowość pozostaje w polu sztuki współczesnej. Druga reakcja jest odwrotna: polega na odejściu od przygotowywania prac na szybko, stawia na długotrwałą pracę, nawet mając świadomość, że tego czasu nie ma. Uważam, że jest to równie cenne. To praca między innymi z polem instytucjonalnym, nie tylko w sensie organizacyjnym, ale w sensie myślenia – z językiem, z metodami. Z grupą znajomych utworzyliśmy Metod Fund, w ramach którego zajmujemy się między innymi oświatą artystyczną. Nawet ze świadomością, że być może nie ma przed nami dnia jutrzejszego, uważam, że należy tę pracę kontynuować. Wszyscy prowadzimy teraz rozmowy, że w tej sytuacji wyższej konieczności...

| ...projekty przyszłości powinny być odłożone na plan dalszy.

Tak, na przykład, że wszyscy razem powinniśmy krzyczeć o tym, co dzieje się w Ukrainie, ale wówczas tracimy ten czas, którego i tak nie mamy. Tracimy go, rezygnując z pracy, która jest nam niezbędna.

| Na czym polega ta niezbędność? Budowanie instytucji, języka, który jest niezależny od dotychczasowych modnych filozofii i poradzieckiego systemu instytucji sformułowanej w Ukrainie?

Tak. Dzięki Zbrojnym Siłom Ukrainy i wszystkim ludziom, którzy przeciwdziałają rosyjskiej agresji, wojna się zakończy i staniemy przed pytaniem, z jakiego powodu ją prowadziliśmy. To właśnie pytanie „z jakiego powodu” powinno być utrzymywane w naszej pamięci kulturowej, w pamięci codzienności, podczas codziennego zachowania. Odpowiedź powinna tworzyć się na poziomie instytucjonalnym. Działania różnych wspólnot formują pewne mikrostrategie, które powinny być wchłonięte przez przyszłą sferę instytucjonalną. Koniecznie trzeba to utrzymywać w wyobraźni. Pamiętać, że jest to nasze najważniejsze zadanie i nie mamy prawa go odkładać, żeby nie zatracić, nie zmarnować cennego czasu, którego w Ukrainie nigdy nie mieliśmy. Zawsze natykaliśmy się na jakieś przeszkody. Gdy tylko zaczynaliśmy kształtować struktury, poczynając od państwa – a przecież nadal nasze państwo formujemy – nie możemy tego procesu dokończyć lub wręcz się cofamy, czy to z powodu jakichś brutalnych sił, manipulacji, rozstrzelań, zabójstw, czy wywózek – hop! – i znowu jesteśmy zawróceni do bazowego poziomu, do konieczności walki o przetrwanie. Mimo to bardzo wiele wypracowaliśmy już w sferze instytucjonalnej.

Nakreśliłaś dłuższą perspektywę, dotykając również zagadnienia modernizacji w Ukrainie. Opowieść o nieustannych przeszkodach w ukończeniu pewnego projektu podnosi też kwestię budowania długotrwałych struktur. Ale czy możliwe jest budowanie czegoś na dłuższy czas w świecie, który jest niestabilny? Modernizacja, poza chęcią usprawnienia świata, niósł też ze sobą siłowe podporządkowanie i wiąże się z zagadnieniem kolonizacji. Układy polityczne poprzedzające powstanie Unii Europejskiej powstały nie tylko na gruzach świata powojennego, ale także w odpowiedzi na utratę kolonii. Europa łączy się, kiedy traci dobra i zasoby wyprowadzane z terytoriów podporządkowanych. Ukraina nie ma na sobie tego ciężaru. Jej projekty odnosiły się raczej do własnej pracy i zasobów i wydaje mi się, że jest to unikalne. Dotyczy to też sfery

sztuki. Artystyczne instytucje w Europie i na świecie były związane z sytuacją geopolityczną danego społeczeństwa, które owe instytucje wytwarzało. Sytuacja ukraińska jest inna.

Odkąd pamiętam, w naszej pracy w grupie artystycznej Rewolucyjna Przestrzeń Eksperymentalna w polu kultury toczyła się dyskusja o tym, że ciągle nam czegoś brakuje. Uprawialiśmy zgodnie dyskurs niepełnowartościowości, opłakiwaliśmy swoją sytuację, w której nadal tkwimy, potem odczuwaliśmy żal, że czegoś nam nie starcza, że trzeba osiągnąć to, co mają inni. Owo nieustanne porównywanie, ten kompleks braku, że jesteśmy nie tacy jak trzeba, uformowany został w sposób sztuczny. „Imperium to Rosja, a my to prowincja” – taki sposób widzenia spraw wytworzony został w sposób kulturowy. Warto uświadomić sobie, że nigdzie nie zniknął i nadal działa. Chociaż coraz mniej popłakujemy, być może dlatego, że zaczęliśmy uświadamiać sobie wartość tego, kim jesteśmy. Zawsze wyrzucano nam, że czegoś jeszcze nie osiągnęliśmy, że jesteśmy „Niedoeuropą”, że dopiero Europę ścigamy. Rewolucję na Majdanie widziano jako unikalne postępowe zjawisko, jako demokratyczne, podniosłe wydarzenie wyprzedzające czas, a kiedy się Majdan się zakończył, znowu mamy się uczyć demokracji od Zachodu. Oko Zachodu, oko Europy – do której cały czas dążymy – nie zauważa i nie docenia naszych możliwości.

To dosyć paternalistyczny sposób działania. Chwilowy zachwyt niezwykłą horyzontalnością i współdziałaniem, a potem znowu stara śpiewka: będziemy was uczyć, jak ma być.

Bardzo ważne jest to, żebyśmy sami się docenili. Na przykład wszyscy widzą naszą wynalazczość, która nas ratuje na polu walki. Nie czekamy, aż ktoś powie, co trzeba zrobić, bierzemy odpowiedzialność za siebie i za swoją wspólnotę. Ludzie po prostu wiedzą, co mają robić: szybko reagują i podejmują niestandardowe, ale trafne decyzje. Jest to rodzaj samo-uświadomienia, że w tych trudnych strukturach wrogiej rzeczywistości ukraińskie społeczeństwo potrafi działać. To są zdolności, które sobie wypracowaliśmy dzięki temu, że jesteśmy w nieustannej niestabilności.

Jesteście gotowi do współczesności.

Znowu nie rozmawiamy o sztuce.

Jak to nie? Przecież sztuka jest w nieustannym napięciu ze współczesnością i społeczeństwem. Pozostaje w pośrednich związkach i ze sferą polityczną, i społeczną, ale nie proponuje zwierciadlanych reakcji. Powiedzmy, że w czasie wojny sztuka może wziąć na siebie funkcje propagandy, ale realizuje też inne działania. Traktor, który pokonał czołg, jest twórczym gestem. Czy obecna sytuacja generuje wobec sztuki nowe pytania, które nie były dotychczas stawiane?

W sztuce następuje ogromna polaryzacja postaw i wskutek tego coraz częściej formułowany jest błędny postulat, że ma być „albo tak, albo wcale”.

Tocząca się debata stwarza konieczność podejmowania decyzji, które wydają się życiowo ważne, chociaż dotyczą, dajmy na to, jedynie wypowiedzi artystycznej. Sztuka nie dzieje się jedynie w danym momencie – jest ukierunkowana na długotrwałe efekty, budowanie różnych sposobów pojmowania i formowania poglądów. Prowadzone wspólnie rozmowy o sztuce mają jednak taką temperaturę, że można by odnieść wrażenie,

iż artyści decydują o dalszych losach świata. Przy tym stawianiu spraw na ostrzu noża rodzi się niebezpieczeństwo wystąpienia przeciwko naszym wartościom. Walczymy o demokrację, a budując sobie serię zakazów, możemy popaść w paratotalitarne formy myślenia. Całkowicie popieram bojkot i powstrzymanie się od współpracy z rosyjskimi organizacjami i artystami. Nawet jeśli w tym konkretnym czasie nie robią nic na rzecz propagandy, to przez długi czas pracowali na to, że Rosja jest taka, jaka właśnie jest. Wojna wprowadza nam zasadę wyższej konieczności, ale nie możemy formułować jednej obowiązującej reguły. Ukraina powinna w sobie utrzymywać elastyczność reakcji. Nie chodzi o to, żeby zakazać rosyjskiej literatury. Ważniejsze są raczej wyzwania, które przed nami stają. Wyzwania wobec nas, którzy tę literaturę, kulturę zinternalizowaliśmy.

Rewolucję na Majdanie widziano jako unikalne postępowe zjawisko, jako demokratyczne, podniosłe wydarzenie wyprzedzające czas, a kiedy się Majdan się zakończył, znowu mamy się uczyć demokracji od Zachodu.

Ukraina nosi tę rosyjską imperialną kulturę, ma wdrukowane imperialne kalki. Uważam, że należy teraz wstrzymać pracę nad udowadnianiem, iż niektóre elementy kultury rosyjskiej mają zupełnie inny charakter niż ten jej fragment, który służy do usprawiedliwiania wojny. Sądzę, że były one maską dla faktycznie funkcjonującego systemu wartości w Rosji. Wprowadzały w błąd, a zarazem dawały pożywkę zamkniętej w swojej grupie inteligencji pozbawionej wpływu

na większość pogrążonego w nędzy ludu. Ciekawszym zadaniem powinno być odnajdywanie tego, co działo się w kulturze pomimo imperium, którego oczywiście nie da się zignorować jako formatującego czynnika. Za błąd uważam jednak powielanie rosyjskiej sztancy, która zmiksowała XIX-wieczne powieści, awangardę i dysydentów jako maskę realnie obowiązującego systemu wartości w tym państwie.

Tak, myślę też o tym, że krzyczymy o zakazie współpracy, a powinniśmy patrzeć na to, jaką rolę w tej rosyjskiej kulturze sami odgrywaliśmy jako Ukraińcy i Ukrainki, co z niej przenieśliśmy. Jeśli zwrócimy się do konserwatywnego środowiska artystycznego,

Mam wrażenie, że zachodni widzowie i widzki mają trudność ze zrozumieniem pełnego spektrum ukraińskich dzieł sztuki współczesnej. Patrzą na nie bowiem z własnej perspektywy, tak jak na swoją sztukę.

z którego wyrosłam – uczyłam się bowiem w Akademii Sztuk Pięknych w Kijowie, która zachowała wszystkie wzorce sformułowane przez radziecki system – spotykam się z postulatem: tak, trzeba zniszczyć rosyjskie książki. Ale już za chwilę następuje zmiana i słyszę: „A oto dobrzy artyści petersburskiej szkoły i ich prace”. Jedno nie przeczy drugiemu.

Istnieje konieczność samodekolonizacji, o której rozmawiamy w ramach Metod Fundu. Sami mamy zrozumieć, w jakich sytuacjach jesteśmy nośnikami imperializmu, kiedy uznajemy klasyczną rosyjską literaturę za szczyt osiągnięć. Podejmujemy próbę wybudowania nieuprzedzonego spojrzenia, bez tego przezroczyściego pietyzmu, ze świadomością, że właśnie teraz powinniśmy się przyglądać również temu, co konserwatywna kultura ukraińska miała wdrukowane jako uniwersalia. Uczyliśmy się przecież tych tekstów w szkole i o ile pamiętam, nie zajmowaliśmy się ich analizą. Ważne było przeczytanie, co włączało nas do kręgu wysokiej kultury. Przeczytałaś – znaczy, że jesteś kulturalna. Po pierwsze należy przeprowadzić pracę z samym sobą i być ostrożnym w budowaniu zakazów.

Debata o dekolonizacji odwołuje do globalnej optyki wraz z pojęciami hegemonia, dominacji, ujednolicania, zależności i zasobów. Ukraińskie środowisko artystyczne mierzyło się w ostatnich latach także ze zjawiskiem dekomunizacji wyrażonej w ustawach i zakazach. Artyści i artystki podnosili, że zniszczenie pomnika, mozaiki czy napisu nie rozwiązuje kłopotu spuścizny Związku Radzieckiego. Wypchnięcie pewnych symboli z przestrzeni publicznej, żeby zastąpić je innymi – podobnie skonstruowanymi, ale o innych częściach skła-

dowych – sprawia, że podstawowy wzorzec komunikacji pozostaje niezmienny. Jak pracować z tą spuścizną, żeby nie dochodziło jedynie do zamiany koloru czerwonego na niebiesko-żółty albo jednego faceta w garniturze na innego?

Metod Fund razem z Narodowym Muzeum Sztuki Ukrainy zainicjował seminaria „Realizm Socjalistyczny. Sprawiać wrażenie innego”. Katia Badianowa sformułowała wówczas tezę, że socrealizm w ukraińskiej historii sztuki jest rozpatrywany jako negatywne tło. Na nim możemy mówić o modernizmie, o pokoleniu dysydentów lat sześćdziesiątych, sam zaś jest polem, które pozostaje jednoznaczne, zrozumiałe i negatywne. Tymczasem nieustannie trwamy w tradycjach socrealizmu.

W miejsce przodowniczek i przodowników pracy wkładane są figury patriotyczne.

W 2018 roku przygotowałam wystawę pod tytułem „W trybie tła”, gdzie posłużyłam się tłem obrazu Mykoły Buraczka „Droga do kołchozu” z 1937 roku. To nawiązanie do historii industrializacji, kolektywizacji rolnictwa i rewolucji kulturalnej, która zakończyła się zcentralizowaniem systemu zarządzania kulturą, funkcjonującego do dziś. Buraczek miał interesującą biografię: studiował w Kijowie, w Krakowie u Jana Stanisławskiego i w Paryżu. Wybrana przeze mnie praca łączona jest z socrealizmem. Wyciągnęłam z tego przedstawienia elementy pośrednie i nieoczywiste, czyli krajobraz, kolory zmieniałam na czarno-białe. Chciałam rozpatrywać ów pejzaż jako tekst kultury, a nie jako esencję przyrody Ukrainy. Kolorowa, słoneczna, żyzna Ukraina też jest pewnym konstruktem zależnym od radzieckiej krytyki, która stawiała sobie za zadanie unieważnienie modernizmu. Zwracając się do reprezentacji socrealizmu i historii w muzeach, chcieliśmy popatrzeć na jego cechy strukturalne. Niszczenie form, śladów pewnych procesów nie sprawi, że same z siebie się zatrzymają. Zrzucamy pomnik, skaczemy do nowego, ale cała struktura formująca ów pomnik – ludzie, instytucje – wszystko pracuje tak jak wcześniej. Teraz mamy konkurs na pomnik Bohaterów Majdanu, który odbywa się tak jak dawniej: te same struktury, te same związki artystyczne, te same uściski rąk, te same kontakty. Nie zmienił się typ stosunków – ta sama korupcja i inercja.

Na ile sytuacja sztuki współczesnej jest różna od sytuacji innych sfer przestrzeni kultury ze swoim szczególnym typem relacji oscylującym między werbalnym, materialnym i ideowym?

W polu kultury Ukrainy nadal panuje zwyczaj dzielenia jej na strefy i dziedziny. Jest to głęboko zakorzenione w strukturze zarządzania i formatowaniu instytucji. Bardzo trudno pokonać tę inercję, bo nawet jeśli uznamy, że coś jest do naszej sytuacji społecznej nieadekwatne, to konieczne jest zmienienie wszystkich sfer funkcjonowania państwa. Finansowanie w sferze kultury sprawia, że sztukę współczesną najłatwiej dodać jako kolejną działkę kultury. Bierze się to z braku zrozumienia jej specyfiki, która nie tylko idzie w kierunku wielodyscyplinarności, czy w ogóle rozmywania granic dyscyplin, lecz wręcz dąży do tworzenia dyscyplinarnej niepewności.

Całkowicie popieram bojkot i powstrzymanie się od współpracy z rosyjskimi organizacjami i artystami. Nawet jeśli w tym konkretnym czasie nie robią nic na rzecz propagandy, to przez długi czas pracowali na to, że Rosja jest taka, jaka właśnie jest.

Kiedy jako społeczność kultury zdołamy to sobie uświadomić, będziemy w stanie coś z tym zrobić. Tymczasem sztuka współczesna w Ukrainie nie jest nawet uchwytna dla społeczeństwa. Jeśli czegoś nie znasz, to możesz tego nawet nie zauważyć. Społeczeństwo jeszcze nie widzi tej sfery i nie daje jej szerokiego poparcia. Traktuje sztukę współczesną jako jeszcze jeden rodzaj sztuki: oto nowe formaty wypowiedzi i oto artyści i artystki, którzy je uprawiają. Specyfika w kardynalny sposób odróżniająca sztukę

współczesną od sztuki modernistycznej jest nadal nieuchwytna. Ten problem może być dopiero z czasem rozwiązany na wielu poziomach, między innymi przez edukację i oświatę w początkowym stadium nauczania. Sztukę cechuje autorefleksja nad wykorzystywanymi środkami – nie tylko to, co chce się przekazać, ale też to, jakie są to środki, jakie są ich referencje historyczne. Na początku naszej rozmowy mówiłam, że nawet ta sztuka, która jest szybką reakcją i ma aspekt dokumentalny, ze względu na swoją specyfikę utrzymuje środki wyrazu w polu refleksji. Dlatego właśnie się nie spłaszcza, dlatego te prace zachowują w sobie kulturową komplikację. Możemy widzieć w nich jakieś związki, dialogi z wydarzeniami historycznymi i teraźniejszością, nie stają się one jednak propagandą.

Przez wiele lat, odkąd jesteś aktywna artystycznie, jesteś obecna w Ukrainie i w Europie. Czy dostrzegasz jakieś trudności w percepcji Ciebie jako ukraińskiej artystki, które mogą być pewnym dłuższym wzorem postrzegania Twojego

kraju? Wiem, że nieustannie negocjujesz w swojej sztuce z utrwalanymi wzorcami, ale może zechciałabyś wydzielić coś, co jest dla Ciebie teraz interesujące?

Faktycznie, w swoich pracach staram się uchwycić i odwrócić to zewnętrzne spojrzenie. Mam wrażenie, że zachodni widzowie i widzki mają trudność ze zrozumieniem pełnego spektrum ukraińskich dzieł sztuki współczesnej. Patrzą na nie bowiem z własnej perspektywy, tak jak na swoją sztukę. Istnieją pewne wyrobione formy postrzegania sztuki współczesnej, które rozprzestrzeniają się też na to, co robią artystki i artyści z Ukrainy. To szerszy problem pewnej gospodarki uwagi – łatwiej dostrzec w ukraińskich pracach o Ukrainie coś ciekawego i egzotycznego, niż wejść w trudną wypowiedź zawartą w pracy. Bywa i tak, że prace są upraszczane na potrzeby zachodniego profilu postrzegania. Nie mówię o jakimś przeciętnym widzu czy widzce, lecz mam na myśli odbiorców opatrzonych, specjalistów w tej sferze. Dlatego kiedy robię indywidualne wystawy w Europie, zawsze proszę o pisanie na temat mojej sztuki recenzenta pochodzącego z Ukrainy. Wydaje mi się bowiem, że ludzie zaczynają ilustrować swoje ważne w Europie dyskursy pracami ukraińskich artystów i artystek. Nie chcę tego umniejszać, europejska dyskusja jest wielopoziomowa i fascynująca – wystarczy wspomnieć społecznie ważne tematy dotyczące ekologii czy katastrofy klimatycznej. Mogą pojawić się prace na temat wysychania rzek czy Czarnobyli, ale jeśli dyskurs ekologiczny nie jest u nas rozwinięty, to mogą mieć one charakter koniunkturalny czy dyskursywnie wtórny. To są ważne tematy, ale nas teraz zajmuje co innego.

Ekologia zakłada dłuższe trwanie. To kwestia przyszłości za dekadę czy dwie, a w Ukrainie ważna jest perspektywa obrony życia tu i teraz. Wielkie imprezy artystyczne odbywające się w lecie 2022 roku, na przykład Biennale w Berlinie, o tradycyjnie silnej politycznej składowej, nie poruszają tematu Ukrainy i – szerzej – Europy Wschodniej. Wtargnięcie Rosji na Ukrainę w lutym 2022 roku nie zapoczątkowało tej problematyki. Globalność w Niemczech nie widzi Europy Wschodniej.

Nie widzi tego, co decyduje o przyszłości całej Europy. Sfera sztuki współczesnej także nie wszystko dostrzega, chociaż pretenduje do krytycznego punktu widzenia. Wielkie wystawy są długo przygotowywane, w moim kraju wojna trwa już dziewięć lat, a mimo to okazała się zbyt mało ważna. W Ukrainie decyduje się przyszłość Europy, ale mało kto zwraca na to uwagę.

ROSJA

0 krok
od totalitaryzmu



Kultura w siódmach reżimach

Z Katarzyną Pełczyńską-Nałęcz
rozmawia Aneta Strzemżalska

Katarzyna Pełczyńska-Nałęcz – dyrektorka Instytutu Strategii 2050. Pełniła funkcję podsekretarza stanu w Ministerstwie Spraw Zagranicznych (2012-2014) oraz ambasadora RP w Federacji Rosyjskiej (2014-2016). Wcześniej przez sześć lat zasiadała w Polsko-Rosyjskiej Grupie do Spraw Trudnych, a także w Komitecie Sterującym Forum Społeczeństwa Obywatelskiego Partnerstwa Wschodniego. Autorka szeregu publikacji na temat transformacji systemowej w Europie Środkowej, polityki polskiej w ramach UE, a także polskiej polityki wobec Rosji i państw Europy Wschodniej.

Aneta Strzemżalska – doktorantka Instytutu Etnologii i Antropologii Kulturowej UW. Wcześniej współpracowniczka naukowa Wydziału Antropologii Kulturowej Uniwersytetu Europejskiego w Sankt Petersburgu. Regularnie prowadzi badania terenowe w regionie Kaukazu i publikuje na łamach „Nowej Europy Wschodniej”.

Aneta Strzemżalska: Działania zbroje w Ukrainie zmieniły przestrzeń społeczno-polityczną Europy. My jako Polska już przed nimi dystansowaliśmy się od Rosji, nie chcieliśmy być częścią „ruskiego miru”. Teraz współpraca kulturalna, polityczna i gospodarcza jest zrywana. Czy brak relacji z sąsiadem jest prawidłową strategią?

Katarzyna Pełczyńska-Nałęcz: Nie wiem, czy „strategia” to dobre słowo. Żeby zrozumieć, gdzie dzisiaj jesteśmy, warto popatrzeć, jak to było parę lat wcześniej. Otóż – o ile Polska w kierunku integracji polityczno-gospodarczej jednoznacznie wybrała Unię, NATO, stanie się częścią szeroko rozumianego Zachodu – o tyle nigdy nie było podjętej decyzji o zerwaniu wymiany społeczno-kulturalnej z Rosją. Miały miejsce pewne naturalne procesy, gdzie – zaczynając od pieniędzy, kończąc na zainteresowaniach i entuzjazmie – sercu Polaków bliższy był Zachód. To nie znaczy, że ktoś celowo zrywał z Rosją: „Od tego momentu tylko kultura zachodnia i nic o kulturze rosyjskiej i z kulturą rosyjską”.

I Zapewne jakąś rolę odegrała też demografia?

Tak. W Rosji pomалу zaczęło odchodzić pokolenie, które postrzegało Polskę jako okno na świat. Mówię tu o generacji sześćdziesiąt plus. To są ludzie, którzy w czasach radzieckich czytali „Przekrój”, prenumerowali kolorowe polskie czasopisma. Były wolniejsze, ciekawsze niż te dostępne

w ZSRR. Czasem, żeby mieć dostęp do kultury mniej zamkniętej, bardziej pluralistycznej, Rosjanie uczyli się nawet języka polskiego. Z postrzeganiem polskiej kultury jako wolnej i kolorowej wiązał się ogromny sentyment. Ale to odeszło.

Przyszły nowe pokolenia bez tych historycznych łaskowości. Jakkolwiek, czy w ostatnich latach współpraca pomiędzy Polską a Rosją istniała?

Owszem, współpraca kulturalna została zachowana, w tym jej trwałe elementy jak coroczne Festiwale Filmów Polskich „Wisła” w Moskwie czy festiwale filmów rosyjskich „Sputnik nad Polską”. Wspólnie wystawiano

Istnieje wciąż bogata wolna kultura rosyjska. Tworzy się ją dziś do szuflad, za granicą. Coraz mniejsza jej część jest w Rosji publikowana czy wystawiana.

sztuki teatralne, organizowano wymiany naukowe i projekty kulturalne. Na przykład za czasów mojej bytności w Moskwie odbywał się niesamowity Festiwal Polskich Teatrów Dziecięcych, który Rosjanie właściwie sami finansowali i organizowali. Tak świetnych teatrów dziecięcych z całej Polski nie widziałam nigdy wcześniej.

Który to był rok?

2015 lub nawet 2016. W tamtym czasie w Moskwie co roku były organizowane duże festiwale narodowe. I akurat na czas mojego pobytu organizatorzy przygotowali festiwal teatrów polskich. Mówię o tym dla przykładu, bo współpracy kulturalnej pomiędzy naszymi krajami było dużo więcej.

Co się od tego czasu zmieniło? W ramach szerokich kwantyfikatorów.

Teraz mamy do czynienia z sytuacją o dwóch wymiarach. Pierwszy to wymiar wojny. Przejawia się on w złodowaceniu relacji z powodu potępienia konfliktu na wszystkich możliwych poziomach: fundamentalnym, to jest etycznym, moralnym; bezpieczeństwa, ale też państwa i reżimu politycznego, które tę wojnę wszczęło i prowadzi. Wojna prowadzona przez Rosję w Ukrainie ewidentnie stoi na przeszkodzie współpracy kulturalnej. Ale jest też drugi wymiar. Otóż Federacja Rosyjska zamienia się pomału w państwo totalitarne. Oznacza to, że zaczyna ono ingerować we wszystkie możliwe obszary funkcjonowania swojego społeczeństwa, również w te, które do tej pory cieszyły się całkiem dużym pluralizmem. Mam tu na myśli zarówno kulturę wysoką, taką jak chociażby teatr, ale również kulturę

popularną. Ta ostatnia była całkiem swobodnie w tej Rosji putinowskiej dystrybuowana; może nie miała wielkiego dofinansowania ze strony państwa, ale też – jeśli była gnębiona – to jedynie punktowo.

Państwo weszło z butami w obszar kultury. Daje ona bowiem inny przekaz niż oficjalny, budzi skojarzenia polityczne – ludzie, którzy ją tworzą (reżyserzy, aktorzy, producenci), wypowiadają się nie tak, jak dyryguje państwo. Jest więc prześladowana i eliminowana. W związku z tym wielu aktorów i artystów opowiada się przeciwko walkom i emigruje. Sztuki teatralne, w których są jakiekolwiek odniesienia do wojny (wiele z nich powstało już po okupacji Krymu), ściągają się z afiszy. Zaostrenie stopnia kontroli nad kulturą zmienia się na naszych oczach. To powoduje, że kooperacja w tej dziedzinie z dzisiejszą Rosją jest ogromnym wyzwaniem, bo oznacza współpracę z kulturą reżimową. Oznacza przyzwolenie na funkcjonowanie reżimu putinowskiego, akceptację zbrodniczej polityki.

Jestem zwolenniczką oddzielenia języka rosyjskiego od Rosji. Po pierwsze, język był, jest i będzie. Nauki języka nie powinno się przerywać z tego powodu, że w kraju obecnie panuje zbrodniczy reżim. Jest to przecież język wielkich twórców kultury przeszłości i teraźniejszości.

| Czyli w tym momencie nie możemy mówić o istnieniu wolnej kultury w Rosji?

Ciągle istnieje bogata wolna kultura rosyjska. Tworzy się ją dziś do szuflad, za granicą. Coraz mniejsza jej część jest publikowana czy wystawiana w kraju. Niemniej nadal nawet w samej Rosji jest jakaś jej różnorodność, istnieje pewien pluralizm. Są na przykład rockowe zespoły, których członkowie wypowiadają się z odwagą, nie powielając, ale jednocześnie nie krytykując oficjalnego przekazu.

| Jak więc współistnieć z Rosją?

Z jednej strony należy wziąć pod uwagę emocje społeczne, z drugiej sytuację polityczną. Współpraca kulturalna czy naukowa wymaga zaufania, poczucia więzi. Nie da się jej robić na siłę, jeżeli nie ma sprzyjającej ku temu atmosfery politycznej.

Tej ostatniej nie ma i wątpliwe, by w najbliższym czasie zaistniała. Poza emocjami potępienie wojny musi wyrażać się także w tym, że osoby pasywne politycznie, stroniące od otwartego protestu, nie powinny móc przyjechać do Polski w ramach inicjatywy organizowanej i finansowo

wspieranej przez obie strony i udawać, że nic się nie stało. Prędzej czy później ktoś z obecnych na otwartym spotkaniu zada pytanie gościowi z Rosji – nieważne, czy to będzie aktor, reżyser, czy muzyk – o jego stosunek do wydarzeń w Ukrainie.

| Czy to oznacza, że nie ma przestrzeni dla neutralnej kultury rosyjskiej?

Jest. Wyobrażam to sobie tak, że jeśli jakaś utalentowana skrzypaczka czy reżyser chce wyemigrować z Rosji do Polski, to powinniśmy ich przyjąć. Takie osoby mogą i powinny odtwarzać rosyjską kulturę, na przykład wystawiać historyczne sztuki. Nie powinniśmy mieć nic przeciwko Czechowowi czy Gogolowi, ale Rosjanie, z którymi współpracujemy, muszą opowiedzieć się, po której stronie etycznego wyboru stoją.

| Czyli współpraca z osobą, która nie ma odwagi opowiedzieć się przeciwko wojnie, wyrazić swojego zdania na jej temat, nie ma racji bytu?

Warto pamiętać, że stawka dla tych ludzi jest ogromna – taki artysta po powrocie do Rosji może trafić za kraty na wiele lat. Paragrafy niestety zamykają możliwości niezależnej współpracy z mieszkańcami Federacji. Ale polskie teatry według własnego uznania powinny wystawiać wszystko, co uznają za wartościowe – rosyjskie sztuki też. Z tej kultury można przecież korzystać bez udziału samych obywateli tego państwa. Takie praktyki są szeroko przyjęte na całym świecie.

Rosyjskie państwo weszło z butami w obszar kultury. Daje ona bowiem inny przekaz niż oficjalny, budzi skojarzenia polityczne – ludzie, którzy ją tworzą (reżyserzy, aktorzy, producenci), wypowiadają się nie tak, jak dyryguje państwo. Jest więc prześladowana i eliminowana.

Poza tym są Rosjanie, którzy musieli uciekać z własnego kraju, bo zdecydowali się zaprotestować przeciwko wojnie w Ukrainie, albo opuścili państwo na znak niezgody z oficjalnymi władzami. To są naukowcy, działacze kultury, środowiska niezwykle twórcze. Często zostawili swoje dotychczasowe kariery, swój dorobek w Rosji położyli na szali protestu. Z tymi ludźmi warto współpracować – popierać ich inicjatywy, wciągać we wspólne projekty. Oczywiście za takimi artystami nie będzie stało państwo. Nie będzie więc

dużych środków, należałoby znaleźć sponsorów w Polsce albo międzynarodowych darczyńców. Takie kontakty są jednak niezwykle perspektywiczne, bo mogłyby pokazać inne oblicza rosyjskiej kultury.

Wspieranie antywojennych projektów artystycznych pomogłoby przełamać niesłuszny, a szeroko rozprzestrzeniony w Polsce stereotyp, że wszystko, co rosyjskie – nieważne, skąd się bierze i jaki ma odcień – jest złe i niebezpieczne. Polacy niestety boją się współpracy z Rosjanami właśnie z tego powodu, że ktoś im łatkę przypisze, oskarży o kolaborację z wrogiem. Tymczasem nie wszystko jest czarno-białe. Z Federacji wyjechali i cały czas wyjeżdżają ludzie głęboko przeżywający napaść na sąsiada. Właśnie oni mogliby odzwierciedlić w kulturze taki nurt myślenia, który pokazuje, że wojna w Ukrainie jest katastrofą cywilizacyjną, a zbrodnicze działania osiągnęły już apogeum i muszą zostać rozliczone. Dobrze byłoby zaprezentować, że taka wrażliwość, tego typu myślenie i tacy ludzie też są częścią Rosji, bo przecież nawet taka niewielka mniejszość pozostaje częścią rosyjskiego imaginarium kulturowego.

Zaostrzenie stopnia kontroli nad kulturą zmienia się na naszych oczach. To powoduje, że kooperacja w tej dziedzinie z dzisiejszą Rosją jest ogromnym wyzwaniem, bo oznacza współpracę z kulturą reżimową.

To, o czym Pani mówi, jest możliwe jedynie na emigracji – sztukę krytyczną wobec reżimu politycznego można wystawić w Rosji jeden jedyny raz. A co z Rosjanami, którzy z różnych powodów nie zdecydowali się na emigrację: nie chcieli poświęcić swojego statusu społecznego, nie mieli możliwości finansowych czy rodzinnych? Z różnych powodów nie wyjechali, ale wstydzą się zbrodniczego kraju, czują się ofiarami systemu, jedynie po cichu porównują swój los do losu przodków, którzy żyli w realiach radzieckiego totalitaryzmu. Czy zupełnie powinniśmy zerwać z nimi kontakt, opuścić, bo Rosjanie zza wschodniej granicy to Rosja i nie da się oddzielić reżimu politycznego od zwykłych obywateli?

To nie są nasi obywatele i opuściło ich własne państwo, a nie my. Nakładać taką odpowiedzialność na Polskę – to byłoby jednak nie fair. Występuje tu problem innego rodzaju. Jeśli ci ludzie są gotowi przyjechać do Polski i głośno powiedzieć, że toczy się wojna i rosyjska inwazja na Ukrainę jest bezwzględnie złem, to ja nie widzę problemu, by oni u nas mieszkali. Niestety mam wrażenie, że dzisiaj dla nich samych nie da się pogodzić życia w Rosji z uczciwym uczestnictwem w międzynarodowej kulturze i debacie publicznej, zwłaszcza tej prowadzonej w Polsce. Bo przecież jeśli Rosjanin do nas przyjedzie i wystawi sztukę, która mówi sama za siebie, to powstaje pytanie, czy ten człowiek ma możliwość powrotu do ojczyzny?

Wspieranie antywojennych projektów artystycznych pomogłoby przełamać niesłuszny, a szeroko rozprzestrzeniony w Polsce stereotyp, że wszystko, co rosyjskie – nieważne, skąd się bierze i jaki ma odcień – jest złe i niebezpieczne.

A jeśli technicznie, formalnie może wrócić, to czy będzie tam wolny i bezpieczny? Z każdą chwilą myślę, że to pole dramatycznie się zawęża – autorytaryzm zamienia się w totalitaryzm. Teraz przechodzą przez Dumę kolejne dwie totalnie à la sowieckie ustawy. Jedna traktuje o tym, że na wojnie nie wolno przechodzić na stronę przeciwnika; czyli każdy jeniec wojenny to zdrajca. Druga ustawa – poprawka do kodeksu karnego – współpracę z organizacjami zagranicznymi bez

zgody państwowych organów postrzega jako działalność konfidencyjną. Te dwa dokumenty kładą kres jakiegokolwiek współpracy kulturalnej Rosji z zagranicą, w tym z Polską.

A co sądzi Pani o używaniu języka rosyjskiego w przestrzeni kulturalnej i naukowej? Na przykład: czy mówienie po rosyjsku na konferencji, której uczestnicy lepiej władają językiem rosyjskim niż angielskim, jest odpowiednie, czy w imię poprawności politycznej należy przejść na ten drugi język?

Jestem zwolenniczką oddzielenia języka rosyjskiego od Rosji. Po pierwsze, język był, jest i będzie. Języka nikt się nie uczy na chwilę, poczynając od tego, że dzisiaj trudno młodemu człowiekowi nauczyć rosyjskiego, bo w szkołach albo w ogóle go nie ma, albo jest na niskim poziomie. Taka sytuacja jest po prostu zła. Na szczęście mój syn nauczył się rosyjskiego w Rosji. I zależy mi, żeby uczył się go dalej. Uważam, że nauki języka nie powinno się przerywać z tego powodu, że w kraju obecnie panuje zbrodniczy reżim. Jest to przecież język wielkich twórców kultury przeszłości i teraźniejszości. To mowa Wysockiego, Dostojewskiego, Czechowa. Tu można wymieniać i wymieniać. Jestem świeżo po przesłuchaniu piosenek Wysockiego. Uczyniłam to wspólnie z synem i cieszy mnie, że możemy ich słuchać w oryginale, nie musimy uciekać się do tłumaczeń.

Druga sprawa jest taka, że dzisiaj cała Warszawa rozbrzmiewa rosyjskim. Zresztą nie tylko Warszawa – wszystkie duże miasta Polski i wiele europejskich. Dzieje się tak dlatego, że wojna w Ukrainie toczy się właśnie w tej części kraju, gdzie dla większości obywateli to rosyjski jest językiem ojczystym. Może ojczystym to źle powiedziane – językiem pierwszego wyboru. Mieszkańcy wschodniej Ukrainy po prostu w nim mówią. To jest ich

język, oni też mają do niego prawo. I nikt nie powinien im robić z tego tytułu najmniejszych trudności.

Rosyjskim posługują się także w znacznej większości Białorusini; wielu z nich katowano, powsadzano do więzienia, bo protestowali przeciwko Łukaszence. Również w Azji Centralnej i częściowo na Kaukazie rosyjski jest *lingua franca*. Nie widzę problemu, żeby tym językiem się posługiwać na co dzień, zarówno w sytuacjach codziennych, jak i przy publicznych wydarzeniach. Nie powinniśmy tępić języka jako języka, ale reżim i ludzi, którzy go reprezentują i podtrzymują.

Czy uważa Pani, że w Polsce jest potencjał, żeby stała się sceną, na której mogą spotykać się różni przedstawiciele świata poradzieckiego?

W Polsce jest jednoznaczny osąd tego, co się dzieje ze strony rosyjskiej w Ukrainie. I bardzo dobrze, bo ludzie nie są zobligowani do niuansowania. Za dyskredytacją wojny jednocześnie nierzadko idzie zanegowanie wszystkiego co rosyjskie – języka, kultury wysokiej, kultury przeszłości, muzyki. I tu odczuwam wielki żal, że akurat tak się dzieje. Myślę też, że wszyscy, którzy mogą, potrafią i mają energię, powinni zapobiegać temu procesowi. Rozumiem, że ze względu na emocje społeczne warunki do budowania rosyjsko-polskiej współpracy kulturalnej są mocno ograniczone. Ale też właśnie z tego powodu szczególnie ważne jest, żeby wygospodarować obszar pod budowę takich wspólnych inicjatyw. Kiedyś reżim totalitarny w Rosji jednak upadnie. Polska powinna być na to przygotowana.



Łagier zwyciężył

Z Siergiejem Lebiediewem
rozmawia Piotr Oleksy

Siergiej Lebiediew – dziennikarz, poeta, prozaik. Urodzony w 1981 roku w Moskwie. Od czternastego roku życia przez osiem sezonów brał udział w ekspedycjach geologicznych w północnej Rosji i Kazachstanie. Jego debiutancka powieść „Granica zapomnienia” (polskie wydanie: Claroscuro, 2018) nominowana była do najważniejszych nagród w Rosji, a „The Wall Street Journal” uznał ją za jedną z najważniejszych powieści 2016 roku. Laureat licznych międzynarodowych nagród literackich. Mieszka w Niemczech. W Polsce, poza „Granicą zapomnienia”, do tej pory ukazały się również: „Dzieci Kronosa” (Claroscuro, 2019), „Debiutant” (Claroscuro, 2020), „Ludzie sierpnia” (Claroscuro, 2021).

Piotr Oleksy – pracuje na Wydziale Historii Uniwersytetu im. Adama Mickiewicza w Poznaniu oraz w Instytucie Europy Środkowej w Lublinie.

Piotr Oleksy: Zbrodnie popełnione przez radziecki aparat represji nie są tajemnicą dla Rosjan? Jak pracownicy służb bezpieczeństwa podchodzą do tego „dziedzictwa”? W co wierzą ci ludzie?

Siergiej Lebiediew: Myślę, że odpowiedź na te pytania była odmienna w różnych czasach. Jeśli spojrzymy na okres pierestrojki, to w dokumentach KGB zobaczymy, że bezpieka wyraźnie określiła swój stosunek do przeszłości własnej i całego kraju. Możemy go sformułować w sposób następujący: „przyznajemy, że miały miejsce tak zwane bezprawne represje; to było złe, to było przestępstwo, a organy bezpieczeństwa były jednymi z pierwszych ofiar tych represji”. Bardzo lubili to podkreślać: ucierpieliśmy, jesteście ofiarami. Kolejnym elementem jest założenie, że KGB powinno kontrolować dyskurs pamięci i proces rehabilitacji ofiar, by nie przekształcił się on w proces znoszenia socjalistycznej władzy. Dlatego uważano, że KGB musi brać udział w ustanawianiu pomników ofiar czy ujawnianiu informacji o nich. Ponadto pilnowano, żeby rozmowa o ofiarach w żadnym wypadku nie zamieniła się w rozmowę o odpowiedzialności organów bezpieczeństwa lub państwa jako takiego. Nie mogło być też mowy o otwarciu

archiwów lub ujawnieniu imion donosicieli i współpracowników organów bezpieczeństwa. Ówczesne KGB starało się również udowodnić, że nie ma nic wspólnego z organami z czasów stalinowskich. Mówiono: jesteśmy nową instytucją prawną, która takich przestępstw się nie dopuszczała i to my stoimy na straży prawa.

Służbom bezpieczeństwa udało się narzucić tę wizję również po rozpadzie ZSRR?

Jeśli spojrzymy na pryncypia, którymi kierowała się tak zwana liberalno-demokratyczna elita, to zobaczymy, że są one zgodne z tym, co postanowiło KGB: pamiętamy o ofiarach, ale nie możemy – bo to trudne etycznie i prawnie – stawiać pytania o odpowiedzialność. Dlatego myślę, że gdyby pracownik organów bezpieczeństwa w latach osiemdziesiątych odpowiedział na pytanie, w co wierzy, to usłyszałbyś, że czuje się spadkobiercą najlepszych tradycji rewolucyjnych i państwowych. Czyli na przykład czekistów z czasów wojny domowej. Powiedziałyby, że KGB buduje socjalistyczną przyszłość kraju, a represje czasów stalinowskich traktuje z najwyższą krytyką i powagą.

A co odpowiedziałyby współczesny pracownik rosyjskich służb?

Nie zrozumiałby swoich kolegów z czasów pierestrojki. Stwierdziłby, że byli zbyt liberalni, przesadzali z autokrytycyzmem. Będzie próbował też umniejszać skalę i znaczenie tragicznej przeszłości. Tego wymaga obecna sytuacja polityczna, w której aktualizowane są wszystkie najgorsze radzieckie archetypy.

W powieści „Debiutant” pisałeś o strachu, którzy czuli pracownicy wojska i organów bezpieczeństwa w okresie rozpadu ZSRR: „Sam żył w tamtych dwuznacznych latach i odczuwał ten sam strach, gdy okazało się, że służba, w której dopiero zaczął pracę, może zostać rozwiązana (...) strach informatorów, którzy bali się donosić, strach generałów pozbawionych stanowisk (...) i co tu dużo mówić – nawet strach psów wartowniczych”. Czego oni się bali? Utraty przywilejów czy może tego, co zrobili w przeszłości?

Weźmy Władimira Władimirowicza Putina i klasyczny wątek z jego pracy w NRD. Koniec lat osiemdziesiątych XX wieku. Drezno, bogata, idylliczna wręcz, willowa dzielnica. Sześćdziesiąt metrów od biura KGB znajduje się biuro Stasi, ogromny budynek, który kiedyś zajmowało Gestapo, następnie

radziecki wojskowy kontrwywiad, a potem właśnie NRD-owska bezpieka. Niedaleko stoi też dom, w którym Putin i jego kompania mieszkają z rodzinami. Oni się tam wspaniale czuli, mieli przekonanie, że mają władzę i rządzą miejscową ludnością. I nagle upada mur, a w pierwszych dniach grudnia 1980 roku kilka tysięcy protestujących osób okrąża budynek Stasi. Blokują wyjścia, żeby nie można było wynieść dokumentów. W ciągu trzech dni protestujący zajmują budynek, zabezpieczają archiwa, wypuszczają wszystkich więźniów politycznych. A służby okazują się sparaliżowane. Dla pracownika KGB jest to coś, co nie miało prawa się wydarzyć. Oni przywykli kontrolować tych ludzi i rządzić nimi. Kluczowe słowo w praktyce służb to „obiekt”. Każdy człowiek to dla nich obiekt. I nagle te obiekty, które chodziły ciszej, niż płynie woda i niżej, niż rośnie trawa, w ciągu trzech dni zmieniają losy kraju. Wtedy pojawia się głęboki strach, że ci ludzie, których uważał za nic, pokazali podmiotowość. Z perspektywy człowieka radzieckiego, a już zwłaszcza z perspektywy pracownika KGB, to nie mogło się wydarzyć! Żeby ludzie okazali się zupełnie nie tacy, jak o nich myślałeś? Do tej pory mogłeś ich aresztować, niszczyć; teraz oni wychodzą, a my okazujemy się bezsilni. To główny strach, który kieruje życiem pracowników aparatu bezpieczeństwa do tej pory: strach przed podmiotowością ludzi, obywateli, społeczeństwa.

Jeśli spojrzymy na pryncypia, którymi kierowała się tak zwana liberalno-demokratyczna elita, to zobaczymy, że są one zgodne z tym, co postanowiło KGB: pamiętamy o ofiarach, ale nie możemy – bo to trudne etycznie i prawnie – stawiać pytania o odpowiedzialność.

Przychodzi mi jednak na myśl fragment Twojej powieści „Granica zapomnienia”, w którym napisałeś przecież, że łagier zwyciężył: „łagier pokonał niełagier, łagier nie odszedł – po prostu rozproszył się w pejzażu, rozdzielił na części i każda część, zmieniając wszystko dookoła, wkomponowała się w środowisko życia człowieka”. Jak to pogodzić z podmiotowością, która – jak mówisz – zaistniała w tamtych czasach?

Po prostu te dwa zjawiska dotyczą innych ludzi. Wielki błąd w ocenie tego, co zaszło w 1991 roku w ZSRR, polega na absolutyzowaniu tych wydarzeń. Wszyscy pamiętają zdjęcia: setki tysięcy ludzi na ulicach, Jelcyń wchodzi na czołg w obronie demokracji. I wydaje się, że to była większość. A to nawet w Moskwie nie była większość. Pamiętam te dni, miałem wtedy dziesięć

lat. W sierpniu byliśmy na dacz, pięćdziesiąt kilometrów od Moskwy, godzina jazdy pociągiem podmiejskim. Na tyle blisko, że jeśli chciałbyś wziąć w czymś udział, coś wesprzeć, to możesz po prostu wsiąść do „elektryczki” i pojechać. Dokładnie pamiętam atmosferę tamtego czasu – u dorosłych nie pojawiła się nawet myśl o tym, żeby pojechać do stolicy. Oni siedzieli i czekali na werdykt. Czekali, aż radio powie, kto zwyciężył.

A co w tym czasie robili pracownicy aparatu represji?

Oni też czekali. To było kilka dni w dziejach, kiedy można było ukształtować historię. Tymczasem tłum, który zebrał się na Łubiance koło siedziby KGB, skupił się na zburzeniu pomnika Feliksa Dzierżyńskiego. A przecież mogli wejść do środka. Nikt by nie strzelał. Ale jedni i drudzy się wystraszyli. I skończyło się tylko na zburzeniu pomnika. A potem specsłużby bardzo szybko odzyskały swoje pozycje.

Co pracownicy aparatu represji robili w latach dziewięćdziesiątych? Jakie pozycje społeczne zajmowali?

Lata 1991-1993, kiedy trwała reforma służb, były dla ich pracowników czasami zawirowań i niejasności. Wielu odeszło do prywatnego biznesu, najczęściej związanego z bezpieczeństwem. Ale służby zaczęły wracać na swoją pozycję po 1993 roku, czyli po „rozstrzelaniu parlamentu” [rosyjskie wojsko na rozkaz prezydenta Borysa Jelcyna ostrzelało budynek parlamentu, w którym zabarykowali się deputowani chcący odsunąć prezydenta od władzy – przyp. red.]. A już na pewno od 1994 roku, czyli początku wojny w Czeczenii. Wtedy pojawił się nowy język, zaczęto używać pojęcia terroryzmu. Powstało też wyobrażenie o wewnętrznych wrogach, których symbolizowali ludzie z Kaukazu. Służby znów zaczęły zajmować się swoją „pracą”.

Już wtedy powróciła rzeczywistość znana z ZSRR?

W połowie lat dziewięćdziesiątych zaczęły się aresztowania uczonych, oskarżanych o szpiegostwo, czy też naciski na ekologów. Wtedy też zaczęto prześladować świadków Jehowy – otrzymywali kary więzienia tylko za obchodzenie religijnych rytuałów. KGB uważało bowiem, że to nie jest religia, tylko przykrywką dla pracy wywiadowczej. Zaczęli powracać do swoich starych metod. Ale była jedna znacząca różnica: późnoradziecki państwowy przymus musiał podporządkować się pewnym regułom. I jeśli

te reguły rozumiałeś, to mogłeś panować nad swoją sytuacją. Natomiast w latach dziewięćdziesiątych państwo utraciło monopol na przemoc. Pojawiły się struktury kryminalne, a w rezultacie wojny w Czeczenii terroryzm skierowany przeciw obywatelom Rosji. Jego roli obecnie się nie docenia. W miejsce zrozumiałego państwowego przymusu przyszedł terror zupełnie irracjonalny, mogący dotknąć każdego. Ten terror, którego apoteozą było wysadzenie domów mieszkalnych w Moskwie w 1999 roku, stworzyło zapotrzebowanie na człowieka, który zaprowadzi porządek. I on przyszedł.

A co w tym czasie działo się z innymi pracownikami aparatu represji – pracownikami i kadrą kierowniczą łagrow? W „Granicy zapomnienia” przywołujesz dylemat, z którym wielu z nich musiało się mierzyć: „Przerażało go nie tylko to, co zrobił: wystraszył się, gdy okazało się, że on, dowódca plutonu egzekucyjnego, jest nikim w teraźniejszym świecie; nie pluto mu w twarz, ale nikt już się go nie bał (...) starzec nie mógł znieść tego, że wyrządzone przez niego zło nie istniało już jako zło; on zabijał, a świat koniec końców zamknął, a potem otworzył oczy i wszystko wyglądało tak, jakby niczego nie było”. Jakie były losy tych ludzi po 1991 roku?

Moglibyśmy poznać te losy, gdyby nasze liberalno-demokratyczne kręgi na początku lat dziewięćdziesiątych stwierdziły, że ci ludzie powinni ponieść odpowiedzialność. Wtedy znaleźliby się w centrum uwagi, wiedzielibyśmy, co myślą, co robią. W zachodnich Niemczech, gdy obywatele czuli, że wymiar sprawiedliwości nie spełnia swojej roli wobec byłych nazistów, pojawił się ruch „nazi-hunters”. To byli obywatele, którzy mówili: system sądowniczy jest niefunkcjonalny, nie wypełnia swojej powinności, więc my znajdziemy tych ludzi i ujawnimy ich imiona. W Rosji nic podobnego nie miało miejsca. Nikt nie miał zamiaru ich szukać, nazywać po imieniu. Zostali pozostawieni samym sobie. Mieli pełną możliwość po prostu zniknąć. Liberalno-demokratyczne kręgi głosiły wtedy, że nie wolno organizować polowania na czarownice. Że powinniśmy zrozumieć i przebaczyć. Że trudno odróżnić ofiary od oprawców. To określiło przyszłość Rosji na następne trzydzieści lat.

Obecnie w różnych dyskusjach o miejscach pamięci funkcjonuje jedna bardzo kategoryczna formuła: nie mamy prawa osądzać. Rosjanie zawsze oczekują jakiejś niezwyklej instancji. Bóg powinien zejść i wszystkich osądzić, a póki nie przyszedł, my nie możemy tego zrobić.

| Z czego to wynikało? Z naiwności? Braku odwagi?

To jest o wiele głębsza kwestia. Wielu z ówczesnych polityków i intelektualistów było bardzo odważnymi ludźmi. Wyszli ze środowiska dysydenckiego, siedzieli w łagrach. Uważam, że w odniesieniu do tej sytuacji można zdiagnozować martwy punkt w rosyjskiej etyce i mentalności. To kwestia etycznej ślepoty, która ciągnie się do tej pory. Obecnie w różnych dyskusjach o miejscach pamięci funkcjonuje jedna bardzo kategoryczna formuła: nie mamy prawa osądzać. Rosjanie zawsze oczekują jakiejś niezwyklej instancji. Bóg powinien zejść i wszystkich osądzić, a póki nie przyszedł, my nie możemy tego zrobić.

| Jeszcze raz zapytam, z czego to wynika – ze strachu? Z konformizmu?

To jest cecha rosyjskiej mentalności. Oczywiście były też bardziej przyziemne przyczyny, takie jak przekonanie, że wszyscy są jakoś umoczeni, bo wszyscy szli na kompromisy. Dało o sobie znać również realistyczne podejście: przyciągnąć wszystkich przed sąd się nie uda, ale zachować pamięć o ofiarach już tak.

| Czy to się odnosi tylko do zbrodni radzieckich?

W ciągu ostatnich trzydziestu lat Rosja przeprowadziła cztery agresywne wojny: dwie w Czeczenii, jedną przeciw Gruzji i jedną przeciw Ukrainie. Pod względem przelewu krwi te wojny razem liczone mogą być zestawione tylko z epoką stalinowską. Przez całe te trzy dekady żadna partia polityczna nie domagała się konsekwencji dla winnych przestępstw dokonanych w trakcie tych konfliktów. Żadna partia nie postawiła tej kwestii w swojej politycznej agendzie, nie uczyniła z tego swojego hasła rozpoznawczego. Nawet znakomity opozycjonista Aleksiej Nawalny mówi o korupcji. Jak można mówić o korupcji, kiedy przelano tyle krwi? W tej części mózgu, która powinna odpowiadać za poczucie odpowiedzialności, Rosjanie mają coś w rodzaju martwego punktu. Obecnie obserwuję dyskusje, które toczą się w rosyjskich mediach społecznościowych na temat tego, czy istnieje odpowiedzialność zbiorowa. Czuję, że sens tych sporów polega na tym, by odpowiedzieć: „my za nic nie jesteśmy odpowiedzialni, to wszystko zrobił Putin i źli ludzie, którzy na niego głosowali. My też jesteśmy ofiarami”.

| Czy ta etyczna ślepota wychodzi z autentycznych odczuć, czy może raczej jest wygodną pozycją: my nie możemy sądzić, nas nie mogą sądzić. Albo jeszcze

inaczej – może jest to swego rodzaju niewolnicza mentalność: nie możemy sądzić naszych panów?

Myślę, że wracamy do pytania o podmiotowość lub jej brak. Możliwość osądzania jest oznaką podmiotowości. Jej brak oznacza, że jesteś obiektem, zakładnikiem sytuacji historycznej, komuś podlegasz. Tutaj widzimy świadomą lub podświadomą rezygnację z podmiotowości. Wielu ludzi szczerze wierzy, że jest to ich zasadna, etyczna pozycja. Zwróćmy uwagę, że w rosyjskiej kulturze nie ma figury kulturowej Hamleta. Jak wiemy, wszyscy poza Hamletem nadawali symbolom na ścianie zamku różne wyjaśnienia: będzie wojna, będzie głód. A on powiedział: to nie wojna i nie głód, lecz coś bardziej poważnego. Zrozumiał, że została popełniona zbrodnia, która nie może pozostać bez kary. Rosjanie z założenia nie wchodzą w tę hamletowską pozycję. Potrzebujemy ogromnego refleksyjnego wysiłku kulturowego, żeby zrozumieć, dlaczego znów znajdujemy się w tej pułapce.

W rosyjskiej kulturze są inne silne figury. Które z nich mógłbyś wskazać jako archetypy tej etycznej ślepoty? Z jakich figur i jakich tekstów się ona bierze?

Ona się bierze nie z tych tekstów, które zostały napisane, lecz z tych, których nie napisano. Współczesna kultura Federacji Rosyjskiej nie omówiła całego zbioru idei. W ostatnich trzydziestu latach rosyjska literatura i życie znajdowały się w światach równoległych. Dla przykładu: wcześniej, przez siedemdziesiąt lat, funkcjonował totalitarny kraj, w którym nie było religii. I nagle religia znów się pojawiła. Ludzie siedemdziesiąt lat nie wierzyli, a potem znów uwierzyli. To jest wątek dla współczesnego Dostojewskiego! Ale o tym nikt nie pisze. Ćwierć wieku temu zaczęła się wojna w Czeczenii, która popchnęła nasz kraj w tragedię. Uważam, że to, co dzieje się teraz w Ukrainie, to bezpośrednie przedłużenie tamtej imperialnej polityki. I o tym też nikt nie pisze. Nie ma sensu wskazywać teraz na teksty Dostojewskiego, Tołstoja czy Turgieniewa, bo przed nimi stały inne problemy. Oni w najgorszych koszmarach nie mogli sobie wyobrazić, że przyjdzie

W tej części mózgu, która powinna odpowiadać za poczucie odpowiedzialności, Rosjanie mają coś w rodzaju martwego punktu. Obecnie obserwuję dyskusje, które toczą się w rosyjskich mediach społecznościowych na temat tego, czy istnieje odpowiedzialność zbiorowa. Sens tych sporów polega na tym, by odpowiedzieć: „my za nic nie jesteśmy odpowiedzialni, to wszystko zrobił Putin”.

nam żyć w postłagrowym społeczeństwie. Ta etyczna ślepotą, o której mówię, oraz łagrowa mentalność wymagają głębokiej kulturowej refleksji.

| Czym jest łagrowa mentalność?

Żeby to wyjaśnić, narysuję pewien obrazek. Jest koniec lat dziewięćdziesiątych. Jako młody chłopak biorę udział w geologicznej ekspedycji na północ, do republiki Komi. Dotarliśmy do niewielkiej wioski przy torach kolejowych, które zbudowali więźniowie. W tej wiosce mieszkają razem ludzie, którzy siedzieli w łagrze i ich niedawni strażnicy. Często bywają sąsiadami. Mnie wydało się to niemożliwe. Jak można żyć z człowiekiem, który nie tylko trzymał cię w więzieniu, ale ganiał cię po mrozie, czasem bił? Pytam: jak wy tak, razem? Ech, zapomniało się... Wydawałoby się, że są rzeczy, których nie można zapomnieć. Ale tak nie jest. I tym właśnie jest łagrowa mentalność.

| Z Twoich książek wybrzmiewa teza, że ta mentalność stała się cechą nie tylko tych, którzy byli w łagrach i ich rodzin, lecz całego rosyjskiego społeczeństwa.

Mówiąc o współczesnym rosyjskim społeczeństwie, użyłbym raczej określenia: mentalność postłagrowa. Trzydzieści lat żyliśmy przy otwartych drzwiach. Coś przychodziło z Zachodu, były różne doświadczenia, ludzie podróżowali, rozwijali biznesy. A teraz okazuje się, że tak naprawdę nic się nie zmieniło. Powstały warstwy świadomości: w pierwszej widzisz, że wszyscy żyją źle, że władza jest, jaka jest. A w drugiej jesteś tym samym człowiekiem, który myśli głównie o wielkości swojego kraju, o wielkich

ideach i dumie narodowej. Niby nie jesteś już w łagrze, ale w pewnym sensie nadal jesteś. W Rosji nie było ani jednej kulturalnej lub obywatelskiej instytucji, która sprzeciwiłaby się agresji na Ukrainę. Ani cerkiew, ani jakieś stowarzyszenie kulturalne, klub pisarzy, tłumaczy... Nic. Wszystkie te struktury to tylko deklaracje. Ich celem powinna być obrona prawdy i wartości. Ale tego nie ma. W tych instytucjach siedzą postłagrowi ludzie, którzy się boją. O siebie, o swoją pracę, swój dom.

Siedzą cicho i są bezpieczni. Przez trzydzieści lat w istocie rzeczy nic się nie zmieniło. Rozwijając tę metaforę, można powiedzieć, że w łagrach

**Naiwne są przekonania,
że jak nie będzie oleju
w sklepach, to Putina szybko
usuną. Kluczowe znaczenie
ma bowiem mentalność, która
nakierowana jest na adaptację,
na przeżycie. To jest właśnie
klucz postłagrowej mentalności.**

i w nazistowskich obozach koncentracyjnych też funkcjonowały teatry. Czasami bardzo dobre, z utalentowanymi artystami. Ale mimo wszystko były to teatry w łagrze. I cała rosyjska kultura siedzi w wielkim łagrze.

Rosjanie lekko przyjęli zamknięcie drzwi, które były otwarte przez te trzydzieści lat.

Jeszcze w czasie pandemii COVID poraziło mnie, jak szybko ten łagier się odbudowuje. Cała Europa żyła wtedy w izolacji, ale dla Rosji to były dziwne lata, kiedy to ludzie zaczęli rozumieć, że coś się dzieje. Mamy własną szczepionkę, której nikt nie uznaje. Mamy prezydenta, który siedzi w bunkrze i z nikim się nie spotyka. Jednocześnie pojawiało się wrażenie, że czas, kiedy to u co drugiego mieszkańca dużego miasta była wiza do strefy Schengen i ludzie jeździli do Europy, po prostu się skończył. I trudno, tak bywa, teraz pożyjemy sobie inaczej. Naiwne są przekonania, że za moment nie będzie oleju w sklepach i Putina szybko usuną. Skrajnie naiwne. Po pierwsze olej się nie skończy, bo system ma rezerwy. Ale kluczowe znaczenie ma mentalność, która nakierowana jest na adaptację, na przeżycie. To jest właśnie klucz postłagrowej mentalności.



Historia w służbie polityki

Z Mariuszem Wołossem
rozmawia Sonia Knapczyk

Mariusz Wołos – historyk specjalizujący się w historii dyplomacji XX wieku, a także stosunków polsko-sowieckich. W latach 2007-2011 dyrektor Stacji Naukowej PAN w Moskwie, gdzie był również stałym przedstawicielem PAN przy Rosyjskiej Akademii Nauk. Autor ponad dwustu pięćdziesięciu prac naukowych z zakresu dziejów stosunków międzynarodowych i historii dyplomacji polskiej, sowieckiej i francuskiej w XX wieku, biografistyki, historii historiografii.

Sonia Knapczyk – doktorantka Wydziału Historycznego UJ. Współpracuje z dwumiesięcznikiem „Nowa Europa Wschodnia”.

I Sonia Knapczyk: Czym jest historia dla współczesnej Rosji?

Mariusz Wołos: Rola historii we współczesnej polityce rosyjskiej jest ogromna. Ma ona zdecydowanie większe znaczenie niż w polityce innych mocarstw, zwłaszcza demokratycznych. Rosyjskie media i politycy, z prezydentem Władimirem Putinem na czele, posługują się specyficznymi kategoriami historycznymi i nie tylko historycznymi. Przede wszystkim w oficjalnym dyskursie, w kontekście konfliktu toczącego się w Ukrainie, unika się określenia „wojna”. Za jego użycie grozi kara. Zamiast tego funkcjonuje karkołomne określenie „specjalna operacja wojskowa”. Dlaczego? Ponieważ Rosja nie wywołuje wojen, tym bardziej wojen napastniczych. Dobrze wiemy, że Federacja Rosyjska faktycznie inicjuje konflikty zbrojne. Imperium Rosyjskie i Związek Sowiecki w przeszłości – pod rozmaitymi pretekstami – podobne wojny również wcale nierzadko prowadziły. Samo unikanie słowa „wojna” jest wpisaniem w semantykę obrazu Rosji jako obrończyni pokoju, państwa angażującego się tam, gdzie trzeba naprawiać krzywdy w imię ogólnoludzkiego dobra.

Dochodzimy także do kolejnych dwóch używanych w rosyjskiej propagandzie określeń, które w rzeczywistości są zwykłymi kłamstwami. Mowa o „denazyfikacji” i „wyzwalaniu”. Dla Rosjan waga tych słów jest wielka, o czym doskonale wiedzą propagandyści. Tymczasem według oficjalnego dyskursu Rosja, podobnie jak wcześniej Związek Sowiecki, prowadzi

politykę zmierzającą do zdławienia w zarodku zła. Dlaczego Federacja Rosyjska w ogóle weszła więc na teren innego państwa, łamiąc umowy międzynarodowe, które sama uprzednio podpisała? Ponieważ według dyskursu Kremla podjęła działania prewencyjne. Gdyby nie wkroczone na terytorium Ukrainy, narodziłoby się tam „nazistowskie zło”, które prędzej czy później obróciłoby się przeciwko Rosji, a być może także przeciwko całej ludzkości. Moskwa znów stawia się w roli obrończyni pokoju i wartości ogólnoludzkich. Dobrze wiemy, że to fałsz. Odpowiednio podlany propagandowym sosem trafia do przekonania milionów obywateli rosyjskich, czerpiących informacje z państwowych środków przekazu. Tymczasem za posunięciami Putina kryje się głównie tendencja (neo?) imperialistyczna i głęboka pogarda dla Ukrainy jako niezależnego państwa i Ukraińców jako wolnego narodu. To z kolei nawiązanie do klasycznego kanonu polityki rosyjskiej XVIII i XIX wieku. Nawet niektórzy rosyjscy przedstawiciele świata nauki podczas rozmów ze mną na długo przed aneksją Krymu i wybuchem wojny w Ukrainie twierdzili, że każdy podbój terytorialny jest sukcesem. Tak to działa w praktyce. Olbrzymią rolę odgrywa pompacyjne celebrowanie dziewiątego maja, przypominające świetność Związku Sowieckiego, ale także budujące świadomość Rosjan. Współcześnie ma ono na celu skupienie obywateli rosyjskich wokół władzy, a co za tym idzie, w sposób ostentacyjny udzielenie jej poparcia. W wielkim skrócie, do tego właśnie Rosji służy historia.

Wspomniał Pan Profesor o micie Rosji jako obrończyni pokoju, co nawiązuje do ideologii Związku Sowieckiego. Czy współczesna Rosja nie wypracowała nowoczesnej mitologii?

Sądzę, że jest to powrót do głęboko tkwiącej w historii mitologii, a mianowicie do XIX-wiecznej ideologii Rosji jako wielkiego brata uciśnionych narodów słowiańskich, w tamtym czasie uciemnionych głównie przez imperium tureckie. Należy sięgnąć dalej niż okres Związku Sowieckiego, ale tamta historia, sprzed dwustu czy stu pięćdziesięciu lat, jest już odległa. Straciła walor bycia historią żywą. Dlatego łatwiej odtworzyć klisze myślenia o Związku Sowieckim jako wyzwoliciele z lat 1943-1945, państwie niosącym wolność od faszyzmu. Dzisiaj też Rosjanie „wyzwalają” Ukrainę od „faszyzmu”. W telewizji pokazywane są przerażające schematy. Podam tylko jeden przykład – pierwszą czynnością rosyjskich żołnierzy po pojmaniu obrońców Azowstalu, nazywanych przez rosyjskie media

„pułkiem faszystowskim”, było sprawdzanie ich tatuaży w poszukiwaniu symboliki nazistowskiej. W ten sam sposób wyłapywano członków SS w 1944 i 1945 roku. Tego typu analogie trafiają do Rosjan, wychowanych na filmach o superbohaterze Stirlitzu.

Sceny te nie są przypadkowe. Przy okazji setnej rocznicy pierwszej wojny światowej rosyjscy historycy podejmowali próbę pokazania rosyjskiej perspektywy. Narracja miała przekonać świat, że Rosjanie także byli ważnymi graczami w tym konflikcie, odnosili sukcesy. Co więcej, trzykrotnie uratowali Paryż od zajęcia przez Niemców: w 1914, 1916 i 1917 roku. Opowieść ta nie zyskała jednak zbyt wielu słuchaczy. Nie miała bowiem odpowiedniego podglebia. Pamięć pierwszej wojny światowej wciąż jest w Rosji przykryta „Wielką Rewolucją Październikową”, Leninem i wydarzeniami wojny domowej. To spuścizna po Związku Sowieckim, gdzie ostatnią wojnę Imperium Rosyjskiego zepchnięto praktycznie w niebyt, wymazano z pamięci lub przedstawiano wyłącznie z ideologicznej perspektywy jako imperialistyczny konflikt złych kapitalistów. Na pierwszej wojnie nie da się zatem nic ugrać. Co innego na drugiej wojnie światowej, a właściwie „Wielkiej Wojnie Ojczyźnianej”.

Znając Rosję, wiem, że armia jest niewyobrażalnie skorumpowana. Służą w niej ludzie, którzy nie widzą dla siebie innej możliwości zdobycia środków do życia, a nawet nie mają sposobu na dalsze życie. Bardziej wykształceni i bogatsi za wszelką cenę starają się uniknąć służby wojskowej, często korumpując urzędników.

Putin doskonale odnajduje się w manipulowaniu narracją o drugiej wojnie światowej.

Czy to nie dowód, jak wielką rolę odgrywa „polityka historyczna”? Wyciąganie wybranych, pasujących faktów i odpowiednia ich interpretacja jest niczym innym jak zakłamaniem historii. Na czele dwóch najważniejszych towarzystw historycznych w Rosji – historycznego i wojenno-historycznego – stoją dwaj bardzo bliscy współpracownicy Putina, niemający z historią wiele wspólnego. Jednym z nich jest Władimir Miedinski, były minister kultury, przewodniczący Rosyjskiego Towarzystwa Wojskowo-Historycznego. Na początku wojny przeciwko Ukrainie odgrywał on ważną rolę. Był bowiem przewodniczącym rosyjskiej delegacji, która prowadziła bezproduktywne rozmowy z Ukraińcami na terenie Białorusi. Wydelegowanie Miedinskiego do tych rozmów było zniewagą dla Ukraińców. Człowiek

ten nie ma pojęcia o sytuacji międzynarodowej, nie jest dyplomatą, tylko bezwolnym narzędziem i wykonawcą woli Putina. Z kolei na czele Rosyjskiego Towarzystwa Historycznego stoi Siergiej Naryszkin, kolejny bardzo bliski współpracownik prezydenta, „przyniesiony” przez niego „w teczce” z Petersburga. Nie są to uczeni akademicy, ale urzędujący politycy, nawet jeśli posiadają stopnie naukowe. Naryszkin ma habilitację z ekonomii, zaś Miedinski z politologii i historii, przy czym w sprawie tej drugiej publicznie postawiono mu zarzut o plagiat i bezskutecznie próbowano odebrać stopień naukowy. W dodatku Naryszkin jest szefem Służby Wywiadu Zagranicznego. W którym państwie na czele najważniejszego towarzystwa historycznego stoi szef wywiadu?

| Dlaczego Europa uwierzyła w wyzwolenie mit Armii Czerwonej?

Kwestia ta jest skomplikowana. Sowietów byli jednak od 1941 roku sojusznikami mocarstw zachodnich – Wielkiej Brytanii, wolnej Francji, Stanów Zjednoczonych. Ponosili duży ciężar wojny na froncie wschodnim, czego nie można było negować. Sowietów wspólnie z Anglosasami decydowali, jak podzielić świat w Teheranie, Jałcie i Poczdamie. Wobec tego istniały poważne przesłanki, aby nie pomniejszać historycznej roli państwa, do którego Zachód czuł też szacunek. W okresie zimnej wojny, pomimo bipolarnego podziału świata, obie strony okazywały sobie respekt, otwierając niejednokrotnie drogę do rozmaitych negocjacji. Wiara w mit o Armii Czerwonej nie stała przy tym w sprzeczności z zachodnim koniunkturalizmem. Patrząc na państwo Putina, rządzącego w Moskwie już dwadzieścia trzy lata, nikt nie negował współczesnej „polityki historycznej” Rosji, ponieważ chciano z Rosjanami handlować i na tym handlu nieźle zarabiać. Rosja stanowiła nie tylko źródło surowców, ale i ważny rynek zbytu, także dla towarów luksusowych. Na obchody Święta Zwycięstwa w 2005 roku przybyli prezydenci większości państw zachodnioeuropejskich. Chodziło o interesy, pokazanie wizerunku Federacji Rosyjskiej jako obliczalnego i cywilizowanego partnera. Proces poszedł jednak znacznie dalej, skądinąd bez specjalnego oglądania się na rosyjską „politykę historyczną” czy uważnego wsłuchiwanie w słowa płynące z Kremla, a kryjące dalekosiężne (neo)imperialistyczne cele. Liczni politycy zachodni, ze szczególnym wskazaniem na Niemców i Francuzów, sami uwierzyli i starali się do tego przekonać innych, że Rosja powinna być ważnym elementem struktury bezpieczeństwa współ-

czesnego świata. Były i inne determinanty. Wspomnę tylko o jednej. Do dwudziestego czwartego lutego 2022 roku główna oś światowej rywalizacji biegła według linii Stany Zjednoczone–Chiny, a nie Stany Zjednoczone–Rosja. Patrząc z tej perspektywy, Rosja była potrzebna USA jako element balansujący Chiny. Uduśnienie rosyjskiego niedźwiedzia nie było w interesie strategów i polityków z Waszyngtonu. Pewnie teraz następuje przewartościowanie tego rodzaju myślenia, ale czy całkowite? Przyglądamy się, czym się ten proces zakończy. Wszystko bowiem zależy od dalszych losów wojny na Ukrainie. Chiny również wiedzą, że ich głównym konkurentem gospodarczym, ale i politycznym – oby nie militarnym – są Stany Zjednoczone. Rosja jest zatem wciąż potrzebna Państwu Środka do rozgrywania Stanów, NATO, świata demokracji zachodniej. Sojusz chińsko-rosyjski w rzeczywistości jest fikcją. Chińczycy nie mają i nie potrzebują posiadać sojuszników. Mają za to dalekosiężne cele i ogólnoświatowe interesy. Rosję wykorzystują instrumentalnie i jeszcze przez jakiś czas będą to robić, bo leży to w ich interesie. Putin doskonale zdaje sobie z tego wszystkiego sprawę. Czuje też rosnący ciężar zagrożenia ze strony Chin. Nie ma jednak innego wyjścia, jak mówić o sojuszu rosyjsko-chińskim wymierzonym w USA, Europę Zachodnią oraz Pakt Północnoatlantycki, a także wmawiać własnym obywatelom znaczenie tego rzekomego aliansu, aby pokazać, że Moskwa nie pozostaje osamotniona. Swoje znaczenie ma w tym przypadku brak wiary tak Rosjan, jak i Chińczyków w wartości cywilizacji zachodniej oraz demokracji. Przez przywódców obu wymienionych krajów są one traktowane jako przejaw słabości w odróżnieniu od rządów silnej ręki. To wystarczająca podstawa, aby sugerować światu i własnym obywatelom istnienie bliskich związków między Moskwą a Pekinem. Wszystkie te czynniki spychały i nadal spychają na dalszy plan znaczenie rosyjskiej „polityki historycznej” w układzie międzynarodowym. Wielu polityków i teoretyków polityki traktuje ją jako czynnik mniej ważny, drugorzędny. Nie można tymczasem zapominać, że filarem, na którym opiera się Federacja Rosyjska, jest nie tylko ropa i gaz,

Jak mógł wyglądać dialog polsko-rosyjski, skoro już w czasach Michaiła Gorbaczowa i z jego nakazu zaczęto poszukiwania tak zwanego anty-Katynia? Co prawda przyznano, że zbrodni katyńskiej dokonali Sowietci, a nawet za rządów Borysa Jelcyna przekazano stronie polskiej odpowiednie dokumenty na ten temat.

ale także właśnie „polityka historyczna” jako fundamentalna podstawa groźnego dla pokoju na świecie (neo)imperializmu.

Obserwując zachowania żołnierzy rosyjskich w czasie wojny w Ukrainie, ma Pan Profesor historyczne *déjà vu*? Niektóre relacje wprost kalkują opisy marszu Armii Czerwonej przez wyzwalane przez nią tereny.

Oczywiście, to przerażające *déjà vu*. Trudno usprawiedliwiać zachowanie rosyjskich żołnierzy normami intelektualnymi, nie mówiąc już o wartościach cywilizacji zachodniej. Śledzę na bieżąco media rosyjskie. Wiem, kto trafia w szeregi armii rosyjskiej i skąd wywodzą się ci ludzie. Wśród szeregowych żołnierzy nie spotka się inteligenta moskiewskiego czy petersburskiego. Znając Rosję, wiem, że armia jest niewyobrażalnie skorumpowana. Służą w niej ludzie, którzy nie widzą dla siebie innej możliwości zdobycia środków do życia, a nawet nie mają sposobu na dalsze życie. Bardziej wykształceni i bogatsi za wszelką cenę starają się uniknąć służby wojskowej, często korumpując urzędników. Stąd też wśród niższej kadry znajduje się tak wielu ludzi wywodzących się z bardzo biednych środowisk lub spośród mniejszości narodowych. Wymowny jest przykład Buriatów, którzy dokonali zbrodni wojennych w Buczy i jej okolicach. Z kolei sierżant Wadim Sziszmarin sądzony jako pierwszy żołnierz rosyjski przed sądem ukraińskim za zamordowanie emeryta to dwudziestoletni chłopak z wielodzietnej, rozbitej rodziny. Pochodzi spod Irkucka na Syberii Wschodniej. Rzecz jasna, pochodzenie w żaden sposób nie usprawiedliwia tych ludzi. Co więcej, mają oni przyzwolenie na bestialstwo od swoich dowódców, a to już są ludzie doskonale wiedzący, w czym uczestniczą.

Nasuwa się pytanie, czy żołnierz rosyjski potrafi inaczej...

Od XVIII wieku i dokonywanych wówczas zbrodni, by przywołać Aleksandra Suworowa i rzeź Pragi, nigdy żołnierzy rosyjskich nie postawiono przed sądem za mordy, nigdy ich nie ukarano. Rosyjska armia ma na swoim koncie wiele zbrodni, także w XIX wieku, nie wspominając już o drugiej wojnie światowej, ale zamiast kar przedstawiciele armii otrzymywali za swoje zachowanie order, awanse, gratyfikacje finansowe. Dokonujący dzisiaj okrutnych zbrodni wojennych w Ukrainie, których skali jeszcze nie znamy, także dostają od Putina odznaczenia. Za przelew krwi cywilów są nagradzani. Co myślał wtedy owi osiemnasto- czy dwudziestolatkowie? „Morduję faszystów, gwałcę ukraińskie baby, a więc dobrze robię, mój przy-

wódca daje mi za to order” – tego typu myślenie funkcjonuje od dwustu pięćdziesięciu lat. Zakorzenione jest w korpusie oficerskim, przenoszone na żołnierzy. Niestety to, co Pani nazwała *dějə vu*, ma swoje głębokie źródła w historycznych zaszłościach. Enkawudziści biorący udział w mordzie katyńskim zostali za ten czyn nagrodzeni. Wykazały to badania znakomitego rosyjskiego historyka, członka Memoriału, Nikity Pietrowa. Jak w takiej sytuacji żołnierze mogą rozróżnić zło od dobra? Świadomi tych działań są dowódcy, którzy je z premedytacją tolerują, bo sami mają na to przyzwolenie Moskwy. Żołnierze rosyjscy wiedzą, że przy okazji konfliktu można się „dorobić”. Nie mamy jeszcze pełnego obrazu trwającej wojny, ale wiemy, że zaopatrzeniem Rosjan wkraczających jako agresorzy na Ukrainę nikt się nie przejmuje. Mają karabiny, rakiety, czołgi, transportery opancerzone, ale raczej żywnościowe starczą zaledwie na chwilę. Dowódcy liczą na to, że ich żołnierze wszystko, co potrzebne do jedzenia i zaspokojenia bieżących potrzeb, zdobędą na miejscu, rabując czy nawet mordując. Z naszej perspektywy w głowie się to nie mieści, tym bardziej że mamy dostęp do informacji, filmy dokumentalne, internet. Na bieżąco oglądamy tragedię wojny niczym operację chirurgiczną. Odnosimy wrażenie, że cofnęliśmy się do realiów XIX wieku albo pierwszej połowy XX wieku. A jednak! Czytając relacje mieszkańców województw wschodnich Rzeczypospolitej z 1939 roku, dowiadujemy się, że po wkroczeniu Armii Czerwonej w ciągu kilku dni z półek sklepowych zniknęło niemal wszystko. Sowieci zabierali, co im wpadło w ręce. Podobnie było w Niemczech w 1945 roku. „Oddziały trofiejne”, działające także na terenie Polski ze wskazaniem na ziemie zachodnie, wywoziły całe zakłady przemysłowe, wymontowywano linie kolejowe, zabierano rowery, zegarki, rozmaite dobra materialne. Oddziały te liczyły aż sto tysięcy ludzi. Działyły zgodnie z dyrektywami władz, które nakazały ich sformowanie. Trzeba do tego dodać całe tabuny krasnoarmiejców dokonujących rabunków na własną rękę, bez jakiegokolwiek kontroli. Szeregowi i oficerowie, nie wyłączając generałów, mieli prawo wysyłania paczek do rodzin, w których znajdowały się zabrane Polakom, Węgrom, Czechom

Podjęta kilka lat temu próba reaktywowania Grupy do Spraw Trudnych poprzez powołanie nowego składu po stronie polskiej spotkała się z brakiem reakcji ze strony rosyjskiej. Rzecz jasna, nie licząc skrupulatnej obserwacji tego działania przez ambasadę Federacji Rosyjskiej w Warszawie.

czy Niemcom trofea. W niektórych przypadkach były to nie tyle paczki, ile całe wagony kolejowe. W taki oto sposób władze sowieckie legalizowały rabunki. Jeden tylko przykład: szacuje się, że po zakończeniu działań wojennych z terenów Polski przepędzono do Związku Sowieckiego ponad pół miliona sztuk bydła.

Przypuszczał Pan Profesor, że tuż za naszą granicą wybuchnie tradycyjna, regularna wojna, podobna do tej sprzed osiemdziesięciu lat?

Nie będę udawał Wernyhory. Do końca nie wierzyłem w wybuch tej wojny. Znając jednak Rosję i aspiracje Putina, miałem świadomość, że zamierza on dołączyć do wielkich postaci historii Rosji. Kto jest rosyjskim bohaterem? Ten, kto skutecznie „zbiera” ziemie ruskie. Zaczął Iwan Kalita, kontynuowali jego potomkowie i kolejni władcy Rosji, tacy jak Iwan III Srogi, Wasyl III, Iwan IV Groźny, Piotr Wielki. Z czasem niespecjalnie odróżniano ziemie ruskie od nieruskich w procesie owego „zbierania”. Przykładem może być Katarzyna II, która walczyła przyczyniła się do rozbiorów Rzeczypospolitej Obojga Narodów. Mikołaj I uważał, że tam, gdzie stanie rosyjski żołnierz, jest ziemia rosyjska. Wreszcie ziemie rosyjskie i nie tylko rosyjskie „zbierał” Józef Wissarionowicz Stalin. To długa tradycja, mocno eksponowana w myśleniu Rosjan o przeszłości. Putin chciałby się w tym gronie znaleźć, trafić na pomniki, zająć kluczowe miejsce w podręcznikach historii. Skądinąd wiele osiągnął jeszcze przed dwudziestym drugim lutego 2022 roku. Dopomogła mu w tym polityka *appeasementu* prowadzona znów przez państwa zachodnie, tym razem w nowym, XXI-wiecznym wydaniu. Bo czymże innym były dwie wojny czeczeńskie, najazd na Gruzję w 2008 roku, hybrydowa agresja przeciwko Ukrainie w 2014 roku, a w końcu bezkarne zaangażowanie armii rosyjskiej w konflikt syryjski? Bierność Zachodu to nic innego jak raczej klasyczny przykład *appeasement policy*. Mimo to nie przypuszczałem, że Putin wywoła wojnę o takiej skali, celując w usunięcie niewygodnego dlań „faszysty” żydowskiego pochodzenia, czyli prezydenta Wołodymyra Zełenskigo. W ciągu ostatnich dziesięcioleci panowało przekonanie, że Rosja jako państwo „znormalniała”. Niestety, to było błędne myślenie. Po raz kolejny okazało się, że zakłamywanie historii prowadzi do wojny napastniczej i łamania prawa międzynarodowego.

Liczba tematów trudnych w historii stosunków polsko-rosyjskich jest bardzo długa. W minionym trzydziestoleciu podejmowano wiele prób dialogu, który w ostatnich latach został zamrożony. Jak kształtowały się wysiłki pogodzenia wizji historii obu narodów?

Temat jest tak szeroki, że nadaje się na odrębną i wielogodzinną rozmowę, ale spróbuję pokrótce opisać elementy tego procesu. Jak mógł wyglądać dialog, skoro już w czasach Michaiła Gorbaczowa i z jego nakazu zaczęto poszukiwania tak zwanego anty-Katynia? Co prawda przyznano, że zbrodni katyńskiej dokonali Sowietci, a nawet za rządów Borysa Jelcyna przekazano stronie polskiej odpowiednie dokumenty na ten temat. Zrobił to profesor Rudolf Pichoja, przywożąc je do Warszawy i wręczając Andrzejowi Drzymcowskiemu z Kancelarii Prezydenta Lecha Wałęsy. Równolegle Rosjanie w prasie, publicystyce i historiografii podnosili sprawę anty-Katynia, wyciągając jako równoważnik problem rzekomego mordowania przez Polaków jeńców sowieckich wojny z lat 1919-1920, sztucznie zawyżając przy tym liczbę ofiar. Tymczasem – dysponując szczegółowymi danymi – wiemy, ilu żołnierzy sowieckich zmarło w polskich obozach i znamy przyczyny ich śmierć, którymi były choroby zakaźne. Stawianie znaku równości między mordowaniem z rozkazu najwyższych władz strzałem w potylicę a umieraniem w trudnych warunkach sanitarnych na choroby zakaźne jest ewidentnym zakłamaniem historii. Od samego początku sytuacja była zatem nader trudna, ale dialog należało kontynuować, aby wyjaśnić najtrudniejsze i najbardziej bolesne karty przeszłości, uzyskać dostęp do archiwów rosyjskich, dążyć do wzajemnego zrozumienia jakże potrzebnego sąsiadom. Ogromną rolę odgrywała Polsko-Rosyjska Grupa do Spraw Trudnych, skupiająca wybitnych historyków reprezentujących obie strony. Efektem prac była obszerna monografia zbiorowa na temat wzajemnych relacji w latach 1918-2008 opublikowana w 2010 roku, w której na temat tego samego zagadnienia przeszłości pisał zarówno historyk polski, jak i rosyjski. Mimo trudności udało się w ramach jednej pracy ująć różne spojrzenia. Problem polega na tym, że gdybyśmy teraz porównali to, co pisali niektórzy rosyjscy autorzy tej książki wówczas i później, to bez większego wysiłku zauważymy spore rozbieżności. Po prostu dostosowali się oni do koniunktury i zapotrzebowania ze strony władz. Ten prosty przykład pokazuje, jak trudny był to dialog.

I Jak wygląda sytuacja w ostatnich latach?

Podjęta kilka lat temu przez ministra spraw zagranicznych Witolda Waszykowskiego próba reaktywowania Grupy do Spraw Trudnych poprzez

Rola historii we współczesnej polityce rosyjskiej jest ogromna.

Ma zdecydowanie większe znaczenie niż historia w polityce innych mocarstw, zwłaszcza demokratycznych.

Na czele Rosyjskiego Towarzystwa Historycznego stoi Siergiej Naryszkin, bardzo bliski współpracownik prezydenta, „przyniesiony” przez niego „w teczce” z Petersburga.

powołanie nowego składu po stronie polskiej spotkała się z brakiem reakcji ze strony rosyjskiej – rzecz jasna, nie licząc skrupulatnej obserwacji tego działania przez ambasadę Federacji Rosyjskiej w Warszawie. Mimo wszystko mam nadzieję, że doświadczenia Grupy do Spraw Trudnych będą kiedyś w przyszłości punktem wyjścia do dalszych rozmów. Oby już nie w putinowskiej rzeczywistości. Pamiętam, że pracami Grupy bardzo zainteresowani byli Japończycy, którzy również mają problemy w relacjach historycznych z Rosjanami. Niestety to, co wydarzyło się dwudziestego czwartego lutego 2022 roku, może cofnąć polsko-rosyj-

ski dialog o przeszłości do czasów Związku Sowieckiego, z akcentem na zakłamywanie przeszłości oraz interpretowanie jej w sposób absolutnie koniunkturalny na potrzeby bieżącej polityki. Dziś wygląda to raczej przerażająco. Muszę przyznać, że mając za sobą kilkuletni pobyt w Rosji w charakterze dyrektora Stacji Naukowej PAN w Moskwie i stałego przedstawiciela przy Rosyjskiej Akademii Nauk, a co za tym idzie – niemałe doświadczenie współpracy z rosyjskimi historykami – mam poczucie klęski. W obliczu agresji przeciwko Ukrainie intelektualiści rosyjscy – z pewnymi chlubnymi wyjątkami – milczą albo w geście protestu po cichu opuszczają swój kraj. Są i tacy, którzy popierają napaść na Ukrainę. Nie wnikać, czy robią to z powodów koniunkturalnych, obawiając się o posady i zarobki, czy też wierzą w oficjalny przekaz propagandowy. Proszę sobie przypomnieć chociażby haniebny list rektorów rosyjskich szkół wyższych. Niektórych jego sygnatariuszy miałem okazję poznać osobiście. Poczucie rozczarowania nie jest tylko moim udziałem. Podzielają je także inni badacze uczestniczący w dialogu z rosyjskimi uczonymi, w tym były współprzewodniczący Polsko-Rosyjskiej Grupy do Spraw Trudnych profesor Mirosław Filipowicz czy profesor Hieronim Grała, długoletni dyrektor Instytutu Polskiego w Petersburgu, następnie Instytutu Polskiego w Moskwie. Czuję po prostu,

że nasz wieloletni trud, nasze misje, wspólne naukowe przedsięwzięcia przyniosły efekty niewspółmierne w stosunku do ogromu wysiłków. Również w tym zakresie kropkę nad i postawiła agresja rosyjska rozpoczęta dwudziestego czwartego lutego 2022 roku.

Jakie tematy w polsko-rosyjskich relacjach historycznych można zaliczyć do białych plam?

Odpowiedź na to pytanie jest trudna do wyczerpania. Należałoby zacząć co najmniej od XVIII wieku i grabieży dóbr kultury wywiezionych przez Rosjan z terenów Rzeczypospolitej Obojga Narodów, których nigdy nie zwrócono stronie polskiej. Mamy także zupełnie inne postrzeganie wzajemnych stosunków w XIX wieku. Zdarza się, że martyrologia polska jest w Rosji traktowana z ironią, by nie powiedzieć z przekąsem. Rosjanie akcentują bogactwo Syberii, gdzie wielu Polaków znalazło całkiem dobre warunki życia. Tę wizję przeciwstawiają polskiemu obrazowi Syberii jako miejscu zesań, cierpień, niedoli najlepszych synów narodu polskiego. Zapominanie albo wymazywanie pewnych tragicznych kart historii należy do częstych praktyk rosyjskich. Jedną z białych plam jest niewątpliwie los i okrutne traktowanie jeńców polskich w sowieckiej niewoli w trakcie i po zakończeniu wojny 1919-1920, o których wciąż mówi się za mało, także w Polsce. Tymczasem wielu jeńców ginęło rozrąbanych szablami zaraz po wzięciu do niewoli czy było zakopywanych żywcem, przez co nie zostali ujęci w żadnych oficjalnych sowieckich statystykach. To z kolei fałszuje obraz okrutnej rzeczywistości. Proszę pamiętać, że Rosjanie nigdy nie otworzyli do końca swoich archiwów. Nawet w okresie „rewolucji archiwalnej” w czasach rządów Jelcyna. Niesie to za sobą określone skutki. Przykładowo, nigdy nie poznaliśmy materiałów dotyczących agentów sowieckich w II Rzeczypospolitej czy agentury w czasie drugiej wojny światowej. Z ust profesora Pichoi, który w latach dziewięćdziesiątych stał na czele Państwowej Służby Archiwalnej Rosji, usłyszałem, że po pełnym otwarciu tych archiwów Polacy musieliby napisać od nowa swoją historię drugiej wojny światowej. To jednak wielce wymowne. Tym bardziej że profesor Pichoj miał nieograniczony wgląd w rozmaite dokumenty z czasów Związku Sowieckiego. Nie wiem dokładnie, o czym wówczas do mnie mówił, co najwyżej mogę się domyślać. Inny przykład: Rosjanie nigdy do końca nie utworzyli archiwów dyplomatycznych, będących w gestii resortu spraw zagranicznych. Nie wiemy zatem prawie nic o działalności konsulatów

sowieckich na terenie II Rzeczypospolitej, Wolnego Miasta Gdańska czy w Polsce „ludowej”. Nie mamy kompletnych informacji na temat źródeł i sposobów finansowania Komunistycznej Partii Polski, zanim jej elita została wymordowana przez Stalina. Nie znamy skali „uprawomocnionych” kradzieży przez Związek Sowiecki wszelkich dóbr, nie tylko w 1945 roku, ale i później. Nie znamy kompletnej dokumentacji sowieckiej na temat wprowadzenia stanu wojennego w Polsce. Inny przykład – nieoficjalnie mówi się, że teczki ofiar zbrodni katyńskiej, zawierające między innymi protokoły przesłuchań, wciąż istnieją, mimo zapewnień i deklaracji, że zostały zniszczone jeszcze za rządów Nikity Chruszczowa. Andrzej Wajda pokazał te *dossier* w finalnej scenie filmu „Katyń”. To jednak sfabularyzowana historia. Tymczasem historycy nigdy nie mieli wglądu do tych materiałów, o ile rzeczywiście nadal istnieją. Być może gdybyśmy znali ich zawartość, moglibyśmy odpowiedzieć na pytania, dlaczego niewielka grupa oficerów przeżyła, jakie zadawano im pytania, co interesowało władze sowieckie? Lista tematów mieszczących się w pojęciu „białe” lub „czarne plamy” wciąż jest bardzo długa. Problem polega na tym, że Związek Sowiecki z jednej strony miał przemożny wpływ na losy Rzeczypospolitej właściwie przez cały XX wiek, z drugiej zaś jego spadkobierczyni, czyli Rosja, nigdy nie otworzyła do końca swoich archiwów. Zaryzykowałbym nawet twierdzenie, że duża liczba najcenniejszych dokumentów nadal pozostaje poza naukowym obiegiem. Miejmy nadzieję, że kiedyś w przyszłości uda się do nich dotrzeć. My, historycy, musimy jednak uderzyć się w pierś. Uważam bowiem, że wspomniana przeze mnie „rewolucja archiwalna” nie została w pełni wykorzystana przez polskich badaczy. Skutki tego odczuwamy do dzisiaj, a pracy do wykonania było niemało. Mam na myśli pozostawienie na pastwę losu wielu polskich archiwaliów przechowywanych w Rosji jako „trofejne”. Niestety, dziś nie wiemy, kiedy i czy w ogóle uda nam się wrócić do rosyjskich archiwów. Nie wiemy też, co w nich zastaniemy. Obym był złym prorokiem.

Rozmowę przeprowadzono 19 maja 2022 roku.



Strzelba w końcu wystrzeli

Z Siergiejem Jerofiejewem,
jednym z pionierów poradzieckiej
edukacji globalnej i socjologii kultury,
rozmawia Magdalena Lejman

Siergiej Jerofiejew – doktor, socjolog sztuki, pianista, jeden z pionierów edukacji globalnej i socjologii kultury w poradzieckiej Rosji. Pełnił funkcję prorektora Wyższej Szkoły Ekonomicznej w Moskwie, dziekana Programów Międzynarodowych Uniwersytetu Europejskiego w Sankt Petersburgu, dyrektora Centrum Socjologii Kultury na Kazańskim Uniwersytecie Federalnym. W 2015 roku wyemigrował z Rosji i dołączył do Rutgers University (USA). Jego badania oscylują między innymi wokół kwestii kultury politycznej, nacjonalizmu oraz transformacji postsocjalistycznej.

Magdalena Lejman – doktor, historyczka, kulturoznawczyni, pracowniczka Uniwersytetu Warszawskiego. Interesuje się spuścizną poradziecką i jej wpływem na współczesną tożsamość Rosjan.

Magdalena Lejman: Pospekulujmy. Co czeka Rosję za pięć lat? Symbole Z i V pojawiają się na koszulkach zwolenników „specjalnej operacji wojskowej” w Ukrainie, na budynkach użyteczności publicznej w Rosji, w formie pomników oraz w oficjalnej typografii miast. Czy Rosja to już kraj faszystowski, czy takim niedługo się stanie?

Siergiej Jerofiejew: Faszyzm to fenomen historyczny. W Rosji dziś łatkę faszyzmu przykleja się wszystkiemu, co złe. Gdy wojna w Ukrainie nie zakończyła się szybkim zwycięstwem, nazistami zaczęto nazywać całe ukraińskie społeczeństwo. Faszyzm w naszym kraju jest elementem politycznej pragmatyki. System władzy, który zbudował Putin, znacznie bliższy jest państwu mafijnemu.

Po rozpadzie ZSRR doszło do liberalizacji, ale nie demokratyzacji Rosji. Nie istniała kultura polityczna, która by na to pozwalała. Mieszkańcy ZSRR, choć byli społeczeństwem wykształconym, nie przeszli żadnej edukacji politycznej. Ludność nastawiła się na konsumpcję. Niemal od początku nowego systemu zorganizowana przestępczość, dostrzegając nieznane wcześniej możliwości zarabiania pieniędzy, zaczęła wchodzić w układ ze strukturami siłowymi, głównie FSB („siłowikami”). W centrum tego systemu stał interes ekonomiczny. Hasłem Putina było także „robie-

nie pieniędzy”. Podporządkowanie kraju i społeczeństwa interesom stało się dla niego kolejnym etapem gromadzenia bogactwa.

Podczas gdy współczesne społeczeństwa zachodnie zbudowane są na zasadzie wzajemności i rywalizacji, to system wykreowany przez Putina można określić jako konserwatywny, zmierzający – tak w ekonomii, jak i polityce – do monopolizacji. Dlatego Rosja to nie kraj faszystowski. Tam istniała ideologia i kult jednostki, tu rządzi interes.

A jednak na temat Putina nie można powiedzieć publicznie nic złego, jest też narodowe sacrum – jego rolę w Rosji pełni Wielka Wojna Ojczyźniana, sprytnie zresztą wykorzystywana przez władze.

System putinowski opiera się na dwóch podstawach społecznej legitymizacji: przezwycięzeniu „przeklętych lat dziewięćdziesiątych” (wtedy to Władimir Władimirowicz – młody, trzeźwy, aktywny prezydent zastąpił alkoholika Borysa Jelcyna, przyhamował oligarchów, uspokoił Czeczenię, zaczął płacić emerytury i tak dalej) i wielkim zwycięstwie 1945 roku, które Putin i jego otoczenie sprywatyzowali. Wojna ojczyźniana rzeczywiście stanowiła kwestię łączącą wszystkie warstwy społeczne. Dziewiąty maja był bodaj jedynym wspólnym świętem: oligarchów, FSB, urzędników, zwykłych robotników, inteligentów – aż do bieżącego roku i napaści na Ukrainę. Dziś Dzień Zwycięstwa nie ma już charakteru jednoczącego.

Istnieje opinia, że agresja Rosji na Ukrainę w lutym bieżącego roku to ostatni etap rozpadu ZSRR. Zgadza się Pan z nią?

To, co się wydarzyło w Ukrainie, widzę jako etap, być może finalny, długiej wojny domowej, która rozpoczęła się w Europie Wschodniej ponad sto lat temu i związana była z upadkiem Rosji jako imperium. Pierwszym aktem tej wojny był czerwony terror z 1918 roku, kiedy to bolszewicy zrozumieli, że nie zdołają utrzymać władzy bez uciekania się do skrajnych metod. Powstanie ZSRR stało się sposobem na podtrzymanie imperium. Napaść na Ukrainę w lutym 2022 roku jest drugim aktem tego samego procesu. Wszystko, co zdarzyło się pomiędzy: kolektywizacja, Wielki Terror Stalina, nawet wielka ofiara złożona w drugiej wojnie światowej, breżniewowski zastój, rozpad ZSRR, lata dziewięćdziesiąte – to akty pośrednie. Rozpad Związku Radzieckiego dał iluzję odejścia imperialnych ambicji. Gdy jednak pojawiła się potrzeba wprowadzenia działań w celu utrzymania władzy, Putin sięgnął właśnie po dyskurs imperialny. To, co dzieje się obecnie, to

końcowa faza rozpadu imperium – procesu, który dotychczas nie został zamknięty. Francuska rewolucja także trwała ponad sto lat.

Jeśli konflikt z Ukrainą jest ostatnią fazą tego procesu, czy nie powinniśmy mierzyć jej od zajęcia Krymu osiem lat temu?

Należy wziąć pod uwagę stopień dramatyzmu wydarzeń. To, z czym mamy do czynienia od lutego bieżącego roku, ma wymiar epicki. Przez siedemdziesiąt lat mówiliśmy „do wojny” i „po wojnie”, mając na myśli lata czterdzieste XX wieku. Obecnie słowo „wojna” zyskało inne znaczenie – oznacza napaść na Ukrainę. Czas tylko udowodni, że było to najważniejsze wydarzenie od 1945 roku. Zajęcie Krymu i Donbasu zaliczyć możemy do działań wstępnych, przygotowawczych, podobnie jak to, co można nazwać sagą Nawalnego: jego otrucie, symboliczne „wskrzeszenie”, śledztwo, powrót do Rosji, zamknięcie w więzieniu, aż po zakaz działalności politycznej. To między innymi dla zmniejszenia zainteresowania sprawą Nawalnego Putin rozpuścił tę awanturę.

Jest takie rosyjskie wyrażenie „wojna wszystko wymaże”. Dlatego wojna w Ukrainie przyjęła taki rozmach, nie wyłączając ludobójstwa – te wydarzenia przykryły wszystkie inne, łącznie z dramatem Nawalnego.

Z pewnością wydarzenia w Ukrainie sprawę Nawalnego przyćmiły. Ale i do tego czasu Nawalny – już uwięziony i pozbawiony możliwości działania przez swoich współpracowników – nie przedstawiał prawdziwego zagrożenia dla władzy. Jakiej jeszcze opozycji Putin mógł się obawiać?

To prawda, w Rosji nie było już zorganizowanej opozycji, ale nadal istniała groźba żywiołowego protestu. Poparcie dla Putina zaczęło spadać po wprowadzeniu przez niego reformy emerytalnej. We wrześniu 2021 roku odbyły się wybory do Dumy, w których on i jego partia pierwszy raz przegrali (wynik został zafałszowany między innymi dzięki elektronicznemu głosowaniu). Już w 2011 roku, gdy Putin wracał na urząd prezydenta, Rosjanie pokazali niezadowolenie. Potem władza zaczęła przykręcać śrubę. Biurokracja putinowska bierze w tej grze udział, realizując wadliwe ustawodawstwo i wzmacniając przemoc aparatu państwa. Presja ze strony systemu zwiększa się stopniowo – system władzy ulegał z czasem korozji, element społecznej kontroli był sukcesywnie usuwany. Ta stopniowość działania to zachowanie typowe dla struktury mafijnej. Stara się ona uni-

kać zbyt ostrych działań, tak by otoczenie nie zauważyło, że jego prawa są odbierane. Jak z gotującą się żabą – nagle podkręcenie ognia sprawi, że wyskoczy, powolne ją uśpi i żaba nie zauważy zagrożenia.

Ta zasada nie wykluczyła jednak i ostrego ruchu – wojny.

Putin podjął ten krok, bo uznał, że nie ma lepszego sposobu na rozstrzygnięcie palących problemów. Zdążył już zniszczyć społeczeństwo obywatelskie: zakazał wolności mediów, wsadził do więzienia Nawalnego, zaczął zbierać siły zbrojne przy granicy z Ukrainą. Uważam, że swoim heroizmem słynny opozycjonista pokazał Putinowi, iż wewnętrzna rewolucja jest możliwa. A to właśnie stanowi główne zagrożenie dla satrapy. Jest takie rosyjskie wyrażenie „война все спишет” [„wojna wszystko wymaże” – M.L.]. Dlatego wojna w Ukrainie przyjęła taki rozmach, nie wyłączając ludobójstwa – te wydarzenia przykryły wszystkie inne, łącznie z dramatem Nawalnego.

Znakowanie przestrzeni literami Z i V to kolejny sposób sprawdzania przez władzę w Rosji metody „dziel i rządź” na własnym społeczeństwie?

Aby utrzymać się u władzy, Putin wykorzystuje cały repertuar różnych środków. Struktury mafijne posługują się asymetrią, która ustawia je w lepszym świetle. Jednym z takich narzędzi jest homofobia, innym – kampania przeciw „bluźniercom” (grupie Pussy Riot). Gdy Putin zrozumiał, że te metody już nie wystarczają, sięgnął po hasła imperialne – wtedy pojawiło się pojęcie zagranicznych agentów. W kraju, który stanowił centrum imperium, to chwytliwy temat.

Dziś zbyt wielu ludzi – i na Zachodzie, i w Rosji – widzi już, że to reżim przestępczy. A przestępca zawsze obawia się kary – jak w klasycznym dziele Dostojewskiego. Dotyczy to nie tylko Putina, ale i całego systemu. Społeczni agenci zawsze jednak funkcjonują w ramach racjonalności, dążą do maksymalizowania swoich korzyści i minimalizowania strat. Członkowie putinowskiej mafii też kalkulują, co będzie dla nich lepsze. Jeśli Putin zniknie, elita zyska możliwość minimalizowania kosztów.

Czy po posiedzeniu Rady Bezpieczeństwa, które na kilka dni przed napaścią na Ukrainę było transmitowane przez telewizję, można jeszcze mówić o minimalizowaniu strat? Czy to spotkanie nie skompromitowało wszystkich jego uczestników? Kto mógłby odegrać rolę pośrednika między Zachodem a Putinem?

Jest kilka osób, które mogłyby wystąpić w takiej roli, przy czym nie są to przedstawiciele „siłowników”. Gdy Putin nie zdoła już ukrywać swojej porażki przed społeczeństwem, nowe możliwości pojawią się szczególnie w grupie liberałów – tych, którzy pomogli satrapie dojść swego czasu do władzy. To Kudrin, Czubajs, Wołoszyn czy Abramowicz. W przypadku porażki wszyscy będą dążyć do minimalizacji strat, dotyczy to zresztą także Putina. W tym sensie zawsze istnieje możliwość uruchomienia opcji „wyjścia z twarzą”.

Czy interes to jedyna zasada, jaką kieruje się prezydent Rosji? Nie przyświeca mu żadna wyższa idea?

Cel jest tylko jeden: ocalić swoją pozycję. Putin jako mafioso zajmuje się autoprezentacją (*impression management*), wykorzystując do tego oszustwo, szantaż, blef i działania terrorystyczne. To, co dzieje się w Ukrainie, to racjonalna strategia, nakierowana na zastraszenie zwykłych ludzi.

Prezydent i jego ludzie to oportuniści. Krym nie był im potrzebny, ale gdy zauważyli, że ich popularność spada, a okazja się nadarza – postanowili ją wykorzystać. Najgroźniejszym narzędziem w rękach rosyjskiego władcy jest oczywiście broń jądrowa, ale nie wierzę, by ją wykorzystał, póki do dyspozycji ma inne metody walki. Sięgnie po nią jedynie w sytuacji absolutnie krytycznej.

Jaka może to być sytuacja? Przegrana na Ukrainie?

Nie, Ukraina to nie główna stawka. Najbardziej krytyczna sytuacja związana z możliwością utraty władzy w Rosji to moment, w którym naród zacznie być dla zagrożeniem dla swojego „władcy”.

Trudno określić, gdzie może leżeć granica między porażką uruchamiającą strategię wyjścia z twarzą a tą, która prowadzi do wojny jądrowej.

W tym sztuka. Nie sądzę jednak, by broń jądrowa została wykorzystana na terytorium Ukrainy. Jeśli istnieje taka groźba, to dotyczy ona Rosjan protestujących przeciw Putinowi. Użycie przez niego broni jądrowej będzie rodzajem samobójstwa. Pamiętajmy, że zgodnie z tym, co mówił Emil

Dziś zbyt wiele ludzi – i na Zachodzie, i w Rosji – widzi już, że reżim putinowski ma charakter przestępczy.

A przestępca zawsze obawia się kary – jak w klasycznym dziele Dostojewskiego. Dotyczy to nie tylko Putina, ale całego aparatu państwa.

Durkheim, ono także może być wyborem racjonalnym, uwarunkowanym społecznie. Dla Putina głównym wrogiem jest rosyjski naród. Jest takie powiedzenie „на миру и смерть красна” [„nawet śmierć może być piękna, jeśli odbywa się publicznie” – M.L.] – taki

Putin jako mafioso zajmuje się autoprezentacją, wykorzystując do tego oszustwo, szantaż, blef i działania terrorystyczne. To, co dzieje się na Ukrainie, to racjonalna strategia, nakierowana na zastraszenie zwykłych ludzi.

ruch pozwoliłby mu uniknąć wstydu porażki i strachu podzielenia losu Kadafigo. A przy okazji zagłady siebie – pozwoliłby zniszczyć buntujący się przeciw niemu lud.

Putin boi się fizycznych cierpień, bardzo dba o swoje zdrowie i kondycję. Nie chce powtarzać losu Hitlera, Ceaușescu, Miloševića ani tym bardziej Kadafigo. Gdyby poszedł w ślady któregośkolwiek z nich, mówiono by, że od-

szedł jako dyktator. Dlatego szuka innego, nowego sposobu. Broń jądrowa daje mu tę opcję. Wspominając Czechowa: „Jeśli w pierwszym akcie na ścianie wisi broń, przed końcem ostatniego zostanie użyta”.

| Wracając do głównego tematu rozmowy: jak może wyglądać Rosja w 2027 roku?

Jeśli Putin zostanie odsunięty od władzy, Rosja wybierze demokratyzację – nawet jeśli po drodze będzie mieć miejsce okres przechodni, na przykład władza junty. Takie naruszenie równowagi najprawdopodobniej będzie mieć miejsce. Rosja ma bowiem dwie szczególne cechy – jest krajem bardzo dużym i różnorodnym. Posiada także wspomniany już arsenał jądrowy. Z tego powodu poputinowska transformacja nie będzie łatwa. Z drugiej strony jej złożoność daje gwarancję pozytywnego rozwiązania.

| Czy ta różnorodność może stać się powodem rozpadu państwa?

To nie najważniejsze pytanie, choć często się pojawia. Ma ono znaczenie tylko z punktu widzenia globalnego bezpieczeństwa – gdyby Rosja się rozpadła, na jej miejscu mogłoby powstać wiele niebezpiecznych państw wyposażonych w broń jądrową. Z tego powodu głównym zadaniem dla Federacji Rosyjskiej powinna być jej denazyfikacja (rozumiana jako deimperializacja) i demilitaryzacja – dokładnie te same zadania, które Putin stawiał Ukrainie przed agresją.

I Jakie są szanse, że taki plan Rosji się powiedzie?

Jeśli nie poddamy się szantażowi, putinizm zostanie zniszczony i plan ma szansę się powieść. To nie znaczy, że sam Putin musi zostać fizycznie usunięty. Łatwo zrobić z niego symbol światowego zła, ale ja wolę odnieść się do niego pragmatycznie. Mamy przed sobą społecznego agenta, który zachowuje się w sposób przewidywalny z punktu widzenia socjologii. Jeśli usunie się go od władzy, uda się wprowadzić w systemie pozytywne zmiany.

Możemy na przykład spróbować wyobrazić sobie sytuację, że NATO wchodzi na terytorium Ukrainy. Czy Putin użyłby wtedy broni jądrowej? Raczej nie. Z punktu widzenia kultury mafijnej szybciej poszedłby na ustępstwa i szukał nowego balansu swoich strat i korzyści. Gdyby na Zachodzie rozumiano to wcześniej, nie byłoby tej wojny i samego Putina też dawno by już nie było. Do tego należy dążyć.

**Tylko likwidacja putinizmu
jest gwarancją pełnego
bezpieczeństwa dla Ukrainy,
Zachodu i samej Rosji.**

A co, jeśli Zachód zmęczy się sankcjami i będzie próbował dojść do porozumienia z rosyjską władzą?

Trzeba zrozumieć, że powrót do dawnej polityki jest niemożliwy. Putin działa zgodnie z mechanizmem struktury mafijnej, a jej głównymi narzędziami są szantaż, blef i akty terrorystyczne. Poddając się im, można powtórzyć scenariusz z Monachium 1938 roku. Jedyna różnica jest taka, że Hitler nie miał bomby jądrowej. Tylko likwidacja putinizmu jest gwarancją pełnego bezpieczeństwa dla Ukrainy, Zachodu i samej Rosji.

Jeśli nacisk z zewnątrz – czyli sankcje – będzie kontynuowany, kryzys ekonomiczny w Rosji i związane z nim niezadowolenie ludności pobudzi sprzeciw narodu i elit, a to może doprowadzić do przewrotu pałacowego. Należy pamiętać, że interesy agentów systemu nigdy nie są identyczne z interesami systemu jako całości. To oznacza, że zawsze jest możliwość konfliktu wewnętrznego – obserwowaliśmy to na słynnym posiedzeniu Rady Bezpieczeństwa.

I Jaki może być czarny scenariusz, jeśli prezydenta nie uda się odsunąć od władzy?

Najbardziej prawdopodobny czarny scenariusz to Rosja, która długi czas będzie funkcjonować w izolacji. Najbardziej ucierpi na tym społeczeństwo. Cenę za wolność trzeba jednak zapłacić. Mam nadzieję, że Rosjanie uisz-

czą ją w formie wyjścia na ulicę i uczestnictwa w Legionie Wolność Rosji w Ukrainie – a więc poświęcą swoją wolność i zdrowie. Oby nie przyszło płacić ceny wyższej – takiej, jaką płacą dziś Ukraińcy.

| Czy tą ceną może być także odrzucenie rosyjskiego języka i kultury w świecie?

Te sprawy to kwestia „kurzu wojny” – w czasie konfliktu podejmuje się ruchy pochopne, nie dostrzegając ich negatywnych konsekwencji. Google,

Jednym z najważniejszych politycznych celów ludobójstwa na Ukrainie było sterroryzowanie nie tylko Ukraińców, ale także rosyjskiego społeczeństwa, przekazanie mu informacji: popatrzcie, z wami możemy postąpić tak samo.

Mastercard czy Visa utrudniły swoimi decyzjami życie nie tylko prokremlowskiemu Rosjanom, ale też tym opozycyjnym, którzy mogą działać przeciwko Putinowi wewnątrz kraju.

Co do rosyjskiej kultury – trzeba ją wyrwać z rąk państwa, które przez długi czas wykorzystywało ją dla swoich celów. Nawet z Tołstoja, jak się okazuje, można zrobić sojusznika wojny, a nie pokoju. Ale rosyjska kultura jest częścią kultury globalnej i nie

da się jej usunąć z tej przestrzeni.

Przeciętny Rosjanin nie odczuwa urazy wobec Zachodu? Nie jest skłonny obwiniać zagranicy zamiast swojej władzy za doświadczane sankcje? Państwowa propaganda przedstawia to w ten właśnie sposób i zdaje się, że ma w tym względzie duże sukcesy.

Tak, ale propaganda może też powodować zmęczenie. Ważniejsze są kwestie bardziej codzienne, pragmatyczne – ceny, opieka zdrowotna, jakość wykształcenia, transport, usługi komunalne i tak dalej. To martwi ludzi w Rosji znacznie bardziej niż Zachód.

Często słysząc jednak głosy, że odejście zachodnich firm z Rosji korzystnie wpłynie na narodową gospodarkę, że wreszcie zaczną się promować i doceniać swoje...

Tylko do czasu, gdy jakość życia nie pogorszy się zbyt mocno. Ludzie gotowi są jeszcze trochę wytrzymać, przetrwać w oczekiwaniu na powrót normalności. Gdy do tego nie dojdzie, Rosjanie będą mieć do wyboru dwie opcje: zbuntować się albo zgodzić się żyć jak w Korei Północnej, w co wątpię.

Jak długo Rosjanin może wytrzymać niewygody? Tak długo jak Białorusin czy tak krótko jak Ukraińiec?

To ładne porównanie. Rzeczywiście, Białorusinów uważa się za bardzo cierpliwych. I uważano tak aż do momentu, w którym doszło do rewolucji i obserwowaliśmy konsolidację antyreżimowych sił politycznych oraz społeczną mobilizację. Te wydarzenia nie skończyły się sukcesem, bo Białorusinom brakowało przemyślanej strategii przejęcia władzy. Brakowało im własnego Nawalnego.

Czy w Rosji, z zablokowaną opozycją, oddolny ruch antyreżimowy jest możliwy?

Nie da się całkowicie usunąć różnych form sprzeciwu. Nawet grupa Nawalnego nadal ma w kraju wpływy – ich kanały na YouTube notują oglądalność porównywalną z centralnymi kanałami państwowymi. Rosjanie za granicą mają możliwość oddziaływania na rodaków w państwie – nieporównywalnie większą niż biała emigracja w latach dwudziestych XX wieku. Nawet w warunkach wojny informacyjnej wiadomości o tym, co dzieje się w Ukrainie, przenikają do rosyjskiego społeczeństwa. Każdy podejmuje własne codzienne decyzje – napisać coś na Facebooku lub Telegramie? Wyjść na ulicę? Powiedzieć „nie” swojemu pracodawcy? To są rysy, które mogą zmienić się w poważne pęknięcia.

Pamiętajmy, że ta wojna i inne polityczne awantury Putina są reakcją na główne zagrożenie, które znajduje się wewnątrz kraju. Ich celem jest odwrócenie uwagi rosyjskiego narodu i zastraszenie go. Myślę, że jednym z najważniejszych politycznych celów ludobójstwa na Ukrainie było sterylizowanie nie tylko Ukraińców, ale także rosyjskiego społeczeństwa, przekazanie mu informacji: popatrzcie, z wami możemy postąpić tak samo.

Czy w Rosji możliwa jest powszechna mobilizacja?

Nie. Mówi się, że w Federacji Rosyjskiej jest obecnie prowadzona ukryta mobilizacja. To raczej rekrutacja: za pieniądze ludzi się kupuje, okłamuje lub zmusza do zaciągnięcia się do wojska. Masowa mobilizacja oznaczałaby, że twierdzenie o tym, że żadnej wojny nie ma, jest kłamstwem. Gdyby przyszło do powoływania ludzi z dużych miast, społeczeństwo wystąpi przeciwko prezydentowi. Przykro to stwierdzać, ale w ekonomicznej socjologii mówi się o wartości ludzkiego życia, a wartość życia buriackiego żołnierza i mieszkańca Moskwy – to niestety dwie zupełnie inne sprawy.

Czy ma sens porównywanie obecnego drenażu rosyjskiego społeczeństwa z ludźmi wykształconych, wyjeżdżających dziś z Rosji za granicę, ze stalinowskimi czystkami – z zastrzeżeniem, że Stalin ludzi mogących stanowić zagrożenie dla jego autorytetu likwidował fizycznie, a Putin pozbywa się ich bezkrwawo?

System putinowski w wielu swoich składowych podobny jest do stalinowskiego. Putin doszedł do władzy podobnie jak Josif Wissarionowicz – jako człowiek z drugiego rządu, o którym sądzono, że da się go kontrolować,

**Przykro to stwierdzać,
ale w ekonomicznej socjologii
mówi się o wartości
ludzkiego życia, a wartość
życia buriackiego żołnierza
i mieszkańca Moskwy – to
niestety dwie zupełnie
inne sprawy.**

a który podporządkował sobie cały system. Ale Stalin nie realizował praktyki przyjaźni, a u Putina to ważny element władzy. Ten system jest dużo bardziej ze sobą powiązany i przez to może trwać dłużej. Ale jest to system w dużo mniejszym stopniu niż stalinowska dyktatura zinstytucjonalizowany. Istnieje FSB, które pozostaje instrumentem terroru i kontroli, ale takiej podstawy jak partia komunistyczna w czasach ZSRR – nie ma.

! Nie ma człowieka, który mógłby Putina zastąpić i system przedłużyć?

Nie. Na jakiś czas może go ktoś zastąpić (na przykład Patruszew), ale to pociągnie za sobą cały łańcuch wydarzeń, które będą prowadziły do upadku systemu. Może nie odbyć się to szybko, ale jest pewne.

Zachód boi się zwycięstwa Ukrainy, bo obawia się nieprzewidywalnej reakcji Putina. Ale tego bać się nie należy. Jeśli Zachód pomoże Ukrainie zwyciężyć, pomoże też stworzyć antyputinowski front w Rosji i wówczas koniec tego reżimu będzie bliski i znacznie dla Zachodu bezpieczniejszy.

Problem, zdaje się, leży w tym, że to, do czego może posunąć się Putin, jest nieprzewidywalne, a to, co robi Zachód – na odwrót. Czy nie jest to złą wróżbą na przyszłość?

I tak, i nie. Putin nie docenił ducha ukraińskiego narodu i jego gotowości do obrony. Nie ocenił także dobrze jedności Zachodu. Dla tego ostatniego była ona zresztą niespodzianką – obudzono się, gdy zobaczono, jak Ukraińcy walczą i gdy przyszła świadomość, że wojują nie tylko dla siebie. Teraz oczywiście wojna staje się czymś bardziej codziennym, męczącym. Rosną ceny benzyny i zachodni przywódcy zaczynają się zastanawiać: może już wystarczy? Może tu się zatrzymamy? To kardynalny błąd – ruch, który

zachęca drapieżcę. Nawet jeśli NATO nie wejdzie na terytorium Ukrainy, Zachód nadal może wykonać zdecydowane kroki wobec Rosji, na przykład w kwestii ruchu handlowego na Morzu Czarnym. Najważniejsze to brać pod uwagę specyfikę tej władzy i reagować natychmiast. W tej chwili przewaga agresora polega głównie na asymetryczności i szybkości jego akcji.

Na początku 1990 roku w Moskwie otwarto pierwszą restaurację McDonald's. Był to namacalny symbol zbliżającego się upadku ZSRR. Dziś, po ponad trzech dekadach, słynny fast food się wycofuje. Zdaje się to mieć także wymiar symboliczny. Wybiegając myślą do roku 2027, czy sądzi Pan, że za pięć lat umówimy się na kawę w moskiewskiej filii McDonald's?

Dłaczego nie? Sądzę, że to możliwe. Rosjanie będą wtedy inni, lepsi.

Rozmowę przeprowadzono w maju 2022 roku.

**BIAŁORUŚ,
MOŁDAWIA,
ŁOTWA,
KAUKAZ
POŁUDNIOWY**

**Kiedy
budzi się
demon
wojny**



Lekcja odpowiedzialności

Z Rusłanem Szoszyńskim,
ekspertem w dziedzinie polityki białoruskiej,
rozmawia Małgorzata Nocuń

Ruslan Szoszyn – dziennikarz „Rzeczpospolitej”, specjalista w dziedzinie polityki wschodniej. Absolwent Wydziału Dziennikarstwa i Nauk Politycznych UW. Doktorant Instytutu Komunikacji Specjalistycznej i Interkulturowej Uniwersytetu Warszawskiego. Od 2013 roku zajmuje się analizą dyskursu imperialnego we współczesnej rosyjskiej literaturze i publicystyce. Autor książki „Lodołamaczka. Swiatłana Cichanouska”, która ukaże się pod koniec września 2022 roku.

Małgorzata Nocuń – dziennikarka „Tygodnika Powszechnego”, w latach 2004-2006 jego korespondentka na Ukrainie i Białorusi, redaktorka „Nowej Europy Wschodniej”. Autorka książki „Wczesne życie” oraz – wraz z Andrzejem Brzezieckim – książek „Białoruś. Kartofle i dzinsy”, „Ograbiony naród. Rozmowy z intelektualistami białoruskimi”, „Armenia. Karawana śmierci”. W 2014 roku została wyróżniona w konkursie Amnesty International „Pióro Nadziei” za reportaż z Kaukazu Północnego. W 2019 roku ukazał się pod jej redakcją zbiór reportaży o Białorusi „Ojczyzna dobrej jakości”.

Białoruś przekształciła się w państwo zupełnie podległe Rosji (w kontekście gospodarczym, kulturalnym i politycznym – Moskwa jest gwarantem władzy dla Łukaszenki i bezpieczeństwa). W czym upatruje Pan nadzieję dla Białorusi, by rzeczywiście nie stała się kolonią Moskwy?

Agresja Rosji na Ukrainę rozpoczęła nowy rozdział w poradzieckiej historii naszego regionu. Imperializm, wskrzeszony w świadomości rosyjskiej przez Władimira Putina, stawia pod dużym znakiem zapytania przyszłość Białorusi. Kraju niemalże w całości rosyjskojęzycznego z modelem władzy opierającym się na totalitarnym przywódcy, pielęgnującym sowiecką przeszłość i tradycję. Jeszcze pięć lat temu Aleksander Łukaszenka mógłby rozpocząć bezbolesny proces przekazania władzy – tak, jak miało to miejsce chociażby w Kazachstanie. Zapewniłby sobie w ten sposób beztrudną emeryturę, nietykalność rodziny i – co dla niego najważniejsze – zachowałby wpływ na sytuację w kraju. Białoruś byłaby krajem dalekim od demokracji, ale powoli oddalałaby się od dyktatury. Niestety, jest zupełnie inaczej. Łukaszenka przekształcił kraj w łagier i udostępnił jego terytorium rosyjskiej armii, która prowadzi z niego atak na Ukrainę. Przyszłość

Białorusini przez niezwykle krótki okres doświadczali demokracji (lata 1991-1994). Dlatego też jej nie poczuli, nie zapamiętali i nie docenili. Powierzając całkowitą władzę w kraju dyktatorowi, zrzucili z siebie odpowiedzialność za budowanie własnego państwa.

Białorusi jest w tym momencie zależna od woli Putina. Pytaniem jest, czy Łukaszenka wie, jaki pomysł na jego kraj ma Putin? Nie sądzę. Aleksander, białoruski satrapa, nie ma wizji przyszłości. Nie wie, co będzie z jego państwem za rok, pięć czy dziesięć lat. Paradoksalnie ratunkiem nie tylko dla Białorusi, ale też i dla niego byłyby masowe strajki robotników w najważniejszych zakładach na terenie całego kraju. Wówczas miałby pretekst, by rozpocząć rozmowy z opozycją o przyszłość

ści własnej i Białorusi. I, być może, udałoby mu się w ten sposób zrobić unik wobec osłabionej wojną Rosji.

W obecnej sytuacji badania opinii społecznej na Białorusi są wręcz niemożliwe do przeprowadzenia, przede wszystkim przez brak niezależnych ośrodków socjologicznych. Czy z Pana obserwacji, rozmów, wiedzy wynika, że Białorusini są otwarci na zmiany polityczne?

Białorusini przez niezwykle krótki okres doświadczali demokracji (lata 1991-1994). Dlatego też jej nie zapamiętali, nie poczuli i nie docenili. Demokracja to odpowiedzialność rozłożona na wszystkich obywateli. Powierzając całkowitą władzę w kraju dyktatorowi, zrzucili z siebie odpowiedzialność za budowanie własnego państwa. Zostało więc zbudowane według wizji dyktatora i kręgu bliskich mu osób. Powierzono im zarządzanie krajem, prowadzenie gospodarki i polityki zagranicznej. Białorusini pozbyli się problemu. Kto ma posprzątać klatkę schodową? Sprzątaczką zatrudnioną przez służbę komunalną. Kto zarządza służbą komunalną? Dyrektor, którego mianuje mer miasta. A kto mianuje mera? Prezydent. Więc to, czy klatka schodowa zostanie posprzątana, również – w pewnym sensie – zależy od dyktatora. Gdy jego zabraknie, zabraknie także mera miasta. Zabraknie przedsiębiorstwa usług komunalnych. Kto wtedy będzie sprzątał klatkę schodową? Białorusini są otwarci na zmiany, ale nie mają pojęcia, jak powinny one wyglądać i którędy mają nadejść. Pewnego dnia spadnie na nich odpowiedzialność nie tylko za czystość na własnej klatce schodowej, ale również za ulicę, miasto, a także za władzę sądowniczą i wykonawczą. Do zmian na Białorusi są przygotowane jedynie niezależne media...

W 2020 roku miliony osób wyszły w geście protestu na ulice, ale większość obywateli została w domach, często przed telewizorem, w którym oglądają rosyjskie programy i wiadomości. Co o tych ludziach wiemy? Są złąknieni, pasywni, koniunkturalni?

To ludzie, którzy oczekują, że ich problemy „ktoś” rozwiąże. Są mocno podatni na manipulację i propagandę. Jeżeli w rosyjskiej telewizji powiedzą, że Ukraińcy „są źli”, uwierzą w to bez wahania. Ale jeżeli jutro w tej samej stacji usłyszą, że jednak Putin jest zły, będą krytykować Putina. Dzisiaj wierzą, że Ameryka chce zagarnąć cały świat, a NATO podbić Białoruś. Jutro – bez problemu – uwierzą w zupełnie przeciwny obraz świata. Pasywność i bierność – to były niestety nieodzowne cechy charakteru wielu Białorusinów, przynębnionych wieloletnim autorytaryzmem. Nie są szczerzy. Nie mówią na głos tego, co de facto myślą. Nie są świadomi swojej historii, nawet tej najnowszej, sprzed dyktatury. A państwowa narracja przekonuje, że przed Łukaszenką nie było niczego. Wszystko zaczęło się od jego prezydentury.

Podczas tych protestów narodziła się także nowa grupa społeczna – świadomi obywatele. Są nastawieni probiałorusko, opowiadają się za demokracją. Gdybyśmy spróbowali scharakteryzować tę grupę, opisać. Bo przecież byli wśród niej i młodzi, i emeryci. I rosyjskojęzyczni, i białoruskojęzyczni.

Świadomi obywatele, którzy opowiadali się za demokracją, językiem białoruskim, istnieli zawsze. Stanowili jednak zdecydowaną mniejszość. Pasywna, bierna i posłuszna większość często nimi gardziła. Wyśmiewała ich. Czego im brakuje? – pytano. Po co chodzą z tymi biało-czerwono-białymi flagami? Nie mają czym się zająć? To niech pójdą do pracy. Takich komentarzy nie brakowało. Nie wiemy, ile w tym było szczerości i głupoty, a ile próby samoocalenia, uniknięcia problemów. Po 2020 roku, gdy reżim użył przemocy na szeroką skalę i połała się krew, wielu Białorusinom otworzyły się oczy. Dużo z nich zapewne nie miało pojęcia o tym, co tak naprawdę oznaczają biało-czerwono-białe barwy, ale wychodzili pod

Znam ludzi, którzy uczestniczyli w protestach. Dziś – zmuszeni przez pracodawcę – chodzą na rządowe wiece i imprezy. I stoją już nie pod biało-czerwono-białymi flagami, a pod łukaszenkowską flagą w kolorze czerwieni i zieleni. Dlaczego? No bo praca, bo dzieci, bo kredyt. Bo – tłumaczą – „w pojedynkę nic nie zmienimy, a nie chcemy dołączyć do ponad tysiąca więźniów politycznych”.

nimi na protesty. Bo to symbol sprzeciwu wobec dyktatury. Po latach egzystencji w „śpiączce” sięgnęli do korzeni i historii. Zbuntowała się jednak najaktywniejsza część białoruskiego społeczeństwa, która wcześniej była apolityczna. To studenci, sportowcy, przedsiębiorcy, lekarze, pracownicy sektora IT, muzycy. Wielu trafiło za kraty, wielu kupiło bilet w jedną stronę i wyjechało za granicę.

W polityce białoruskiej pojawiły się też kobiety. To duże zaskoczenie jak na kraj w tak dużym stopniu patriarchalny. Jaka przyszłość czeka Białorusinki? Czy zdecydować się w większym stopniu brać udział w życiu społecznym?

To prawda. W 2020 roku Białorusinki na dobre weszły do polityki i życia społecznego. Kobiety: Swiałłana Cichanouska, Weronika Cepkało i Maria Kalesnikowa przemówiły do Białorusinów tak, jak nigdy nie zdołali uczynić tego mężczyźni. W patriarchalnej Białorusi kobiety wypychano na boczny tor życia publicznego. To, co się stało w 2020 roku, można więc nazwać nową odsłoną. Obecnie trudno wyobrazić sobie przyszłość białoruskiej polityki bez kobiet. Co więcej, role odwróciły się także w demokratycznej opozycji. I na czele jej struktur stoi współcześnie znacznie więcej kobiet niż mężczyzn.

Swiałłanie Cichanouskiej zdecydował się Pan poświęcić książkę. Czy nie obawia się Pan, że zniknie ona z białoruskiego życia politycznego i za dwa lub trzy lata będzie postacią wręcz nierozpoznawalną, jak na przykład Aleksander Milinkiewicz?

Wielki Brat w orwellowskiej powieści miał zaciętego wroga – Emmanuela Goldsteina. Wrogiem i zarazem największym utrapieniem Aleksandra Łukaszenki jest dziś Swiałłana Cichanouska. Nikt wcześniej nie stanowił dla reżimu takiego zagrożenia jak ona. Żadnemu opozycjonście nie udało się zyskać tak szerokiego międzynarodowego uznania. Żaden też nie stworzył białoruskiego rządu na uchodźstwie. Gdyby w najbliższej przyszłości wybuchły masowe protesty, na ich czele stanie Cichanouska. Będzie darzona atencją całego demokratycznego świata. Otrzyma poparcie dyplomatyczne, polityczne, a także finansowe. I to spędza przedstawicielom reżimu sen z powiek. Opozycjonistów zazwyczaj wsadzano do więzień. Niektórych wysyłano za granicę, a niektórych porwano. Tymczasem Cichanouska pozostaje na wolności. Nieustannie uderza w interesy reżimu. I prowadzi swoją działalność w Wilnie, zaledwie trzydzieści kilometrów

od białoruskiej granicy. Największym błędem, który popełnił Łukaszenka, jest zlekceważenie „zwykłej białoruskiej kobiety”. Przypomnijmy, że się z niej podśmiewał i nie dawał jej żadnych szans. Dopóki Cichanouska nie wycofa się z polityki, reżim nie będzie mógł spocząć.

Czy te wielkie protesty powyborcze doprowadziły do konsolidacji, zjednoczenia opozycji? Zawsze słynęła ona z kłótniowości i podziałów. Niemożliwości wypracowania wspólnej strategii.

Stara białoruska opozycja już nie istnieje. Po 2020 roku doszło do całkowicie nowego rozdania kart. Zniknęły ruchy społeczne i organizacje działające od wielu lat. Jediną liczącą się siłą jest sztab Swiatłany Cichanouskiej i związane z nią organizacje. Cichanouska cieszy się stuprocentową rozpoznawalnością, zarówno w kraju, jak i za granicą. Na swoje barki przyjęła ciężar odpowiedzialności za przyszłość ruchu demokratycznego. Oczywiście nie brakuje krytyków, którzy zarzucają jej brak nowej strategii. Wciąż domagają się od niej „nowych pomysłów”. Niestety, w wielu białoruskich opozycjonistach jest także obecny kompleks „nieposprzątanej klatki schodowej”. No, niech ktoś w końcu ją posprząta! Żebyśmy tylko sami nie musieli sięgnąć po miotłę.

Dziś Białoruś jest wasalką Rosji. Z jej terytorium prowadzony jest atak na Ukrainę. Z jaką reakcją społeczną wiąże się ten fakt?

Strach, brak wizji przyszłości, rozpacz i złość. To główne emocje towarzyszące Białorusinom od wybuchu wojny. Białorusini są mocno antywojennym narodem. Od kilku nieżyjących już weteranów drugiej wojny światowej słyszałem hasło: „nigdy więcej”. Nienawidzili wojny podobnie, jak nienawidzili jej białoruscy weterani z Afganistanu. Kalecy, pozostawieni na bruku, zapomniani przez państwo. Dlatego nawet ta bierna, mocno zastraszona i nakarmiona rosyjską propagandą część społeczeństwa nie będzie popierała konfliktu. Zwłaszcza że każdy doskonale rozumie, kto jest najeźdźcą, a kto ofiarą. Są też odważni Białorusini, którzy ruszyli do lasów i w pierwszych tygodniach wojny próbowali dokonać aktów dywersji

Łukaszenka od początku wojny deklaruje poparcie dla Putina, ale swoich wojsk na Ukrainę nie wysyła. Dlaczego? Dlatego, że wciąż przekonuje Kreml o istniejącym zagrożeniu ze strony państw NATO. Tłumaczy, że musi trzymać swoje siły na granicy z Polską, Litwą i Łotwą, by NATO „nie uderzyło Rosji w plecy”.

na białoruskie pociągi. W ten oto sposób chcieli zakłócić rosyjską agresję. Wielu ruszyło nad Dniepr, by walczyć ramię w ramię z Ukraińcami. Pojawily nawet odrębne białoruskie bataliony walczące po stronie ukraińskich sił. Nie słychać jednak nic o batalionach Białorusinów walczących po stronie Rosjan. To też obrazuje nastroje społeczeństwa. Wielu słucha rosyjskiej propagandy od dziesięcioleci, ale ginąć za Rosję nikt nie chce.

Łukaszenka zawsze powtarzał, że białoruscy żołnierze nigdy nie walczyli i nie ginęli w rosyjskich wojnach. Czy obawia się Pan, że teraz białoruskie siły zbrojne mogą zostać przerzucone na Ukrainę?

Udział białoruskiej armii w wojnie mógłby przyspieszyć upadek reżimu Łukaszenki. Dyktator nie jest w stanie przewidzieć konsekwencji podjęcia takiej decyzji, oszacować ryzyka. A nie dysponuje przecież bronią nuklearną, która by go chroniła. Putin znajduje się w zupełnie innej sytuacji. Wszystko będzie zależało od tego, jak mocno będzie naciskał na białoruskiego dyktatora prezydent Rosji. I czy w ostatecznym rozrachunku nie pozostawi mu wyboru. Warto jednak pamiętać, że ci dwaj dyktatorzy są od siebie nawzajem uzależnieni. W warunkach trwającej wojny destabilizacja sytuacji na Białorusi nie jest na rękę Putinowi. A już tym bardziej nie jest mu na rękę ucieczka Łukaszenki do Rosji. Nie może przeszarżować w relacjach z białoruskim przyjacielem, bo doskonale wie, że Łukaszenka również ma mocny instynkt samozachowawczy. Gdy poczuje zagrożenie, ucieknie się do każdej z możliwych metod. Na przykład odpowiedź na pytanie: „Czy rozpocząłby rokowania z opozycją, gdyby na przykład USA i Wielka Brytania zagwarantowały mu nietykalność?” pozostaje otwarta. Putin nie może dopuścić, by Łukaszenka w ogóle podobne opcje rozważał.

W jaki sposób Łukaszenka udaje się tak długo przeciwstawiać Putinowi właśnie w kwestii udziału białoruskich wojsk w konflikcie na Ukrainie? Skoro tyle razy słyszeliśmy informacje o „wejściu” białoruskich jednostek na Ukrainę, to musi świadczyć o tym, że ze strony Moskwy jest nie tylko taka chęć, ale i realna presja.

To paradoksalne, ale Łukaszenka są na rękę napięte relacje z Polską i państwami bałtyckimi. Podobnie jak kryzys migracyjny, do którego doszło jesienią ubiegłego roku. Od początku wojny deklaruje poparcie dla Putina, ale swoich wojsk na Ukrainę nie wysyła. Dlaczego? Dlatego, że ciągle przekonuje Kreml o istniejącym zagrożeniu ze strony państw NATO. Tłumaczy, że musi trzymać swoje siły na granicy z Polską, Litwą i Łotwą, by

NATO „nie uderzyło Rosji w plecy”. Brednie Łukaszenki o rzekomym zagrożeniu ze strony Sojuszu Północnoatlantyckiego powtarzają białoruska i rosyjska propaganda. Do tego dochodzi argument, że liczebność sił zbrojnych Białorusi jest mocno ograniczona i wojsko potrzebuje dozbrojenia. Łukaszenka jest zdolnym oratorem i manipulatorem. Poza tym doskonale zdaje sobie sprawę z tego, że jest jedynym sojusznikiem Putina i jego wpływ na rosyjskie społeczeństwo od wybuchu wojny jest znacznie większy, niż był kiedykolwiek. Co by się stało, gdyby zaprosił rosyjskich dziennikarzy i podczas konferencji na żywo skrytykował wojnę Rosji przeciwko Ukrainie? Putin to też doskonale rozumie.

Białorusini drżą na myśl o wojnie. Pamięć o konflikcie w Afganistanie jest wciąż żywa. Żołnierzy wysyłano na front, nikt nie rozumiał, w imię czego walczą, za co giną. Trudno sobie wyobrazić cichy wyjazd białoruskich sił na Ukrainę. Na ulicach na pewno pojawiliby się ich matki i ojcowie. Białoruś to jednak nie Rosja.

Czy Białorusini boją się, że zostaną zaangażowani w wojnę? Jakie opinie wobec rosyjskiej inwazji są na Białorusi najczęściej wygłaszane?

Białorusini drżą na myśl o wojnie. To z powodu trwającej wciąż pamięci o konflikcie w Afganistanie. Żołnierzy wysyłano na śmierć, a nikt nie rozumiał, w imię czego walczą, za co giną. Trudno sobie wyobrazić cichy wyjazd białoruskich żołnierzy na Ukrainę. Na ulicach na pewno pojawiliby się ich matki i ojcowie. Białoruś to jednak nie Rosja. Zbyt blisko jest inny, wolny świat. Wielu Białorusinów było w Unii Europejskiej, zbyt wielu bywa w Polsce. Poza tym poziom życia Białorusinów jest znacznie wyższy niż ten w wielu rosyjskich regionach, szczególnie tych oddalonych od Europy. Nawet plotki o możliwej mobilizacji doprowadziły do masowej ucieczki Białorusinów za granicę. Udali się między innymi do Gruzji.

W czym upatruje Pan nadzieję dla Białorusi? Opozycyjni działacze otrzymali niezwykle długie wyroki więzienia. Skąd mogłyby nadejść zmiany?

Zmiany nadejdą z chwilą, w której Białorusini przejmą odpowiedzialność za swój kraj. Znam ludzi, którzy uczestniczyli w protestach. Dziś – zmuszeni przez pracodawcę – chodzą na rządowe wiece i imprezy. I stoją już nie pod biało-czerwono-białymi flagami, a pod łukaszenkowską flagą w kolorze czerwieni i zieleni. Dlaczego? No bo praca, bo dzieci, bo kredyt. Bo – tłumaczą – „w pojedynkę nic nie zmienimy, a nie chcemy dołączyć

**Udział białoruskiej armii
w wojnie mógłby przyspieszyć
upadek reżimu Łukaszenki.
Dyktator nie jest w stanie
przewidzieć konsekwencji
podjęcia takiej decyzji.
Oszacować ryzyka.**

do ponad tysiąca więźniów politycznych”. Białoruś może uratować także przypadek. Sytuacja, której nie jesteśmy w stanie przewidzieć, a która niczym pochodnia na nowo zapali serca milionów. Czarę goryczy mógłby przelać powszechny strajk: oto stają pociągi, komunikacja miejska, zatrzymają się zakłady pracy i firmy. W miastach zapada cisza. Tego nie da się zaplanować, przewidzieć czy zaini-

cjować. To nie inercja, lecz pospolite ruszenie może napisać najnowszy rozdział w historii kraju. Rewolucja umysłu.

Czy zwycięstwo Kijowa mogłoby pozytywnie wpłynąć na rozwój sytuacji na Białorusi?

Tak, ale tylko pod warunkiem, że zwycięstwo Kijowa doprowadziłoby do upadku reżimu Putina i demokratycznych zmian w Rosji. Przetasowania w rosyjskim wojsku i służbach specjalnych spowodowałyby w Mińsku ogromny szok. Białoruska armia i KGB od lat są zbratane ze strukturami moskiewskimi. Pozbawiona rosyjskiego wsparcia (w postaci kredytów, dotacji i tanich surowców energetycznych) dyktatura Łukaszenki nie miałaby szans na przetrwanie. Utworzenie Korei Północnej w środku Europy? To mało prawdopodobne, ale nie jest też całkiem wykluczone.



Wojna bez czołgów, samolotów i ludzi

Z Kamilem Całusem
rozmawia Miłosz Szymański

Kamil Całus – analityk. Do Mołdawii podróżuje regularnie od ponad dekady, co najmniej kilka razy do roku. Od 2012 roku pracuje w warszawskim Ośrodku Studiów Wschodnich, w którym – prócz problematyki mołdawskiej – zajmuje się także Rumunią. Publikował między innymi w „Nowej Europie Wschodniej”, „New Eastern Europe” i „Tygodniku Powszechnym”.

Miłosz Szymański – dziennikarz, reporter. Autor podcastu „Za Rubieżą”. Analityk Ośrodka Studiów Wschodnich.

Miłosz Szymański: Przez ostatnie trzy lata Mołdawia z kraju zawłaszczonego i upadającego stała się oficjalnym kandydatem do Unii Europejskiej. Vlad Plahotniuc, człowiek, który kontrolował cały kraj, został obalony i uciekł. Rok później Maia Sandu wygrała wybory prezydenckie, a w wyborach parlamentarnych jej partia zdobyła niemal dwie trzecie miejsc. Państwo obróciło kurs jednoznacznie proeuropejski. Co sprawiło, że społeczeństwo mołdawskie tak silnie poparło Maię Sandu i jej partię Akcji i Solidarności (PAS)?

Kamil Całus: Warto przypomnieć, że pomiędzy obaleniem Plahotniuka a ostatnimi wyborami parlamentarnymi funkcjonował jeszcze wspólny rząd Mai Sandu z socjalistami, potem rządili socjaliści, a to wszystko miało miejsce w trakcie pandemii. Nie wspomnieliśmy jeszcze o ostatnich kilku miesiącach, bo przecież tuż obok Mołdawii trwa wojna. Wracając jednak do pytania dotyczącego społeczeństwa, to przede wszystkim ludzie się zwyczajnie zmęczyli. To chyba najlepsze podsumowanie i najlepsze uzasadnienie, dlaczego ostatecznie obywatele Mołdawii zagłosowali na Maię Sandu i jej partię. Tu – wbrew pozorom – nie chodziło o jakiś nagły zryw prozachodni. To nie było tak, że Mołdawianie w pewnym momencie stwierdzili, iż jednak europejski model rozwoju jest tym lepszym i że teraz masowo będą głosować na partię, która im go obiecuje. W pierwszym rządzie ludzie zmęczyli się Vladem Plahotniukiem, który pod koniec rządów bezczelnie i bezceremonialnie demonstrował, jak kontroluje

politykę i gospodarkę w kraju. Korupcja była wszechogarniająca. Wszyscy Mołdawianie, z którymi rozmawiałem jako obserwator długoterminowy wyborów parlamentarnych, powtarzali to samo – że oczekują zmiany. Chcą zobaczyć, czy z partią taką jak PAS, inną od partii Plahotniuka, czy Partią Socjalistów Igora Dodona, która była z Plahotniukiem powiązana, uda się wprowadzić zmiany. Obietnice proeuropejskie i prozachodnie były ważne, ale nie najważniejsze. Najważniejsze było, że ekipa mimo wszystkich swoich problemów, na przykład braku doświadczenia politycznego, wydawała się czysta pod względem etycznym, moralnym, a także pod względem powiązań ze środowiskami biznesowymi. Dawała nadzieję na realną zmianę, walkę z korupcją, odzyskanie pewnej godności i podmiotowości przez społeczeństwo mołdawskie.

W tym miejscu trzeba podkreślić, że Mołdawianie mawiają, że oni w Unii już są, a teraz czekają, aż Mołdawia do niej wstąpi. Chodzi o to, że już milion Mołdawian z dwóch i pół miliona obywateli ma paszporty rumuńskie, więc jeśli ktoś chciał znaleźć się we Wspólnocie, to de facto już w niej jest. Warto także podkreślić, że postać Mai Sandu nie wzbudza żadnych podejrzeń korupcyjnych, co jest ewenementem w historii Mołdawii ostatnich lat.

Ta ekipa rządząca rekrutuje się z osób niepowiązanych ze środowiskiem polityczno-biznesowym i oligarchicznym. Oczywiście trudno mówić o takiej klasycznej oligarchii w przypadku Mołdawii. Mówimy o politykach i biznesmenach, którzy po to są politykami, żeby zabezpieczać swoje interesy biznesowe, a będąc biznesmenami, wyciągają rękę z pieniędzmi do rządzących, po to, by móc lepiej prowadzić biznesy. W przypadku nowej ekipy po roku rządzenia takie oskarżenia zaczęły się oczywiście pojawiać, natomiast żadne z nich nie zostało, póki co, potwierdzone. Nie wyglądają na wiarygodne. Jeśli korupcja jest, to jest ona daleka od tej, którą obserwowaliśmy za rządów Plahotniuka czy socjalistów, czyli starych elit, które od lat dwutysięcznych (a często ich korzenie sięgały lat dziewięćdziesiątych) dorabiały się na rządzeniu.

Warto byłoby w tym momencie wspomnieć, kim jest Maia Sandu. Ukończyła studia ekonomiczne, a potem podyplomowe na Akademii Administracji Publicznej w Kiszyniowie. Później na zmianę pracowała w ministerstwie finansów – jako szefowa departamentu albo wiceminister – oraz na kierowniczych stanowiskach w Banku Światowym, gdzie kończyła karierę jako doradczyni

samego Dyrektora Generalnego w Waszyngtonie. Stamtąd trafiła do Kiszyniowa na stanowisko minister szkolnictwa. Sandu zbudowała więc swoją światową karierę w oparciu o dobre wykształcenie i ciężką urzędniczą pracę, a nie dzięki towarzyskim lub rodzinnym kontaktom.

Dodajmy jeszcze jedną ważną rzecz: Maia Sandu ukończyła także studia na Harvardzie, podobnie jak jej następczyni na stanowisku, premier Natalia Gavriluța.

W Mołdawii bardzo często łapię się na tym, że pytam mojego rozmówcę – dziennikarza, naukowca czy biznesmena – czy zna tę czy inną osobę i słyszę, że tak, bo chodzili razem do szkoły czy na studia albo bawili się na tych samych imprezach.

Tak, jej rząd miał w swoim składzie czworo absolwentów Harvardu na trzynastu członków. To był, zdaje się, najlepiej wykształcony gabinet w historii kraju.

To bardzo ważne, że Maia Sandu nie zrobiła kariery przez kumoterstwo, to jest ogromny plus, ale i równocześnie minus. Brak tych powiązań utrudnia jej wprowadzanie pewnych zmian i uprawianie faktycznej polityki w Mołdawii. To zjawisko szczególnie było widać na przykładzie Plahotniuka, który zbudował swój system władzy w oparciu o kumów, nanaszy i finów, czyli bliższą i dalszą rodzinę zarówno w sensie biologicznym, jak i kulturowym. Te właśnie osoby pomagały mu realizować i implementować własną politykę. On mógł im wydawać polecenia, które następnie trafiały niżej, i to zapewniało relatywnie skuteczne funkcjonowanie państwa, choć oczywiście było to państwo mafijne.

Tym bardziej że Mołdawia jest państwem małym, mającym raptem dwa i pół miliona mieszkańców, gdzie w pewnym sensie każdy zna każdego. Dlatego jeśli się zna odpowiednich ludzi, to łatwo jest trafić niemal wszędzie.

Tak, a ponadto elita kulturowa, polityczna czy biznesowa funkcjonuje we własnej bańce towarzyskiej, która jest relatywnie niewielka. To jest maksymalnie kilka tysięcy ludzi.

Tu można zacytować Czesława Miłosza, który powiedział, że po drugiej wojnie światowej całą polską inteligencję można by zmieścić w dwa wagony.

W Mołdawii bardzo często łapię się na tym, że pytam mojego rozmówcę – dziennikarza, naukowca czy biznesmena – czy zna tę czy inną osobę i słyszę, że tak, bo chodzili razem do szkoły czy na studia albo bawili się na tych samych imprezach. Jeśli chcesz usłyszeć ciekawą anegdotę, to

obecną panią premier poznałem, kiedy siedziałem przy piwie ze znajomym, który został posłem partii PAS. Do knajpy weszła pani z dzieckiem i mężem, przywitała się z moim rozmówcą, kupiła lody dla dziecka. To była właśnie Natalia Gavriluța, która wkrótce została premierką. Chwilę później ulicą przechodził były premier Chiril Gaburici, który akurat szedł do kiosku po papierosy.

Wracając do Mai Sandu. Zdaje się nosić wokół siebie taki nimb technokratyczności i taką właśnie kulturę budować w otoczeniu. Jak to wygląda w praktyce?

Rzeczywiście tak jest. Maia Sandu ma pewne metody zarządzania wyniesione jeszcze z Banku Światowego. Zaczęła od zbudowania wokół siebie zespołu, relatywnie niewielkiego. Ludzie – zarówno jej przyjaźni, jak i nieprzyjaźni – mówią o takiej „bańce”, słyszałem nawet o „zakonie”, czyli grupie kilku osób wokół niej skoncentrowanej. Są wśród nich pani premier, kilkoro ministrów i najważniejsi ludzie w partii. Z nimi właśnie prezydent Maia Sandu spotyka się regularnie, im ufa. Oni przekazują jej polecenia dalej. Problem polega na tym, że ta struktura jest relatywnie niewielka, to jest przecież garstka osób, a im niżej schodzimy, tym efektywność tego zarządzania jest mniejsza. Każdemu z jej najbliższego grona brakuje czasu i możliwości, żeby nadzorować pracę wszystkich podległych im ludzi. W Mołdawii w dalszym ciągu nie ma efektywnej struktury administracji publicznej, która mogłaby sprawnie wdrażać reformy. To wynika z dwóch przyczyn. Po pierwsze pensje w administracji są niewielkie. Na przykład urzędnicy na poziomie ministerialnym zarabiają równowartość około dwóch tysięcy złotych, a przewodniczący parlamentu około czterech tysięcy, może troszeczkę więcej. Jeśli jednak mowa o urzędnikach śred-

niego szczebla, czyli ludziach kluczowych z punktu widzenia zarządzania państwem, to wszyscy oni są fatalnie opłacani. No i tu wracamy do rumuńskich paszportów. Bardzo dużo osób je ma lub może je mieć w każdym momencie i po prostu wyjechać z kraju. Zarabiać znacznie lepiej we Włoszech, Francji, a nawet w Rumunii. Dlatego właśnie wielu młodych ludzi zadaje sobie pytanie, po co właściwie mają iść do administracji i zarabiać te grosze, skoro za granicą można żyć znacz-

Za trzy lata wybory zmiotą opcję proeuropejską z mołdawskiej sceny politycznej. Ludzie będą zmęczeni nieefektywnością rządu i będą kojarzyć go z kryzysami. Trzeba jednak przyznać, że te kryzysy nie są winą rządu – one przychodzą z zewnątrz.

nie lepiej, wykonując dowolną pracę. Muszę dodać, że ci ludzie w urzędach naprawdę harują, pracują we właściwie kompletnie nieokreślonym reżimie godzinowym, jest ich niewielu, bo zawsze brakuje kadr, znajdują się pod presją, a na koniec miesiąca dostają symboliczne wynagrodzenie. Dlatego często jest tak, że po kilku miesiącach czy może roku pracy, kiedy już zbudują swoje CV, odchodzą. Jadą na Zachód, zatrudniają się w sektorze prywatnym.

Tak jest nie tylko w ministerstwach. Profesor na mołdawskim uniwersytecie zarabia trzysta albo czterysta euro, a koszty życia w Mołdawii wcale nie są dużo niższe od tych na przykład w Polsce czy Rumunii.

Pieniądze to jest jedna rzecz, ale pamiętajmy o jeszcze innych ważnych kwestiach, które decydują, czy ktoś chce lub nie pozostać w swoim kraju. To jest kwestia infrastruktury, o której słyszałem wielokrotnie, szczególnie w rozmowach z osobami z branży IT. Branża ta rozwija się w Mołdawii błyskawicznie. To szokujące, ale w tym państwie wartość eksportu usług IT dwukrotnie przekracza wartość eksportowanego wina! W Kiszyniowie funkcjonuje specjalny system zachęt dla inwestorów, ulgi podatkowe oraz technopark, gdzie zlokalizowanych jest wiele firm. No i mamy tych informatyków, którzy zarabiają dobrze i cieszą się, że mogą zostać w kraju. No ale jak rodzi im się dziecko, to się okazuje, że po kiszyniowskich ulicach nie da się przejść z wózkiem. Potem, że jest problem z dostępem do przedszkola albo opieki zdrowotnej. Trzeba zapłacić lekarzowi łapówkę. Standard mieszkań jest kiepski, tak samo infrastruktura na osiedlu. Wszystko to jest lepsze w Rumunii czy gdziekolwiek na Zachodzie. Wtedy taka osoba stwierdza, że tu już nie chodzi o ich wygodę, ale o godne życie dla rodziny. Ten właśnie problem dotyczy nie tylko IT, ale i wszystkich branż rozwojowych. To dodatkowo obcina tę grupę osób wykształconych, które mogłyby partycypować w procesie wdrażania reform, ale nie robią tego, bo decydują się na wyjazd.

Warto trzymać kciuki za siły zbrojne Ukrainy, bo jeśli Ukraina się obroni, to Mołdawia będzie istniała, a jeśli Ukraina się obroni i będzie się reformowała, to to będzie promieniować także na Mołdawię.

Walka z emigracją była jedną z głównych obietnic wyborczych Mai Sandu.

Nie jestem pewien, czy rząd mołdawski ma w tej chwili swój program wyborczy, jest zajęty bowiem gaszeniem sytuacji kryzysowych. A te regularnie

wybuchają od listopada 2021 roku, a więc trzy miesiące po utworzeniu rządu. Wtedy właśnie zaczął się kryzys gazowy. Wygasł kontrakt na dostawę tego surowca z Rosji, która była jedynym dostawcą błękitnego

Przed aneksją Krymu i wejściem do Donbasu Moskwa próbowała promować alternatywny względem Unii Europejskiej projekt, jakim była Euroazjatycka Unia Gospodarcza. Mimo że w porównaniu z wieloletnim rozwojem Unii Europejskiej projekt ten był wyduszką, to jednak w Mołdawii spotykał się z dużym zainteresowaniem. W jakiś sposób uosabiał rosyjskie soft power.

paliwa dla Mołdawii. Negocjacje trwały przez ponad miesiąc i ostatecznie udało się kontrakt przedłużyć, ale na niekorzystnych dla Mołdawii warunkach. Wzrost cen gazu był bolesny. Temat nie jest zakończony, bo kontrakt ten może być w każdej chwili zerwany.

Niedługo po tym rozpoczęła się rosyjska inwazja na Ukrainę. Do Mołdawii przybyły setki tysięcy uchodźców. Na stałe przebywa ich tutaj około stu tysięcy. To znaczy, że około czterech-pięciu procent ludności kraju stanowią uchodźcy, co przypomina sytuację w Polsce. Trzeba przy tym pamiętać, że Mołdawia jest krajem znacznie biedniejszym i nie jest umocowana w strukturach europejskich.

Poza tym Polska ma znacznie sprawniejszy aparat administracyjny. Kiedy pojawiły się pieniądze z ONZ na wsparcie dla uchodźców, to byliśmy w stanie z nich skorzystać. Mamy do dyspozycji aparat administracyjny, który się tym zajmuje. W Mołdawii tego zabrakło. Przez wiele tygodni nie udawało się zainicjować wypłat.

Teraz mamy kolejny problem w postaci rosnącej inflacji, która osiąga ponad trzydzieści procent. Drożeje nie tylko energia, ale także żywność. W tej chwili jedyną reformą, którą rząd jest w stanie wdrażać, jest reforma wymiaru sprawiedliwości. Jest ona ważna, bo bez niej Mołdawii ciągle grozi powrót do systemu, w którym sądownictwo jest wykorzystywane przez środowiska oligarchiczne jako instrument sprawowania władzy i kontroli. Reforma ta nie jest prosta. System nie jest przejrzysty, co sprawia, że opozycja ma pożywkę do krytykowania władzy. Ten brak transparentności nie wynika z nieuczciwości władz, tylko z braku doświadczenia urzędników i niedoborów kadrowych. Mamy ludzi, którzy nie robili wcześniej polityki i popełniają błędy wizerunkowe albo są zwyczajnie przepracowani. Nie cedują pewnych obowiązków na niższe kadry, bo zwyczajnie im nie ufają (ludzie ci pracowali w administracji jeszcze w czasach rządów Plahotniuka czy socjalistów).

Jeśli chodzi o walkę z emigracją to relatywnie niewiele się dzieje. Są prowadzone pewne reformy mające ułatwić życie w Mołdawii, na przykład w zakresie e-administracji. Chodzi o drobne zmiany, na przykład zniesienie obowiązku wożenia przy sobie prawa jazdy. Chodzi o pokazanie obywatelom, że państwo o nich dba. Ale to nie są rzeczy, które wpłyną w znaczący sposób na decyzję pozostania w kraju, szczególnie wśród ludzi młodych.

Czyli można powiedzieć, że mimo że rząd nie jest w stanie podnieść poziomu materialnego, to stara się chociaż podnieść jakość życia w zakresie kontaktów z administracją czy funkcjonowania sądów.

Tak. Jeszcze przed kryzysem gazowym władze chciały iść w kierunku wyznaczonym przez Micheila Saakaszwilego w Gruzji po 2003 roku, to znaczy podniesienia pensji w sektorze publicznym, co spowodowałoby zmniejszenie pokusy korupcyjnej i zwiększenie wśród urzędników przywiązania do instytucji, w której pracują. Podniesiono także emerytury, i to radykalnie. Te podwyżki jednak zmarniały, gdy zdrożał gaz i pojawiła się wysoka inflacja.

Mówimy tu o podwyżce minimalnej emerytury do dwóch tysięcy lejów, czyli czterystu pięćdziesięciu złotych.

Mimo tej kwoty to nadal była rewolucyjna podwyżka w mołdawskim systemie. Ten ruch oczywiście zwiększał zadłużenie państwa, ale władze uznały, że mogą się trochę zadłużyć, licząc na wsparcie instytucji zachodnich na preferencyjne kredyty i pomoc unijną.

A w jaki sposób Mołdawianie odbierają rosyjską inwazję na Ukrainę? Czy boją się o swoje bezpieczeństwo?

Tu nie ma jednoznacznej odpowiedzi. Na początku większość Mołdawian postrzegała to jako niesprovokowaną inwazję Rosji na Ukrainę. Ukraina była jednoznacznie uważana za ofiarę. Mołdawianie rzucili się na pomoc uchodźcom, podobnie jak to wyglądało w Polsce. Do dziś większość uchodźców mieszka w prywatnych domach, bo państwo nie było w stanie im wszystkim zapewnić dachu nad głową. Kiedy jednak spojrzymy na sondaże, które ukazały się po trzech czy czterech miesiącach od wybuchu wojny, to widzimy wyraźne zmiany. Coraz więcej osób zdaje się wierzyć w narrację rosyjską mówiącą, że to Ukraina sprowokowała Rosję albo przynajmniej zrobił to Zachód. To wynika z pewnego zmęczenia tym, co

się dzieje. Mołdawianie silnie odczuwają drożyznę wywołaną konfliktem. Często słyszy się twierdzenie, że tak, Rosjanie napadli, ale „to wszystko nie jest takie jednoznaczne”. Może lepiej byłoby dla każdego, gdyby się to skończyło, no ale wiadomo, kto wtedy musiałby się poddać.

Niemal wszyscy Mołdawianie znają rosyjski i chętnie konsumują rosyjskie media, bo są zwyczajnie lepsze w sensie realizacyjnym. Są też o wiele lepiej finansowane od tych mołdawskich czy chociażby rumuńskich, emitują atrakcyjniejsze programy, lepsze filmy i seriale.

To jedna sprawa, ale drugą jest pewien element mołdawskiej mentalności. Pytałeś mnie, czy Mołdawianie boją się wojny. Odpowiedź brzmi: i tak, i nie. Z jednej strony zdecydowanie nie chcą, żeby doszło do konfliktu zbrojnego na ich terytorium. Z drugiej nie boją się wojny, bo nikt na ich terytorium nie będzie jej prowadził. Przy czym nie chodzi o to, że Rosjanie ich nie zaatakują, tylko o to, że Mołdawianie nie będą się bronić. Mołdawia nie ma ani jednego czołgu czy samolotu. Jej budżet wojskowy wynosi cztery dziesiąte procenta PKB, czyli około sześćdziesięciu milionów dolarów. Na papierze mołdawska armia ma pięć tysięcy ludzi, ilu z nich ma w praktyce realną wartość bojową – nie wiadomo. Panuje więc przekonanie, że jeśli dojdzie do jakiegokolwiek ataku rosyjskiego, to nie będzie inwazja, tylko aneksja. Nawet ci Mołdawianie, którzy nie chcieliby takiego scenariusza, a ich jest wielu, wychodzą z założenia, że przynajmniej nie będzie w kraju rozlewu krwi. To przekonanie zaczęło się zmieniać po Buczy, Irpieniu i wiadomościach o innych zbrodniach rosyjskich. Wtedy zdano sobie sprawę, że to nie jest takie łatwe. Okazało się, że można się nie bronić, można być cywilem, a i tak zginąć.

Mołdawianie zaczęli myśleć trochę innymi kategoriami. Doszli do wniosku, że nie trzeba mieć armii, która obroni się przed Rosją, tylko taką, która pozwoli się państwu obronić przez jakiś czas. Mniej chętnie atakuje się kraj, który jest w stanie stawić jakikolwiek opór, a poza tym inne państwa mogą przyjść z pomocą – to pokazał konflikt na Ukrainie. Wsparcie dla Ukrainy pojawiło się dlatego, że była ona w stanie wytrwać pierwszych kilka dni. Dlatego Mołdawianie zaczynają myśleć, że warto byłoby mieć małą, ale sprawną armię na wzór państw bałtyckich. To zaczyna powoli promieniować na mołdawską opinię publiczną, ale póki co widzimy inny niepokojący trend. Jest nim rosnące zrozumienie dla narracji rosyjskiej.

Jest jeszcze kwestia Naddniestrza, które raczej nie chciałoby stać się częścią Rosji, mimo jak najbardziej prorosyjskiej narracji swoich władz.

Mam wrażenie, że ze wszystkich elit w regionie, poza ukraińskimi, to właśnie te naddniestrzańskie są najbardziej przerażone tym, co się dzieje w Ukrainie. Rządzące parapaństwem elity biznesowo-polityczne wywodzą się z koncernu Sheriff, który stworzył własną partię i przejął pełnię władzy w regionie. Elity te zarabiają tylko dlatego, że Naddniestrze jest, jakie jest. To znaczy, że jest formalnie częścią Mołdawii, ale funkcjonuje na własnych zasadach, mając jednak preferencyjny dostęp do unijnego rynku. Dlatego znaczna większość eksportu naddniestrzańskiego trafia do Unii Europejskiej. Największym partnerem handlowym Naddniestrza jest Mołdawia, drugim Unia Europejska, a trzecim – do wojny – była Ukraina. Udział Rosji w handlu zagranicznym Naddniestrza jest znikomy. To, co się dzieje teraz w kontekście pohukiwań rosyjskich o wybicie korytarza do Naddniestrza, sprawia, że lokalne elity realnie zaczynają się bać, że jak pojawią się u nich wojska rosyjskie, to ich władza będzie zagrożona. Koncern Sheriff nie jest lubiany w Moskwie, bo jest postrzegany jako relatywnie niezależny. Oczywiście na poziomie politycznym region ten podkreśla swoje przywiązanie do Rosji, ale jak każdy podmiot gospodarczy ma własne interesy i chce robić pieniądze, a nie realizować politykę Kremla. Dlatego gdyby doszło do wejścia Rosjan do Naddniestrza, to najprawdopodobniej zdecydowaliby się na wymianę kierownictwa w Sheriffie.

Przypomina to Białoruś w wersji mikro, to znaczy: lepiej być władcą w najmniejszym nawet księstwie niż jednym z wielu gubernatorów na łasce cara.

Absolutnie, zwłaszcza że obecna elita rosyjska z Putinem na czele pokazała, co robi z oligarchami, którzy nie są jej wierni. Nawet jeśli nie mielibyśmy do czynienia z przejęciem władzy, to samo wejście do Naddniestrza doprowadziłoby najprawdopodobniej do jego izolacji. Skończyłyby się preferencyjne warunki handlowe z Unią Europejską, Mołdawią czy Ukrainą. Dlatego nawet gdyby Sheriff pozostał tam, gdzie jest, to straciłby możli-

Jeśli Rosja zaatakuje, Mołdawianie nie będą się bronić. Mołdawia nie ma ani jednego czołgu czy samolotu. Jej budżet wojskowy wynosi cztery dziesiąte procenta PKB, czyli około sześćdziesięciu milionów dolarów. Na papierze mołdawska armia ma pięć tysięcy ludzi, ilu z nich ma w praktyce realną wartość bojową – nie wiadomo.

wość robienia pieniędzy. Z punktu widzenia naddniestrzańskich elit to kompletnie katastroficzny scenariusz.

Warto dodać, że gdyby Rosja zdecydowała się na aneksję Naddniestrza, to straciłaby istotne narzędzie wpływu na Mołdawię i jej sytuację wewnętrzną.

Z rosyjskiego punktu widzenia aneksja Naddniestrza jest bez sensu. Miałaby sens tylko jako pretekst do kolejnych działań, jak to było w przypadku tak zwanych Republik Donieckiej i Ługańskiej.

Nawet jeśli doszłoby do pełnej aneksji Mołdawii, to społeczeństwo mołdawskie nie żyje w strachu także z tego powodu, że funkcjonowało ono przecież w Rosji przez dwa wieki.

Rosja od lat systematycznie marnuje swoje *soft power*, a w ostatnich miesiącach robi to w sposób spektakularny. Zniechęca społeczeństwa krajów poradzieckich, które jeszcze żywiły do niej sympatię. Jeszcze przed aneksją Krymu i wejściem do Donbasu Moskwa próbowała promować alternatywny względem Unii Europejskiej projekt, jakim była Euroazjatycka Unia Gospodarcza. Mimo że w porównaniu z wieloletnim rozwojem Unii Europejskiej projekt ten był wydmuszką, to jednak w Mołdawii spotykał się z dużym zainteresowaniem. W jakiś sposób uosabiał rosyjskie *soft power*. Mówiono, że oto Rosja przysłała i proponuje coś wspólnego, jak wolny handel czy współpracę polityczną. Po 2014 roku to wszystko zaczęło się załamywać, bo okazało się, że poza niezbyt apetyczną marchewką jest jeszcze srogij w postaci atakowania Ukrainy pod byle pretekstem. Dziś sytuacja jest podobna. Ciągłe mamy ludzi, którzy myślą z sentymentem o przeszłości rosyjskiej, ale widzą, że współpraca z Rosją jest niebezpieczna, bo może się skończyć atakiem. Jeśli nie realizuje się polityki rosyjskiej, to nie ma miejsca na dyskusje w ramach wspólnych struktur międzynarodowych. Dlatego właśnie teraz istotnym nurtem jest myślenie, że jeśli nie przyjmie się tego, co Kreml oferuje, to może się zrobić niebezpiecznie. Mam wrażenie, że rosyjski *soft power* w ciągu najbliższych lat zupełnie zniknie na obszarze poradzieckim.

Załóżmy więc, że Rosja nie dojdzie do Odessy, nie stanie na Dniestrze i nie przejmie kontroli w Mołdawii. Do 2025 roku nie czekają nas żadne wybory, więc rząd może realizować kolejne kroki wymagane przy integracji europejskiej.

Trudno jest powiedzieć, czy ten rząd będzie w stanie zrealizować chociaż część swojego programu wyborczego zakładającego strukturalną reformę państwa, jeśli będzie musiał się skupiać na zarządzaniu kryzysowym.

Stoimy przed ryzykiem, że za trzy lata wybory zmiotą opcję proeuropejską z mołdawskiej sceny politycznej. Ludzie będą zmęczeni nieefektywnością rządu i będą kojarzyć go z kryzysami. Trzeba jednak przyznać, że te kryzysy nie są winą rządu – one przychodzą z zewnątrz. Za czasów Plahotniuka opcja proeuropejska została zdyskredytowana z jego winy. Był skorumpowanym politykiem ze skorumpowanym aparatem administracyjnym. Teraz mamy inny rząd, który ma dużo dobrej woli, ale jesteśmy też w bardzo niesprzyjającej sytuacji międzynarodowej.

Coraz więcej Mołdawian zdaje się wierzyć w narrację rosyjską mówiącą, że to Ukraina sprowokowała Rosję albo przynajmniej zrobił to Zachód. To wynika z pewnego zmęczenia tym, co się dzieje. Mołdawianie silnie odczuwają drożyznę wywołaną konfliktem. Często spotyka się twierdzenie, że tak, Rosjanie napadli, ale „to wszystko nie jest takie jednoznaczne”.

A jak sytuację polityczną może zmienić skazanie byłego prezydenta Igora Dodona, który został aresztowany? Podejrzewa się go o korupcję i zdradę stanu na podstawie nagrania wykonanego ukrytą kamerą.

Dodon i jego Partia Socjalistów już prowadzą dość sprytną narrację, że w polityce się czasem blefuje i jego słowa zostały wyrwane z kontekstu. Jeśli uda się przeprowadzić proces i go skazać, i jednocześnie w trakcie procesu pokazać społeczeństwu, że wszystko odbyło się zgodnie z zasadami, a wina Dodona jest oczywista, to ta sytuacja wzmocni rząd. Pytanie jednak, co to zmieni, bo Partia Socjalistów trochę zaciera ręce, i to niezależnie od wyniku. Jeśli proces nie doprowadzi do skazania, to będzie można mówić, że rząd prowadzi polowanie na czarownice, a jeśli Dodon zostanie skazany, to partia się od niego odetnie. Powiedzą, że nie są pewni uczciwości procesu, ale nowe władze w partii będą mogły ją oczyścić. Nad Dodonem ciążyło odium współpracy z Plahotniukiem oraz porażki w wyborach prezydenckich i parlamentarnych. Ucieszyłyby się także Moskwa, bo z jej perspektywy Dodon się nie sprawdził.

| Czy Mołdawia ma realne szanse wejścia do Unii Europejskiej?

To jest pytanie nie tyle do Mołdawian, co do Unii Europejskiej. Pamiętajmy, że status kandydacki jest w pewnym sensie warunkowy. Mołdawia

Maia Sandu nie zrobiła kariery przez kumoterstwo, to jest ogromny plus, ale i równocześnie minus. Brak odpowiednich powiązań utrudnia jej wprowadzanie pewnych zmian i uprawianie faktycznej polityki w Mołdawii.

i Ukraina muszą spełnić pewne warunki, są one sformułowane tak, że ich ocena pozostaje dosyć subiektywna. Podobnie decyzja w sprawie rozpoczęcia rozmów będzie zależała od konsensusu państw członkowskich, a czy on będzie – to się dopiero okaże.

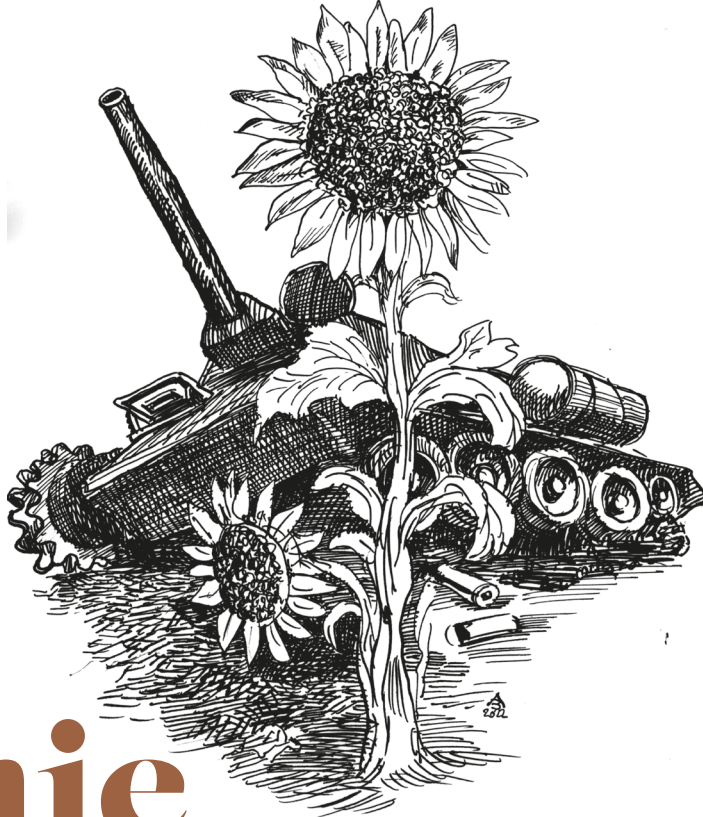
Jeśli jednak w ciągu najbliższych lat nie uda się osiągnąć zadowalających postępów, to w połączeniu z tym zmęczeniem społeczeństwa może to doprowadzić do skompromitowania opcji proeuropejskiej na wiele

lat. Opozycja będzie mówiła, że staliśmy się Turcją, to znaczy wiecznym kandydatem do Unii i nic więcej. Jednocześnie rząd sobie nie radzi, mamy drogi gaz i niepotrzebnie zniechęciliśmy do siebie Rosję. Może jednak lepiej było trzymać się opcji wyważonej polityki, bo prorosyjskie partie w Mołdawii mówią przecież, że są promołdawskie, że popierają politykę wielowektorową, a nie jednoznaczny kurs na Kreml.

| A co, jeśli rosyjskie wojska staną na Dniestrze?

To jest scenariusz jak najbardziej czarny i ciągle realny. W tej sytuacji Rosja oczekiwałaby realizacji istniejącego od 2003 roku planu Kozaka, czyli federalizacji Mołdawii z Naddniestrzem, co na stałe sparaliżowałoby kurs prozachodni. Jeśli Mołdawia nie chce zrealizować tego planu, to zostaje uznanie niepodległości Naddniestrza przez Rosję i siłowe wejście do Mołdawii w imię obrony parapaństwa. Jeśli jednak Mołdawia przystąpiłaby na federalizację, to konieczna byłaby zmiana konstytucji i w efekcie nowe wybory, które przeprowadzone zostałyby na warunkach rosyjskich. Scenariusz taki jest jednak mało prawdopodobny, bo Moskwie nie udało się przeprowadzić żadnej z zaplanowanych ofensyw i poza Mariupolem i Chersoniem żadne duże miasto ukraińskie nie dostało się w ręce Rosjan. Z tego powodu rząd musi się skupić na realizacji reform i przede wszystkim poprawie swojej komunikacji ze społeczeństwem, żeby pokazywać, ile udało się osiągnąć. Ważne jest, by sami Mołdawianie widzieli, co władze robią, że są uczciwe i że są w stanie w ogóle zmierzyć się z problemami,

przed którymi stoją. To jest w dużej mierze kwestia PR, tłumaczenia społeczeństwu, co się dzieje i robienia tego w sposób przekonujący. Porażka tego rządu może doprowadzić nie tylko do zaprzepaszczenia proeuropejskiego kursu, ale też utraty jakiegokolwiek nadziei na zreformowanie. Warto jednak trzymać kciuki za siły zbrojne Ukrainy, bo jeśli Ukraina się obroni, to Mołdawia będzie istniała, a jeśli Ukraina się obroni i będzie się reformowała, to to będzie promieniować także na Mołdawię.



„A nie mówiliśmy?”

Z Daunisem Auersem
rozmawia Dominik Wilczewski

Daunis Auers – profesor nadzwyczajny polityki porównawczej na Uniwersytecie Łotewskim w Rydze i profesor Jean Monnet (2013-2016) w zakresie integracji europejskiej. Był dyrektorem ds. badań w think-tanku Certus (od 2015), stypendystą Fulbrighta na Uniwersytecie Kalifornijskim w Berkeley (2005-2006) oraz stypendystą Baltic-American Freedom Foundation na Wayne State University w Detroit (2014). W latach 2020-2022 prezes Stowarzyszenia Rozwoju Studiów Bałtyckich (The Association for the Advancement of Baltic Studies, AABS). Autor wielu publikacji na temat polityki łotewskiej, bałtyckiej i europejskiej, między innymi książki „The Comparative Government and Politics of the Baltic States: Estonia, Latvia and Lithuania in the 21st Century” (Palgrave Macmillan, 2015) oraz badań dotyczących partii politycznych i systemów partyjnych, integracji regionalnej i europeizacji krajów bałtyckich.

Dominik Wilczewski – redaktor i dziennikarz „Przeglądu Bałtyckiego”. Stale współpracuje z „Nową Europą Wschodnią”.

Dominik Wilczewski: Co tocząca się wojna na Ukrainie oznacza dla krajów bałtyckich? Czy jest powtórką z ich historii? Potwierdzeniem obaw wobec Rosji? Dowodem na to, że Zachód lekceważył ich ostrzeżenia?

Daunis Auers: Na przełomie lutego i marca towarzyszyło nam poczucie niepewności. Od czasu drugiej wojny światowej nie doświadczyliśmy w naszej części Europy takiego poziomu przemocy. Nie było jasne, co jeszcze uczyni Rosja, jak postąpi Białoruś i tak dalej. Nie nazwałbym tego strachem, ale właśnie wysokim poczuciem niepewności. To był też okres dużych demonstracji przeciwko rosyjskiej agresji. Później pojawiło się uczucie, które nazwałbym opisowo: „a nie mówiliśmy?”, które jest chyba dobrze odzwierciedlone w mediach – tak w krajach bałtyckich, jak i na Zachodzie. Kraje bałtyckie i Polska powtarzały: Rosja jest niewiarygodnym, niepewnym partnerem, Rosja jest groźna i tym podobne. Z czasem wzrosła pewność, zarówno jeśli chodzi o sytuację bezpieczeństwa, jak i dalszy przebieg wojny. Szwecja i Finlandia mają wstąpić do NATO, co wzmocni region Morza Bałtyckiego. Stanie się ono „jeziorem wewnętrznym” Sojuszu i ogólnie wzmocni bezpieczeństwo Europy Północnej. Otrzymaliśmy też

Wojna na Ukrainie wymusiła zmiany w krajach bałtyckich. Na Łotwie uchwalono ustawę o pomnikach, przewidującą demontaż tych gloryfikujących Związek Radziecki. Mowa przede wszystkim o Pomniku Zwycięstwa w Rydze, który dla wielu Łotyszy – i tych nastrojonych bardziej nacjonalistycznie, i tych umiarkowanych – od wielu lat był symbolem przemocy, deportacji, wszystkiego, co wiązało się z radziecką okupacją.

wsparcie – militarne i polityczne – naszych natowskich partnerów, zwłaszcza USA. Wydaje się, że społeczeństwa krajów bałtyckich są zadowolone z tego, w jaki sposób ich rządy zareagowały na wojnę. To poczucie dumy, że Estonia i Łotwa są w czołówce europejskiej, jeśli chodzi o wydatki na obronę czy wsparcie dla Ukrainy w stosunku do PKB. To także wsparcie polityczne dla Ukrainy: słynna już podróż pociągiem do Kijowa prezydentów Estonii, Łotwy, Litwy i Polski. Wzrosło też poparcie – przynajmniej na Łotwie – dla partii rządzących. Było to więc też coś, co zjednoczyło społeczeństwo.

Do tego dochodzą reformy wewnętrzne: na Łotwie uchwalono ustawę o pomnikach, przewidującą demontaż pomników gloryfikujących Związek Radziecki. Dotyczy to

zwłaszcza ogromnego Pomnika Zwycięstwa w Rydze, który dla wielu Łotyszy – i tych nastrojonych bardziej nacjonalistycznie, i tych umiarkowanych – od wielu lat był symbolem przemocy, deportacji, wszystkiego, co wiązało się z radziecką okupacją. To też dążenie do stopniowej likwidacji szkół mniejszości rosyjskojęzycznej, które zamiast zniwelować, pogłębiały podziały w społeczeństwie – nadal bowiem wychodzą z nich uczniowie, którzy nie potrafią mówić czy pisać po łotewsku i pozostają w rosyjskiej przestrzeni informacyjnej. To także zablokowanie kremłowskich mediów: telewizji, radia, portali internetowych, z których wiele rozpowszechniało dezinformację i fake newsy. Ogólnie rzecz biorąc, ta sytuacja pokazała, że kraje bałtyckie są głęboko osadzone na Zachodzie. Są aktywne w Unii Europejskiej i NATO, ich działania są zgodne z zachodnimi wartościami. Ich przynależność do świata zachodniego nie może budzić żadnych wątpliwości.

W zachodnich mediach, podobnie jak w 2014 roku po aneksji Krymu przez Rosję, ukazało się wiele artykułów mówiących, że kraje bałtyckie są „następne”, że Narwa w Estonii może być drugim Donbasem, Dyneburg na Łotwie kolejnym Krymem, a tzw. przesmyk suwalski to „najniebezpieczniejsze miejsce na

świecie". Jak w krajach bałtyckich patrzy się na te analizy?

Są one odzwierciedleniem debat, które w krajach bałtyckich toczyły się od czasu odzyskania niepodległości, czyli już od ponad trzydziestu lat. To już w tamtym czasie zastanawialiśmy się na przykład, jak szybko kraje bałtyckie mogłyby zostać zajęte przez siły rosyjskie? O tych problemach wciąż się tutaj dyskutuje. Ale zastanówmy się, co nam pokazała wojna na Ukrainie? Po pierwsze to, że Rosja jest militarnie dużo słabsza, niż nam się wydawało, korupcja i złodziejstwo

ją wręcz zjadają, a dowództwo jest dużo mniej kompetentne, niż przewidywano to na Zachodzie. Po drugie, wzrosło zaufanie do naszych własnych sił zbrojnych, do partnerów w NATO i ich zdolności do radzenia sobie z takimi zagrożeniami. Będziemy mieć większą obecność NATO na miejscu, zwiększymy finansowanie celów obronnych, na Łotwie zamierzamy przywrócić pobór do wojska (byliśmy jedynym krajem bałtyckim, który dotąd tego nie zrobił). Wielu młodych ludzi dołączyło do formacji obrony terytorialnej. Nasze bezpieczeństwo zostało wzmocnione, podczas gdy rosyjskie – osłabione. Nie mamy więc problemu z tym, w jaki sposób opisują to zachodnie media, ale wydaje mi się, że w ciągu kilku miesięcy to zagrożenie się zmniejszyło, przynajmniej u większości społeczeństw krajów bałtyckich.

Wspomniał pan o mniejszościach rosyjskojęzycznych, które licznie zamieszkują głównie Estonię i Łotwę. Czy obawy, często pojawiające się w zachodnich mediach, że mogą one być rodzajem rosyjskiej piątej kolumny, są jakkolwiek uzasadnione?

Bez wątpienia istnieje prokremlowska mniejszość wśród mniejszości rosyjskojęzycznej w Estonii i na Łotwie. Według badań opinii publicznej na Łotwie około dziesięć procent społeczeństwa (a rosyjskojęzyczni stanowią około trzydzieści do czterdziestu procent ogółu ludności) popiera rosyjskie działania na Ukrainie i wierzy rosyjskiej propagandzie. W Estonii liczby te są jeszcze mniejsze. Widzieliśmy to w czasie uroczystości dziewiątego maja, który przez rosyjskojęzycznych jest obchodzony jako rocznica za-

Ostatnie trzy dekady stanowią w historii krajów bałtyckich ogromny sukces. Nigdy w historii nie byliśmy bardziej zamożni, bardziej bezpieczni niż obecnie. Przeszliśmy ogromną transformację. A żeby się przekonać, gdzie moglibyśmy się znaleźć, to wystarczy spojrzeć na Białoruś, Rosję czy inne kraje poradzieckie.

kończenia drugiej wojny światowej. W czasach gdy merem Rygi był rosyjskojęzyczny Nils Ušakovs, ten dzień stał się wielkim świętem, w którym łącznie brało udział nawet dwieście pięćdziesiąt tysięcy osób. W tym roku zakazano jego organizacji, ale mimo to kilkaset osób próbowało organizować jakieś uroczystości. Tylko taka niewielka część spośród tych dziesięciu procent popierających Rosję była gotowa wyjść na ulice. I są to głównie ludzie starsi. Młodzi są inni: pomimo problemów, o których mówiłem wcześniej, lepiej znają język łotewski, a także angielski, podróżowali na Zachód i są mniej skłonni wierzyć w retorykę Kremla. Jest więc kolejna niewielka mniejszość w ramach mniejszości, która popiera Putina, ale nie stanowi ona poważnego zagrożenia. Władze wiedzą, kim ci ludzie są, i kontrolują sytuację.

Jak rosyjskojęzyczni są postrzegani przez społeczeństwa krajów bałtyckich, przez ich estońskich i łotewskich sąsiadów? Przez media i polityków? Ich obecność jest wyzwaniem czy raczej szansą?

Na Łotwie do pewnego stopnia możemy mówić o polaryzacji pomiędzy Łotyszami a obywatelami rosyjskojęzycznymi, zwłaszcza proputinowskimi. Byli też rosyjskojęzyczni starający się organizować demonstracje poparcia dla Ukrainy, w których brali nawet udział niektórzy znani politycy. Były one jednak niewielkie w stosunku do liczby ludności rosyjskojęzycznej w samej tylko Rydze. Zebrały zaledwie około tysiąca uczestników, podczas gdy łotewski marsz dla Ukrainy połączył dziesiątki tysięcy osób. Jest więc świadomość różnic w poglądach między łotewsko- i rosyjskojęzycznymi osobami. Ale to nic nowego, tak jest od trzydziestu lat. Wojna na Ukrainie znów postawiła ten problem na porządku dziennym. Uchwalono ustawy, o których wspominałem; wzmacniają one pozycję łotewskiego języka, kultury i narracji historycznej. Nie stworzyły nowych ran, bo te w pewnym sensie już istniały. Szansa polegałaby na tym, że te ustawy mają na celu doprowadzenie do stworzenia bardziej zgodnego, zjednoczonego i zintegrowanego społeczeństwa łotewskiego w przeszłości.

Pomówmy o rzekomej jedności krajów bałtyckich. Za granicą często traktuje się kraje bałtyckie niemal jak jeden podmiot. Czy wrzucanie całej trójki do jednego worka nie budzi irytacji Estończyków, Łotyszów i Litwinów?

Tak, to bywa irytujące, ale jesteśmy do tego przyzwyczajeni. Dla przykładu, gdy odbywa się spotkanie z prezydentem USA w Białym Domu, to prezy-

denci krajów bałtyckich zawsze wybierają się tam razem. Pamiętam, że były prezydent Estonii Toomas Hendrik Ilves próbował z tym walczyć, bo bardzo go to drażniło. Ale zdajemy sobie sprawę, że jesteśmy stosunkowo małymi krajami, terytorialnie i ludnościowo, i raczej nie da się uniknąć wrzucania nas do jednego worka. I nie tylko my mamy ten problem. Spójrzmy na drugi brzeg Morza Bałtyckiego: kraje nordyckie czy skandynawskie, jeśli nie liczyć Finlandii, często traktuje się tak samo, choć ich gospodarki, społeczeństwa i polityka są różne. Swoją drogą, my też

chcielibyśmy, żeby w przyszłości określenie „państwa bałtyckie” kojarzyło się równie pozytywnie jak „państwa nordyckie”. W przeszłości mogły być między nami różnice, zwłaszcza Estonia z przyczyn historycznych i kulturowych spoglądała bardziej w stronę Finlandii, a Litwa w stronę Polski. Wojna na Ukrainie uświadomiła, jak dużo wspólnego mają ze sobą kraje bałtyckie.

Jeśli spojrzymy na to regionalnie, to można powiedzieć, że kraje bałtyckie odwróciły się nieco od krajów nordyckich w stronę współpracy z Grupą Wyszehradzką, zwłaszcza Polską. W latach dziewięćdziesiątych XX wieku współpraca z krajami nordyckimi była zrozumiała ze względu na ich aktywne wsparcie finansowe dla reform w krajach bałtyckich i polityczne poparcie dla integracji z Unią Europejską i NATO. Powstała grupa NB8 (nordycko-bałtycka ósemka), w ramach której kraje nordyckie i bałtyckie współpracują ze sobą, uzgadniają stanowiska przed spotkaniami Rady Europejskiej i Rady Unii Europejskiej. Zrodziła się idea, że tworzymy jeden region. Z drugiej strony zawsze zastanawialiśmy się, co tak naprawdę nas łączy. Nasze gospodarki są różne, mamy inne podejście do budżetu unijnego – kraje nordyckie chcą ograniczać wydatki, my wręcz przeciwnie. Kryzys, niemal egzystencjalny, wywołany wojną w Ukrainie skłonił nas do bliższej współpracy z Polską i pozostałymi krajami Wyszehradu, z wyłączeniem Węgier – z oczywistych powodów. Odkryliśmy, że mamy ze sobą dużo więcej wspólnego. Mamy podobną politykę zagraniczną czy pogląd na budżet Unii Europejskiej. Nie oczekuję, że kraje bałtyckie po-

Spółeczeństwa krajów bałtyckich mają jeszcze dużo do nadrobienia. Czujemy, że mogłoby być lepiej, niż jest. Myślę, że nasze społeczeństwa są podzielone na tych, którzy uważają, że szklanka jest do połowy pełna – nigdy nie byliśmy bardziej bezpieczni, bardziej zamożni – i tych, którzy uważają, że jest do połowy pusta.

rzuca współpracę z państwami nordyckimi, ale będą starały się bardziej równoważyć relacje z nimi i krajami regionu wyszehradzkiego.

Wspomniał Pan jednak już o akcesji Szwecji i Finlandii do NATO. Jak wpłynie to na poczucie bezpieczeństwa w krajach bałtyckich?

To jest coś, do czego namawialiśmy oba kraje od dłuższego czasu. Oczywiście bardzo się z tego cieszymy, bo wzmacnia to bezpieczeństwo. Nasze siły zbrojne współpracują od dawna z armiami Szwecji i Finlandii. Ich wejście do NATO wzmocni nasze relacje z regionem nordyckim. Ale nie zmieni to naszego podejścia do krajów Grupy Wyszehradzkiej i współpraca z nimi będzie się zacieśniać.

W Grupie Wyszehradzkiej i pozostałych krajach Europy Środkowej, takich jak Rumunia czy Bułgaria, są pewne tendencje związane między innymi z podejściem do praworządności, które prowadzą do ich sporów z Brukselą. Jak zapatrują się na to kraje bałtyckie?

Kraje bałtyckie podkreślają, że są skonsolidowanymi demokracjami, że chcą współpracować z innymi demokracjami, nie popierają odchodzenia od tej formy rządów w innych częściach Europy. Ale jeśli spojrzymy na to, jak głosują w Radzie Europejskiej i Radzie Unii Europejskiej, to zobaczymy, że Litwa i Łotwa starają się być względnie neutralne, zwłaszcza jeśli chodzi o Polskę, a nawet Węgry. Estonia stara się być bardziej jednoznaczna, być może ze względu na jej relacje z Finlandią i pewne geograficzne oddalenie. Powiedziałbym, że kraje bałtyckie mają podejście krytyczne, ale „rozumiejące”. Mamy nadzieję, że wahadło wyborcze wychyli się w drugą stronę i być może zamiast odchodzenia od demokracji wrócimy do konsolidacji. Kraje bałtyckie trzymają się ogólnoeuropejskiej linii, ale powstrzymują się, zwłaszcza Litwa i Łotwa, przed działaniami przeciwko krajom Grupy Wyszehradzkiej.

Sondaże pokazują, że mieszkańcy krajów bałtyckich są zadowoleni z akcesji do Unii Europejskiej. Pamiętam też, jak nieżyjący już litewski filozof Leonidas Donskis mówił mi kiedyś, że to właśnie kraje bałtyckie i Europa Środkowa są ostoją europejskości – w przeciwieństwie do Europy Zachodniej, gdzie w siłę rosną ruchy eurosceptyczne. Czy nie ma jednak ryzyka, że te proeuropejskie nastroje mogą osłabnąć, zwłaszcza w obliczu braku zdecydowanej reakcji Zachodu na rosyjską agresję?

Nie wydaje mi się. Retoryka w krajach bałtyckich nie jest teraz antyunijna. Raczej skupia się na podkreślaniu zaangażowania i osiągnięć Unii Europejskiej: zgoda na zakup uzbrojenia dla Ukrainy, kolejne pakiety sankcji, które zostały przyjęte. Krytyka skupia się na poszczególnych krajach, zwłaszcza na Niemczech, postrzeganych jako zbyt miękkie w stosunku do Rosji oraz nie tyle na Francji, co na prezydencie Macronie, krytykowanym za swoje apele, by Ukraina doszła do jakiegoś porozumienia z Rosją. Samej Unii się nie obwinia i poparcie dla niej pozostaje wysokie. Widzimy pozytywne aspekty członkostwa na co dzień: drogi, mosty, budynki, zwłaszcza na terenach wiejskich, zbudowane z funduszy Wspólnoty, możliwość podróży na drugi koniec Europy bez kontroli paszportowej. Spójrzmy na wybory na Łotwie: nie ma w nich żadnej eurosceptycznej partii z szansami na dostanie się do parlamentu. Miękki eurosceptycyzm jest naprawdę miękki: mówi się, że nie potrzebujemy większej integracji, ale nie odrzuca się Unii jako takiej. Jedyną eurosceptyczną partią w regionie bałtyckim jest Estońska Konserwatywna Partia Ludowa (EKRE), która przez parę lat zasiadała w rządzie. Nie przewiduję, żeby w najbliższej przyszłości kraje bałtyckie stały się bardziej krytyczne w stosunku do Unii Europejskiej, jak to miało miejsce na Węgrzech czy w Rumunii. Szczególnie pozytywnie do Unii Europejskiej są nastawieni ludzie młodzi. Kraje bałtyckie pozostaną więc ostoją proeuropejskości.

Retoryka w krajach bałtyckich nie jest obecnie antyunijna. Raczej koncentruje się na podkreślaniu osiągnięć i starań Wspólnoty. A należą do nich: zgoda na zakup uzbrojenia dla Ukrainy, kolejne pakiety sankcji. Krytyka dotyczy poszczególnych krajów, zwłaszcza Niemiec, które postrzegane są jako zbyt miękkie w stosunku do Rosji.

Spójrzmy na koniec na te trzy dekady, które minęły od czasu odzyskania niepodległości przez kraje bałtyckie. Czy są one historią sukcesu?

Bardzo ogólnie rzecz biorąc, ten okres to ogromny sukces. Jeśli spojrzymy na dzień dzisiejszy z perspektywy historycznej, to zobaczymy, że kraje bałtyckie nigdy w historii nie były bardziej zamożne, bardziej bezpieczne niż obecnie. Przeszliśmy ogromną transformację. A żeby się przekonać, gdzie moglibyśmy się znaleźć, to wystarczy spojrzeć na Białoruś, Rosję czy inne kraje poradzieckie. Problemy pojawiają się, gdy zaczynamy porównywać się z innymi. Jak mówiłem, często spoglądamy w stronę krajów nordyckich, które – ogólnie rzecz biorąc – są bogatsze, mają lepsze

Nasze siły zbrojne współpracują od dawna z armiami Szwecji i Finlandii. Ich wejście do NATO wzmocni nasze relacje z regionem nordyckim. Ale nie zmieni to naszego podejścia do krajów Grupy Wyszehradzkiej i współpraca z nimi będzie się zacieśniać.

systemy opieki społecznej, ich społeczeństwa wydają się szczęśliwsze. Zbliżenie ekonomiczne do poziomu krajów nordyckich odbywa się dużo wolniej, niż to początkowo zakładano, co budzi frustrację części społeczeństwa. Zwłaszcza Łotwa odstaje teraz gospodarczo od Estonii i Litwy. Pod względem PKB per capita bliżej nam do takich krajów jak Rumunia czy Chorwacja niż do pozostałych państw bałtyckich. Stąd poczucie rozczarowania i głosowanie na partie po-

pulistyczne. Ale wynika to właśnie z tego, z kim się porównujemy, a nie porównujemy się z Rosją czy Białorusią – punktem odniesienia są dla nas nasi partnerzy unijni. Mamy jeszcze dużo do nadrobienia i czujemy, że mogłoby być lepiej, niż jest. Myślę, że nasze społeczeństwa są podzielone na tych, którzy uważają, że szklanka jest do połowy pełna – nigdy nie byliśmy bardziej bezpieczni, bardziej zamożni – i tych, którzy uważają, że jest do połowy pusta. Łotewscy biznesmeni narzekają, że po raz pierwszy od setek lat Ryga i ziemie łotewskie są biedniejsze od pozostałych krajów bałtyckich. To my zawsze byliśmy najbogatsi, Ryga od XIII wieku stanowiła największy ośrodek handlowy, a dziś pozostajemy w tyle. To pewien symbol rozczarowania. Jest nieźle, ale może, przynajmniej w przypadku Łotwy, mogłoby być trochę lepiej.



Europa – tak. Ale z naszym dziedzictwem

Ze Stasią Budzisz, autorką książki
„Pokazucha. Na gruzińskich zasadach”,
rozmawia Wojciech Wojtasiewicz

Stasia Budzisz – reporterka i tłumaczka języka rosyjskiego. Autorka reportażu „Pokazucha. Na gruzińskich zasadach”. Współpracuje z „Nową Europą Wschodnią”, „Przekrojem”, „Oko.press” i „Krytyką Polityczną”.

Wojciech Wojtasiewicz – dziennikarz i redaktor związany z portalem Onet.pl oraz dwumiesięcznikiem „Nowa Europa Wschodnia”. W przeszłości relacjonował dla polskich mediów między innymi tzw. noc Gawriłowa w Gruzji w 2019 roku, wybory parlamentarne na Ukrainie w 2019 roku, wybory prezydenckie na Białorusi w 2020 roku. Publikował między innymi w „Newsweek Polska”, „Open Democracy”, „Polityce”, „Tygodniku Powszechnym”, „New Eastern Europe”, „Krytyce Politycznej”.

Wojciech Wojtasiewicz: Wiele osób, które zajmują się Kaukazem i Gruzją, pisze o transformacji byłych republik radzieckich, reformach, ścieżce integracji tych krajów z Zachodem. Natomiast Ty w swojej książce „Pokazucha. Na gruzińskich zasadach” zajęłaś się kwestiami społecznymi. Dlaczego?

Stasia Budzisz: Polityka jest ważną sprawą, więc nie wyobrażam sobie do niej nie nawiązywać w pracy reporterskiej, podobnie jak do wszelkich kwestii systemowych. Staram się koncentrować na opowiedzeniu tego, jaki wpływ ma ona na życie zwykłych ludzi, w jaki sposób odbija się na codzienności każdego z nas. To ważne, by uchwycić przemiany, które zachodzą w społeczeństwie.

Daleka jestem od jakiegokolwiek próby narzucania czegokolwiek gruzińskiemu społeczeństwu albo pouczenia go szczególnie w zakresie spraw, które w europejskim świecie lubimy nazywać równościowymi. Wydaje mi się, że Gruzinki i Gruzini mają już na tyle wypracowane mechanizmy i wiedzę, iż są w stanie przeprowadzić zmiany samodzielnie i na własnych warunkach. Być może potrzebują do tego europejskich pieniędzy. Nato-

miast mechanizm, sposób zmian, powinien być ich własny, autorski. Europa nie jest Gruzji do tego potrzebna.

Ale czy gruzińskie społeczeństwo rzeczywiście chce takich zmian? Bardzo często w przestrzeni publicznej pojawiają się stwierdzenia, że oczywiście Gruzini czują się Europejczykami, chcą integracji z NATO i UE, ale z poszanowaniem swojej odrębności kulturowej.

Gruzja przypomina Polskę z czasu, kiedy wchodziliśmy do Unii. Że pozwolę sobie zacytować Marię Janion: „Do Europy tak, ale ze wszystkimi naszymi umarłymi”. To ten sam schemat. Zmiany, jakie zachodzą, mają miejsce w dużych miastach, począwszy od tej pokoleniowej. Bez względu na sprzeciw starszych generacji ona i tak się dokona. Młodzi ludzie nie chcą już żyć tak jak ich rodzice i dziadkowie.

Podam przykład z ostatnich miesięcy. Kiedy w marcu do Tbilisi przyjechało wielu Rosjan, młodzi Gruzini nie chcieli z nimi rozmawiać po rosyjsku. Woleli posługiwać się łamaną angielszczyzną, byle nie rosyjskim. Stolica Gruzji zmieniła się, wygląda inaczej, inaczej się bawi. Widać, że młodzi przejmują stery. Dla nich rosyjski w przestrzeni publicznej świadczy o regresie.

Skupmy się na kwestiach, które poruszyłeś w książce: na kobietach, ich miejscu w gruzińskim społeczeństwie, modelu rodziny, kwestii macierzyństwa, potomstwa i tak dalej. Koncentrujesz się raczej na osobach, które wpisują się w tradycyjne schematy, niż na tych, które próbują je przełamać.

Kaukaz jest prowincjonalny. Jeżeli nawet mamy do czynienia z kilkoma dużymi miastami w regionie – czy to będzie Kaukaz Północny, czy Kaukaz Południowy – to i tak większość życia odbywa się na wsi. Nawet jeśli mieszka się w mieście, to korzenie ma się wiejskie. Mamy tam też do czynienia z klanowością. Mimo że w mieście można sobie pozwolić na więcej, to po powrocie na prowincję wraca się na stare tory. Ciężko z tego wyjść, zmiany mentalne dokonują się o wiele dłużej.

Jak zatem wygląda rola kobiety w Gruzji i na Kaukazie?

Generalnie wszystkim rządzi patriarchat. Trzeba jednak dokonać rozgraniczenia na Gruzję miejską, tbilisko-batumską, oraz na Gruzję prowincjonalną. W Gruzji miejskiej możemy mówić o procesach emancypacyjnych. Dziewczyny mogą wyłamać się ze schematów. Również mężczyźni zaczy-

nają myśleć inaczej. Natomiast wsie są zatopione w tradycji i patriarchacie. Takiego patriarchyatu w Europie nigdy nie było. Jakkolwiek, Tbilisi jest miejscem, gdzie można poczuć powiew wolności. Bardzo różni się od Erywania, Baku, o Kaukazie Północnym nie wspominając.

Młodzi Gruzini nie chcą rozmawiać z Rosjanami po rosyjsku. Wolą posługiwać się łamaną angielszczyzną, byle nie rosyjskim. Stolica Gruzji zmieniła się, wygląda inaczej, inaczej się bawi. Widać, że młodzi przejmują stery.

Czy kobiety żyjące w patriarchalnym społeczeństwie naprawdę są nieszczęśliwe?

Kobiety, które niczego innego nie doświadczyły, bo egzystują w patriarchacie całe swoje życie i tylko taki schemat widziały, przyjmują go jako oczywistość. One sobie nie wyobrażają, że może istnieć jakiegokolwiek inne życie. Nie wydaje mi się, by były nieszczęśliwe. Taka jest ich rzeczywistość. Gorzej pewnie mają te, które dotknęły innego życia. One stoją w rozkroku i zapewne to wśród nich można szukać tych niezadowolonych.

Ale czy to oznacza, że życie kobiety w Gruzji jest jakimś nieustannym dramatem?

Rozmawiałam z kobietami, które mówiły mi, że były bite, bo wszystkie pokolenia kobiet w ich rodzinach były bite: ich babcie, matki, one same. Bili je dziadkowie, potem ojcowie i w końcu mężowie. Taki był schemat. One były przekonane, że tak po prostu ma być. Mężczyzna przychodzi do domu i bije, bo musi się wyżyć. Kiedy nastały rządy Micheila Saakaszwilego i temat walki z przemocą pojawił się w debacie publicznej, to kobiety często twierdziły, że ten problem ich nie dotyczy. W ogóle nie zdawały sobie sprawy, bo nikt nigdy tego tak nie nazywał. Dopiero w 2006 roku w prawie gruzińskim pojawił się termin – „przemoc domowa”, w ustawie, która przeszła jednym głosem. Odpowiadając na pytanie, czy życie kobiety w Gruzji jest nieustannym dramatem, odpowiem, że nie. Bo przecież nie każda doświadcza przemocy domowej. Takie uogólnienia prowadzą do wielu nieporozumień i są krzywdzące.

Czy jednak wspomniane ustawodawstwo, które było przyjmowane bardziej z powodu nacisków Unii niż z powodu własnych przekonań gruzińskiej klasy politycznej, nie jest przypadkiem martwe?

Otóż nie, to rzeczywiście działa. Po pierwsze powstały schroniska dla kobiet doświadczających przemocy i uciekających z domów. W dalszym ciągu ich

liczba jest niewystarczająca, ale coś się ruszyło. Po drugie przyjęto prawo, na podstawie którego można skazać sprawcę przemocy domowej. Ma on zakaz zbliżania się do swojej ofiary i jest to egzekwowane.

| Czym jeszcze charakteryzuje się życie kaukaskiej kobiety?

Kobiety mają określone role do spełnienia. Przede wszystkim mają być żonami, a następnie matkami. Dobrze jest, jeśli kobieta urodzi syna, bo ten jest przedłużeniem rodu. Poza tym, wychodząc za męża, przenosi się

**Westalkami patriarchatu
są kobiety w podeszłym wieku.
Często mówią, że miały ciężko
w życiu, więc młode mężatki
powinny mieć jeszcze ciążę.**

do domu mężczyzny i mieszka z teściami, często też z jego rodzeństwem. Dobrze jest widziane, jeśli szybko po zamążpójściu zajdzie w ciążę. To oczywiście w wielkim uogólnieniu, bo jak wiadomo, nie dotyczy to każdej obywatelki. To bardzo indywidualne.

| A co się dzieje, jeżeli kobieta jest bezpłodna i nie może mieć dzieci?

No to można dziecko zaadoptować, można skorzystać z pomocy surogatki, ponieważ w Gruzji jest to legalne. No i jeśli mężowi bardzo zależy na dziecku i wiadomo, że żona nie może mu go dać, można się rozwieść.

| Czyli dochodzi do rozwodu? Takie kobiety są porzucane?

W Gruzji nie trzeba oficjalnego ślubu, żeby w społeczności być parą uważaną za małżeńską.

| Ale jeśli jakaś para decyduje się pobrać, to jest to zawsze ślub kościelny?

Nie, absolutnie nie. Ślub kościelny nic nie zmienia. Stan cywilny zmienia dopiero podpisanie dokumentów w urzędzie publicznym.

| W tradycyjnej, katolickiej rodzinie trzeba mieć ślub, nie wolno sypiać ze sobą przed sformalizowaniem związku.

Formalnie też nie sypiasz ze sobą przed ślubem, ale wyjechanie na jedną noc na przykład do Batumi, taka jakby ucieczka z domu, oznacza, że już jesteście mężem i żoną w sensie społecznym.

| Poprzez to, że kobieta została „naruszona”?

Tak.

A jak to wygląda w Armenii, Azerbejdżanie i Kaukazie Północnym?

W Dagestanie dochodzi do klasycznych porwań dziewczyn. Jeśli chłopakowi spodoba się dziewczyna, która ma piętnaście lat, to bywa, że ją kradnie. Zwyczajowo zostaje ona żoną, pomimo tego, że formalnie jest za młoda na zamążpójście. Takie przypadki mają miejsce również w części Gruzji zamieszkiwanej przez azerbejdżańską mniejszość (Marneuli), ale nie tylko. Długo tak było w Czeczenii. Ramzan Kadyrow wprowadził zakaz porywania dziewczyn, ale osoby uprzywilejowane nadal to robią. W Dagestanie natomiast wszystko można załatwić łapówkami. Co prawda w Czeczenii, w Kabardyno-Bałkarii i w Karaczajo-Czerkiesji też odbywają się śluby. Jest to bardzo pilnowane. Popularna jest też hymenoplastyka, czyli rekonstrukcja błony dziewiczej. Kobiety decydują się na nią na kilka dni przed ślubem, bo z tego, co się orientuję, owa nowa błona wytrzyma-je tylko krótki czas.

Syn ma bardzo wysoką pozycję w rodzinie, a jak do domu wprowadza się żona, to na niej spoczywa obowiązek opieki, wikt i opierunku. Staje się wręcz służącą swojego męża.

Rodzice nie chcą poznać przyszłej żony, męża, partnera? Nie mają znaczenia kwestie majątkowe? Czy panna młoda nie musi wnieść czegoś w wianie?

Dziewictwo, najlepiej dziewictwo. Większość kwestii finansowych jest na głowie mężczyzny. Ale wiadomo, że im przyszła żona bogatsza, tym lepiej. Rodzice z reguły orientują się, z kim spotykają się ich dzieci. Kiedyś dziewczyny były porywane przez chłopaków. Teraz zdarza się czasami, że same z nimi uciekają i spędzają noc. Wtedy rodzice robią wszystko, żeby taką córkę wydać za chłopaka, z którym się przespała. A wszystko po to, żeby nie było skandalu. Ale to też trzeba pamiętać o rozgraniczeniu na duże miasta i prowincję.

Co dzieje się z kobietą, która rozstaje się z mężczyzną?

Nie ma określonej pozycji.

I nie ma szans ułożyć sobie życia?

Ma szansę. Tylko musi być wola po stronie przyszłego partnera, a tym bardziej jego rodziców, krewnych, w tym babci. Koniec końców w patriachacie rządzą kobiety, jeśli chodzi o kwestie moralne i domowe. Im

kobieta jest starsza, tym ma większą rolę do odegrania w rodzinie. Rola babki jako seniorki rodu jest znacząca.

| I ona myśli w taki męski, patriarchalny sposób.

Tak, ona jest strażniczką patriarchy. Kobiety bywają dla siebie bardzo niedobre. W Gruzji zmianę należy zaczynać od nich samych. To one przecież wychowują synów i córki, uczą ich określonych ról. Syn ma bardzo wysoką

W patriarchacie, jeśli chodzi o kwestie moralne i domowe, rządzą kobiety. Im kobieta jest starsza, tym ma większą rolę do odegrania w rodzinie. Rola babki jako seniorki rodu jest znacząca.

pozycję w rodzinie, a jak przychodzi żona, to na niej spoczywa obowiązek opieki, wikt i opierunku. To ona staje się wręcz służącą swojego męża. Bardzo często młoda para nie może mieszkać sama, ponieważ nie pozwala im na to sytuacja ekonomiczna. Westalkami patriarchy są kobiety w podeszłym wieku. Często mówią, że miały ciężko w życiu, więc młode mężatki powinny mieć jeszcze ciężiej.

| Czy pisząc książkę, spotkałaś takie kobiety, które odchodziły od mężów z powodu doświadczanej przemocy, alkoholizmu, zdrad i tak dalej?

Jako przykład takiej kobiety może posłużyć moja koleżanka, która wyszła za mąż za wojskowego. Urodziła mu dwójkę dzieci, mieszkała razem z teściową. Na szczęście matka jej męża była po jej stronie, co znacznie ułatwiało jej sytuację. Miała również ogromne wsparcie swojej rodziny. Gdy uciekasz od męża-oprawcy, twoja własna rodzina wcale nie musi cię przyjąć z powrotem pod dach. W rodzinnym domu jest często brat ze swoją żoną i swoim potomstwem. Bywa, że jesteś traktowana jak darmo-zjad, i to jeszcze z dziećmi. Jednak w tym wypadku tak nie było. Jej mąż odetchnął z ulgą. Pozbył się żony i dwójki dzieci, na które już dłużej nie musiał łożyć. Potomstwo od czasu do czasu wspierała teściowa. Ale kiedy moja znajoma wyszła drugi raz za mąż, jej była teściowa uznała, że skoro ma nowego partnera, to nie potrzebuje już od niej środków na dzieci.

| A jak wyglądała rola kobiet, ich pracy w latach dziewięćdziesiątych XX wieku, kiedy Gruzja przechodziła ciężkie chwile w postaci załamania gospodarczego i wojen?

Jeśli chodzi o lata dziewięćdziesiąte, to gdyby nie kobiety, to Gruzja by nie przetrwała. Jest to zresztą często powtarzana fraza. Mężczyźni chy-

ba umarliby z głodu. Kobiety musiały ciężko kombinować, żeby wyżywić najbliższych. Nie było pracy, stałego dochodu. Rozmawiałam kiedyś z gruzińskim ekonomistą, który powiedział mi, że gruzińscy mężczyźni bardziej zarabiają na siebie niż na swoje rodziny. Muszą mieć pieniądze w kieszeni na samochód, suprę, wino, wszelkie rozrywki.

| Czyli ma być obiad na stole, a za co go przygotujesz, to już twój problem.

Tak.

| A czy część młodych kobiet, obserwując otaczającą je rzeczywistość, nie buntuje się i nie decyduje prowadzić raczej samodzielnego życia, niż wślaczać się w zastane schematy?

Są takie kobiety. Ten bunt wynika z tego samego, z czego wynikał jakiś czas temu w Europie Środkowo-Wschodniej. To jest w pewnym sensie problem mentalnościowy, że lepiej mieć byle jakiego faceta, byleby w ogóle go mieć. Tu dochodzi kwestia twojego patroni, czyli opiekuna, który będzie sprawował nad tobą pieczę i stanie w twojej obronie, jeśli będzie taka potrzeba. Rolę patroni pełni ojciec, brat, kuzyn, mąż.

| Ale co to za patron, jeżeli nie dba o finanse kobiety?

Chodzi głównie o jego obecność. To, co sobą reprezentuje i ile – albo czy w ogóle – zarabia, ma drugorzędne znaczenie. Może codziennie leżeć pijany pod sklepem, ale najistotniejsze jest to, że przy kobiecie jest mężczyzna.

| Kto kobietom, które decydują się na samodzielne życie, dokucza najbardziej?

| Inne kobiety czy mężczyźni?

Zarówno mężczyźni, jak i kobiety. Takie singielki stanowią bowiem zagrożenie dla znanego świata. Są potencjalnymi kochankami patronów mężatek. Kobieta rozwiedziona nadaje się co najwyżej na drugą grażdąską żonę, czyli po prostu na kochankę. To oczywiście znów uogólnienie.

| Ale czy nie demonizujesz tej sytuacji? Rozmawiając z Tobą, odnoszę wrażenie, że Gruzja to niemal piekło dla kobiet.

Rozmawiamy o tradycyjnym modelu rodziny w Gruzji. Dotyczy on około siedemdziesięciu procent gruzińskiego społeczeństwa. To nie dotyczy przecież wszystkich, podobnie jak nie wszyscy doświadczają przemocy

w rodzinie. Pewnie trzydzieści lat temu odsetek konserwatywnych Gruzinów był jeszcze wyższy.

Wynika z tego, że mężczyźni mają bardzo wygodne życie. Kobiety mają być podporządkowane, zająć się domem, dziećmi i zarabiać pieniądze. Czy jednak mężczyźni naprawdę są szczęśliwi, żyjąc tak, jak żyją?

Zależy od tego, jak definiuje się szczęście. Moim zdaniem najbardziej nieszczęśliwi są ci, którzy zobaczyli kawałek innego świata. Zobaczyli, że można żyć inaczej. To jak oglądanie czekolady przez szybę. Chcieliby, ale nie mogą wyjść poza zastany system. Osoby, które tkwią w schematach, pewnie w ogóle się nie zastanawiają, że mogłyby żyć inaczej. To tak, jakby człowiek prał ręcznie i się zastanawiał, jak wspaniale byłoby mieć pralkę, ale on nawet nie wie, że ona istnieje.

Jednak Gruzja się zmienia. Dzięki ruchowi bezwizowemu wielu Gruzinów wyjeżdża do pracy bądź na studia do krajów Unii Europejskiej. Czy poznałaś takie osoby?

Tak. Myślę, że takim przykładem mogą być dziewczyny prowadzące vloga „Gruziński po polsku”. Są doskonałym przykładem emancypacji.

Jaki wpływ na sytuację społeczną i miejsce kobiet na Kaukazie ma religia?

Religie bardzo mocno utrwalają patriarchat, zarówno islam, jak i prawosławne czy ormiańskie chrześcijaństwo. Osobiście nie wierzę w głęboką religijność żadnego kaukaskiego narodu. Uważam, że wynika ona z tradycji czy też pewnej mody. To oczywiście nie wyklucza istnienia jakiegoś odsetka ludzi prawdziwie wierzących.

Jakie stanowisko zajmuje Gruzińska Cerkiew Prawosławna, kiedy przyjmuje się ustawy, przykładowo jak tę przeciwko przemocy w rodzinie czy dyskryminacji ze względu na tożsamość płciową i orientację seksualną?

Gruzińska Cerkiew Prawosławna za każdym razem mocno reaguje i sprzeciwia się modelowi lansowanemu przez Unię Europejską. Gruziński kościół powołuje się na egalitaryzm, rzekomo zapoczątkowany przez narodowego pisarza Gruzji, Szotę Rustawelego, w czasie kiedy Europa nie słyszała o żadnych parytetach. Wskazuje, że to są właśnie tradycyjne gruzińskie wartości. Uznaje Unię Europejską za diabła wcielonego, który próbuje mieszać w głowach gruzińskim kobietom, chcąc je oderwać od tradycji.

A jak reagują na taką postawę politycy? Micheil Saakaszwili stawiał na westernizację Gruzji. Czy rola Cerkwi wzrosła w czasie rządów Gruzińskiego Marzenia?

Tutaj niewiele się zmieniło. Nadal Cerkiew ma sporo do powiedzenia. Wynika to również z umocowania konstytucyjnego gruzińskiego Kościoła.

Jak wygląda życie osób LGBT? Funkcjonują w ukryciu czy może wychodzą za mąż albo się żenią lub wyjeżdżają z Gruzji, żeby żyć w sposób otwarty?

W dużych miastach spotkałam się z osobami, które starają się żyć w sposób otwarty. Ale jest to promil. Większość z nich siedzi cicho i nie chwali się, że ma odmienne preferencje seksualne. W Tbilisi czy Batumi mają większą swobodę. Wychodzą na ulicę i nie są bici za swoją odmienność. Na pewno mają trudności, jeśli chodzi o życie rodzinne, choć pewnie też nie wszyscy. Gdy patrzę na życie aktywistów i aktywistek, to udało im się je jakoś poukładać. Niewychodzenie z szafy najczęściej wynika z tego, że nie chcą robić „problemów” swoim krewnym – żeby nikt się od nich nie odwrócił, kiedy wyjdzie na jaw, że syn lub córka są „dziwakami”. Często dochodzi do wyrzucenia nieheteronormatywnych dzieci z domu. Najgorszą sytuację mają osoby transpłciowe. Często nie mogą znaleźć pracy, co prowadzi do uprawiania przez nie prostytucji. Takie osoby decydują się z reguły na emigrację. Gruzja to nie jest dobry kraj dla osób LGBT.

Gruzja jest miejscem, w którym osoby LGBT mogą złapać oddech. Cała reszta Kaukazu może się dla nich okazać piekłem na ziemi. W Azerbejdżanie są nieustannie prześladowane i kompletnie nieakceptowane. W Armenii sytuacja też jest bardzo ciężka.

Zdarzają się przypadki, że osoby LGBT wchodzą formalnie w tradycyjne związki, a na boku prowadzą prawdziwe życie seksualne?

Jest mnóstwo takich osób, które wiodą podwójne życie. Formalnie mają żony, mężów i dzieci, a poza tym homoseksualne kochanki i kochanków.

Czy jednak sytuacja osób należących do mniejszości seksualnych nie poprawia się nawet nieznacznie?

W dużych miastach tak. Powstał tam ruch aktywistyczny, który stale się rozwija. Organizowane są festiwale LGBT. W Tbilisi podejmowane są od kilku lat próby przemarszu przez centrum miasta, które jak na razie kończą się bijatykami.

Sytuacja w Gruzji na tle Kaukazu Północnego oraz Armenii i Azerbejdżanu jest jednak odrobinę lepsza?

Gruzja jest miejscem, w którym osoby LGBT mogą złapać oddech. Cała reszta Kaukazu może się dla nich okazać piekłem na ziemi. W Azerbejdżanie są nieustannie prześladowane i kompletnie nieakceptowane. W Armenii sytuacja też jest bardzo ciężka. Mimo to zdecydowanie najgorsze warunki do życia dla osób LGBT panują w republikach północnokaukaskich.

Jakie jeszcze inne grupy społeczne są wykluczone na Kaukazie?

Są to przede wszystkim osoby z niepełnosprawnościami intelektualnymi czy fizycznymi. To jeszcze pokłosie Związku Radzieckiego, w którym oficjalnie nie było takich ludzi. Osoba, która jeździ na wózku inwalidzkim albo porusza się o kulach czy nie ma dwóch rąk, jest problematyczna, bo nie może sama wyjść na ulicę, zjechać z chodnika czy wejść po schodach. Nie wjedzie samodzielnie na krawężnik, nie zaparkuje samochodu, jeżeli w ogóle ma samochód, który mogłaby prowadzić, bo w całej Gruzji miejsca dla osób z niepełnosprawnościami można policzyć na palcach jednej ręki. Inną sprawą są schody, które napotykamy wszędzie. Przyjęto w Gruzji prawo, które nakazuje dostosowanie wszystkich budynków do potrzeb osób z niepełnosprawnościami. Żeby na przykład otworzyć sklep, trzeba zrobić podjazd. Często bywa jednak tak, że oprócz podjazdu montowane są również drzwi obrotowe i dalej osoba na wózku jest bezradna. Jeśli nie ma ich w przestrzeni, to się o nich nie pamięta. A nie ma ich w przestrzeni, bo ta przestrzeń jest dla nich wroga. Tu potrzebne są zmiany systemowe.

Czy osoby z niepełnosprawnościami wzbudzają podobną nienawiść jak osoby LGBT?

Nie, one wzbudzają litość, czyli najgorszą formę współczucia.

A jak odnoszą się do nich członkowie rodzin? Opiekują się nimi? Jak osoby z niepełnosprawnościami radzą sobie finansowo? Czy mają szansę pracować?

Bardzo rzadko pracują, bo jest niewiele miejsc dostosowanych do ich potrzeb. Dotarłam do statystyk, chociaż bardzo trudno było je zdobyć. Ministerstwo Zdrowia ich nie udostępnia. Musiałam przekopać różne międzynarodowe raporty. Generalnie administracja rządowa w Gruzji jest niechętna do współpracy w zakresie pomocy dla osób z niepełnospraw-

nościami. Przyznaje takim osobom rentę, która jednak ma głodową wysokość i nijak nie umożliwia samodzielnej egzystencji. Osoby z niepełnosprawnościami fizycznymi nie mają jednak najgorzej. W większości przypadków mogą liczyć na pomoc rodziny. Najtrudniej jest z dziećmi, które rodzą się z niepełnosprawnościami intelektualnymi.

One często oddawane są przez bliskich do ośrodków państwowych albo cerkiewnych. Nad tymi ostatnimi państwo nie sprawuje żadnej kontroli. Dzieci te nie są w żaden sposób ewidencjonowane. Trudno nawet stwierdzić, ile takich miejsc w Gruzji istnieje. Są trochę jak czarne dziury. Szacuje się, że rokrocznie w Gruzji ginie około tysiąca pięciuset dzieci. Nie wiadomo, co się z nimi dzieje.

Kobiety mają określone role do spełnienia. Przede wszystkim mają być żonami, a następnie matkami. Dobrze jest, jeśli kobieta urodzi syna, bo ten jest przedłużeniem rodu.

| Mogą być wywożone z kraju?

Nie ma na ten temat żadnych oficjalnych informacji. Możemy się tylko domyślać. Osoby z niepełnosprawnościami to w Gruzji poważny problem, często owiany tajemnicą i złą wolą milczenia. Będąc taką osobą, jesteś zdana na innych. Ty i twoja rodzina przeżywasz nieustające cierpienie. Brakuje centrów rehabilitacyjnych. Jeśli istnieją, to są prowadzone przez organizacje pozarządowe, i to wyłącznie w dużych miastach. Renta w wysokości stu pięćdziesięciu lari nie wystarcza nawet na zakup leków.

| Czy rodziny się wstydzą, że mają takie dzieci?

Bywa i tak, że poczucie wstydu jest obecne. Zdarza się – nie tylko w Gruzji – że kobiety z dziećmi z niepełnosprawnościami zostają same, dlatego że ich mężowie nie chcą mieć takiego potomstwa. Bardzo często o niepełnosprawność obwiniają żony. Znam takie przypadki. Jeśli takie kobiety nie mają oparcia w rodzinie, to ich życie staje się koszmarem. Poza dużymi miastami brakuje jakiegokolwiek infrastruktury do opieki nad takim potomstwem.

| Czy przypadek Gruzji i Kaukazu jest unikatowy w skali świata lub Europy, czy też można znaleźć mnóstwo takich miejsc?

Oczywiście, jest mnóstwo takich miejsc. Polskę również można wskazać jako kraj z podobnymi problemami. My jesteśmy jednak trochę bardziej

rozwinieci, stoimy lepiej finansowo, możemy sobie na więcej pozwolić, chociażby na rehabilitację osób z niepełnosprawnościami. Mimo to problemy społeczne, które dotyczą Gruzję, występują także w innych państwach. To, co odróżnia Kaukaz, to mentalność.

| A jaka przyszłość czeka Gruzję i cały Kaukaz?

W Gruzji wykształciło się społeczeństwo obywatelskie. Tej wielkiej zmiany nie uda się już zatrzymać. Do Gruzji jestem bardzo optymistycznie nastawiona, pod warunkiem że nie zostanie zaanektowana przez Rosję, bo wtedy na pewno nastąpi regres.

Nazwa serii	Europa Środkowa
Redaktorzy serii	Beata Surmacz i Tomasz Stępniewski
Korekta	Anna Pietroń
Projekt okładki i skład	Amadeusz Targoński www.targonski.pl
Ilustracje	© Andrzej Zaręba
Copyright	Instytut Europy Środkowej
ISBN	978-83-67678-08-7
Wydawca	Instytut Europy Środkowej ul. Niecała 5 20-080 Lublin www.ies.lublin.pl
Druk	Drukarnia Akapit www.drukarniaakapit.pl

Europa Wschodnia

Nowe rozdanie



Oddajemy do rąk Czytelników zbiór wywiadów dotyczących państw Europy Wschodniej. Z perspektywy 2022 roku to właśnie Ukraina staje się jednym z najważniejszych elementów składających się na bezpieczeństwo i stabilność Europy. Wojna Rosji przeciwko temu państwu powoduje, że zmienia się nie tylko układ sił w Europie Środkowej i Wschodniej, ale też cała logika stosunków Zachodu z Rosją. Przez wiele lat położenie geopolityczne oraz skomplikowana historia umożliwiały Ukrainie balansowanie na granicy dwóch systemów politycznych. Z jednej strony świat zachęt – „marchewka” w postaci członkostwa Ukrainy w Unii Europejskiej, z drugiej strony świat przymusu – „kij”, będący synonimem prób reintegracji obszaru poradzieckiego przez Federację Rosyjską z kluczową rolą Ukrainy. Wojna niszcząca Ukrainę powoduje, że wybór jej dalszej drogi rozwoju (integracji europejskiej) wydaje się przesądzony na najbliższe lata. Ale czy wojna przeciwko bratniemu narodowi nie zmienia także samej Rosji?

Publikacja przygotowana przez Instytut Europy Środkowej w Lublinie podejmuje próbę uchwycenia zamian zachodzących w Europie Wschodniej w dobie toczącego się konfliktu zbrojnego Rosji z Ukrainą. Wojna zmienia warunki gry, sytuację państw i społeczeństw, a jej skutki będą odczuwalne przez najbliższe lata. Co gorsza – wojna ciągle trwa i przynosi kolejne ofiary po obu stronach. Rozmowy dotyczą spraw ważnych, problemów i procesów zachodzących na obszarze Europy Wschodniej. W niezbyt obszernej publikacji staraliśmy się zmieścić wiele ciekawych wniosków i spostrzeżeń, które – jak mamy nadzieję – będą zachętą do refleksji i dalszych poszukiwań oraz badań.

Małgorzata Nocuń, Tomasz Stępniewski